

MIESIĘCZNIK

Kurjera Polskiego

Zeszyt III
za
M A R Z E C
1902.

TREŚĆ:

- I. Dzień Leona XIII (z rysunkami).
- II. W otchłani. (Z wrażeń lekarza miejskiego). *Dr. Józef Tichonicki.*
- III. Idylla jesieni. a przez *Andrzeja Lichtenbergera* (z rysunkami) tłumaczył r.
- IV. Na pobojowisku, czy? Wyfieciska w świat fabryk (z rysunkami).
- V. Śmierć pozorną.
- VI. Petnomocnik gminy. *Stefan Iłwowski.*
- VII. Odwieczny pamiątek
- VIII. W sterku. *J. K. Szejnar.*
- IX. Ze świata kobiecego (z rysunkami). *E. Żmijewska.*
- X. Rozmaitości.
- XI. Kapitan Łamięłowa (z rysunkami), powieść.
- XII. Miecz i kółce (powieść). *W. Gomułcki.*

Adres Redakcji: 3-to Krzyska 34 (Jasna 2).

WARSZAWA.

Druk. M. Lewiński i Syn. Jasna 2.

Składy Zyrardowskie

Krakowskie Przedmieście № 55 i Nowy Świat № 36

polecają:

ptó NA. WYROBY POŃCZOSZNICZE. BIELIZNĘ.
Łođry, Dywany, Portjery, Firanki.





czas. 2922/1902/3

BIBLIOTEKA
UMCS
LESZŃ

K 343/80/11



Widok pałacu watykańskiego z placu św. Piotra.

Dzień Leona XIII.

Papież Leon XIII — dobrowolny więzień w pałacu watykańskim, nie posiadając żołnierzy, ani dóbr, należących niegdyś do jego poprzedników, pozbawiony zupełnie wszelkiej władzy świeckiej — wywiera wpływ na świat cały potężniejszy, niż go kiedykolwiek miała władza papieska. Przez uciążliwą a sumienną pracę Leon XIII potrafił wnikać i zrozumieć ducha czasu. Obdarzony niepospolitym umysłem i bystrością pojęcia jest on z pomiędzy wszystkich mężów stanu Europy może najlepiej i najgruntowniej powiadomiony o wszystkich zagadnieniach chwili obecnej. Obecnie cały świat katolicki święci ćwierćwiekowy rok pontyfikatu wielkiego męża i świętego kaptana.

Ukoronowany więzień.

Dwadzieścia cztery lata zasiada Leon XIII na Stolicy Apostolskiej i przez lat dwadzieścia cztery był więźniem. Ani na jeden dzień nie opuścił murów Watykanu. Nawet w miesiące letnie, malaryczne i niezdrowe, gdy Rzym się wyludnia, Papież nie rusza się z miasta. Rzym roi się od kościołów, wznoszą się one tuż przy papieskim pałacu — od chwili gdy Leon XIII włożył tjarę, nie odwiedził ani jednego; miasto Rzym było dlań

tak odległe, jak najdalszy kraj na świecie. Do Watykanu napływali wierni ze wszystkich punktów ziemi, wszystkie narody mieniły Ojcem Leona XIII. On pozostał na jednym tylko punkcie ziemskiego przestworza — w swoim pałacu. Kontrast pomiędzy przestrzenią jego królestwa duchowego a szczupłością onego królestwa materialnego jest obrazem dziwnej sytuacji, jaką wytworzono dla następcy św. Piotra. Od roku 1870 Rzym należy do rodziny Sabaudzkiej; Pius IX, chcąc protestować przeciwko temu zaborowi, nazajutrz po wzięciu miasta, zamurował się dobrowolnie w swoim pałacu watykańskim.



Błogosławieństwo Papieża.

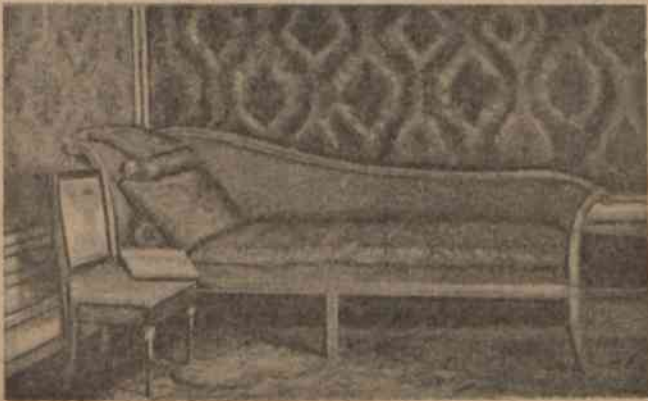
W marcu 1878 r. nowy papież miał do wyboru: albo Rzym opuścić i tem samem uznać obecnych posiadaczy Wiecznego Miasta za jego właścicieli, albo też, z wysokości galerji, górującej nad fasady św. Piotra, opanować Rzym swoim spojrzeniem i swoim błogosławieństwem, a następnie zamknąć się w Watykanie, aby utrzymać protest zajętej Stolicy Apostolskiej.

Leon XIII wybrał ostatnie.

Od początku świata jest on jedynym panującym, który został więźniem w dniu, gdy rozpoczął swe panowanie.

Nikt na świecie nie ma tytułu poddanych, co Leon XIII; panuje on i przewodzi nie siłą fizyczną lecz moralną 230 milionom dusz. Żaden panujący niema tak szczupłego królestwa: pałac, ogród, bazylika św. Piotra — oto wszystko, co pozostało Papieżowi z jego dawnych terytorjów. Powóz, jadący truchtem, może w dwadzieścia minut przebiegnąć państwo papieskie z jednego krańca na drugi.

Na prawo kopuły św. Piotra wznosi się potężny mur z tysiącem okien — to Watykan. Wspaniała kolumnada dokoła



Kanapa w pokoju sypialnym Papieża.

placu św. Piotra jest jakoby aleją, prowadzącą do Brązowej Bramy, stanowiącej wejście do papieskiego pałacu.

Na schodach, ku tej bramie wiodących, stoją przedstawiciele obu władców Rzymu: na dole agenci królewskiej policji, na górze szwajcarzy z gwardji papieskiej.

Przekroczywszy próg, ubarwiony różnokolorowemi mundurami Szwajcarów, znajdujemy się u Papieża; żadnemu żołnierzowi ani urzędnikowi królewskiemu nie wolno przestąpić tego progu. Pałac watykański używa prerogatyw państwowych; Papież jest panem u siebie, tak jak przed rokiem 1870 był panem w Rzymie. Trzeba iść wysoko, bardzo wysoko, aby dosięgnąć piętra, zamieszkałego przez Papieża.

Pomiędzy Bramą Brązową a podwórzem św. Damazego, będącem jakby najwyższym szczytem góry Watykanu, istnieją dwa piętra; pomiędzy podwórzem św. Damazego a apartamentami papieskimi są znowu dalsze dwa piętra. Można-



Łóżko Papieża w pokoju sypialnym.

by sądzić, że będąc poniekąd strażnikiem świata, Papież umieścił się tak wysoko, aby móżdżek większą przestrzeń wzrokiem ogarnąć. Tu w tej płodnej, jednostajnej a systematycznej pracy ubiegają dni Leona XIII.

Przedstawimy jeden dzień taki, podobny do wszystkich innych. Przyjrzymy się Leonowi XIII, jako kapłanowi, mężowi

stanu, myślicielowi, naprzemian udzielającemu audjencji, to znowu odprawiającemu nabożeństwa, otrzymującemu wiadomości ze wszystkich punktów świata i przesyłającemu wszędzie swoje monarsze rozkazy.

Zobaczmy jaki jest *Dzień Papieża*.

Msza papieska. Poranne audjencje.

Pokój, w którym Leon XIII budzi się co rano, bardzo jest szczupły i skromny. Ściany powleka żółta materja;



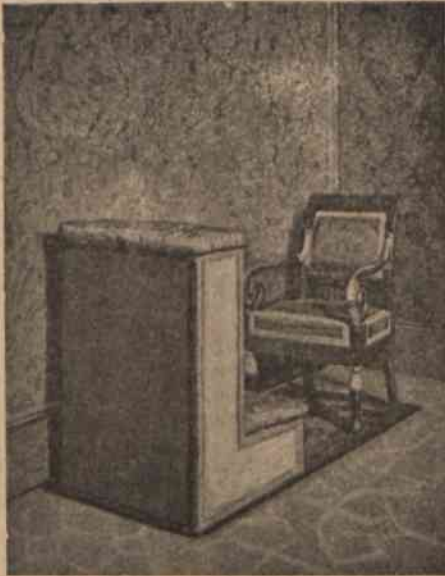
Oratorjum w sypialnym pokoju.

kłęcznik i białe łóżko stanowią całe umeblowanie. Obok znajduje się małe oratorjum, gdzie w dni powszednie Leon XIII odprawia mszę, do której posługuje jeden z prałatów jego otoczenia. Jeśli tylko dostateczna liczba

turystów lub pątników prosi, aby im było wolno modlić się na mszy papieskiej, bywają wzywani do Watykanu na wczesną godzinę i Leon XIII w obec nich odprawia nabożeństwo.

Postać jego szczupła, pochylona, posuwa się z powolną i majestatyczną pokorą; a gdy Namiestnik Chrystusowy odwróci się, aby błogosławić wiernych, cała postać jego wyrasta jakby, twarz nabiera królewskiego majestatu. Ta sprzeczność pomiędzy papieżem modlącym się a papieżem

błogosławiącym, wykazuje, że jego myśli, uczucia, wrażenia jak w zwierciadle odbijają się w ruchach, w spojrzeniach.



Kłęcznik Papieża w jego kaplicy osobistej.

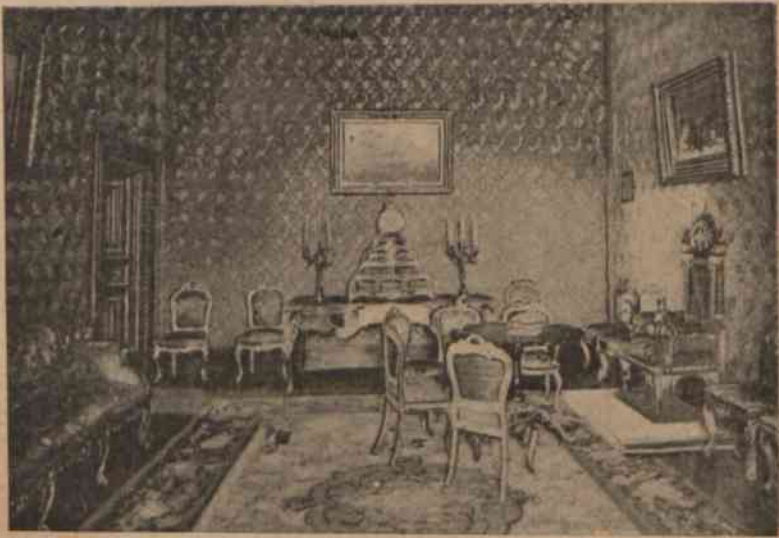
Ojciec św. rozpoczyna swe audjencje zaraz po mszy, po przyjęciu skromnego posiłku. Te godziny są bardzo dla niego uciążliwe. Oddaje się każdemu, z kim rozmawia całą duszą, dla tego posłuchania męczą go bardzo. Jego spojrzenie staje się przenikliwe, myśl pracuje, zespała się istotnie ze światem.

Raz lub dwa razy na tydzień odbywają się audjencje regularne, przyjmuje kardynałów, prezesów „rzymskich kongregacyj“, będących jakby ministrami Kościoła.

Sekretarz Stanu, którego obowiązkiem jest pośredniczyć w stosunkach Papieża z różnymi mocarstwami, przedstawia Leonowi XIII wszystkie sprawy polityki wszechświatowej; albowiem wszystkie opierają się o Watykan. Niema stanowiska bardziej pożądanego przez dyplomatów różnych krajów, nad ambasadę lub poselstwo przy Stolicy Apostolskiej; z owe-

go obserwatorium, jakim jest Watykan, widzi się pogmatwane pasmo polityki.

Gdy Leon XIII i kardynał Rampolla w ciszy porannej audjencji szukali sposobów zadzierzgnięcia węzłów przyjaźni francusko-rosyjskiej i zapewnienia pokoju Europie, wtedy ambasadorowie trójprzymierza nastawiali ucha i mieli się na baczności. Po sekretarzu stanu, zdaje raporty Leonowi XII bądź kardynał wikariusz, przynoszący wiadomości z parafij, których Papież jest biskupem; bądź kardynał prefekt



Sala audjencyjna mała.

konsylium, który przybywa go zapytywać w sprawach dotyczących się wiary i dyscypliny; to znowu kardynał sekretarz *breve*, będący jakby najwyższym biurokratą kościoła; wreszcie kardynał prefekt Propagandy, który rządzi sprawami trzech czwartych części świata, a który co tydzień informuje Leona XIII o zdobyczach, poczynionych przez kościół.

Leon XIII ma dwa razy więcej pracy od wielu swoich poprzedników. Będąc doktorem wiary, mistrzem pobożności, pragnął, na wzór papieży średniowiecznych, być jednym z mocarstw ziemi, i tego celu dopiął.

W chwili, gdy wszystkie państwa walczą przy pomocy uzbrojeń, ta wspaniała a bezbronna postać postawiła sobie szczytne zadanie uosabiać i krzewić ducha pokoju. Kiedyś Bismarck wzywał pośrednictwa Leona XIII, chcąc uniknąć wojny pomiędzy Niemcami a Hiszpanją, podczas ich zatargu o wyspy Karoliny.

Niemcy, przeważnie protestanckie, jeszcze dumne ze swych zwycięstw, zaklinały Leona XIII, by zechciał wskrzesić dawne a szczytne tradycje pontyfikalnego rozjemstwa, które zdawały się już zaniechane od czasów Grzegorza VII oraz Inocentego III.



Na korytarzach Watykanu.

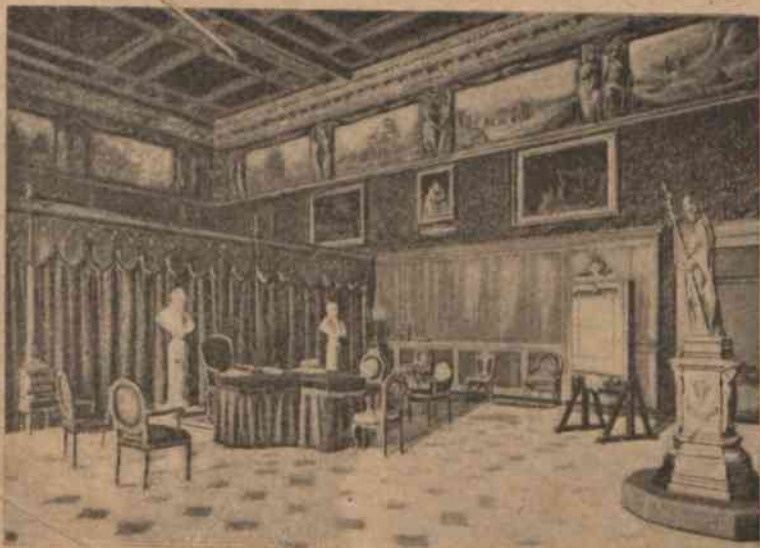
Kardynałowie Rampolla del Tindaro sekretarza stanu Papieża i Mocenni w komzach.

Niedalej jak przed kilku laty niewiele brakło, by Stany Zjednoczone i Hiszpanie zwrócili się także do Watykanu dla zakończenia wojny kubańskiej, przez wezwanie rozjemstwa Papieża.

Dodajmy do tych spraw rozlicznych troskę o interesy religijne, która jest zawsze przytomną umysłowi i sercu Leona XIII. Nie masz arcybiskupa lub biskupa, zamieszkałego bodaj o miesiąc drogi od Rzymu, któryby nie oglądał Ojca świętego przynajmniej raz na pięć lat. Do stóp Papieża schylają się kornie wyćwiczeni w polityce prałaci włoscy i misjonarze krain odległych, zaprawni do walki z plemionami dzikimi. W rzędzie tych biskupów zamorskich przybywali i tacy, którzy mieli jeden tylko język wspólny z Leonem XIII — łacinę. Rozmawiano więc w tym języku martwym, który opowiadał i słaWił krzewienie wiary katolickiej w krainach odległych, wśród plemion dzikich.

Dodajmy do tego audjencje udzielane uprzywilejowanym osobom świeckim, przedstawicielom dalekich posterunków chrześcijańskich. Ci laicy przybywają ze wszystkich stron świata i uzupełniają wszechstronność wiadomości, czyniąc z Watykanu państwo najlepiej poinformowane we wszelkich sprawach, mimo iż Papież jest więźniem.

Niegdyś, aby wejść do Namiestnika Piotrowego, ludzie świeccy musieli przywdziewać strój dworski, czarne trzewiki z klanrami, czarne jedwabne pończochy i krótkie czarne



Biblioteka gdzie papież pracuje.

spodnie. Od lat szeregu wystarcza frak i biały krawat; damy muszą ubierać się czarno i osłaniać głowę koronką.

Zanim się przekroczy ponsową aksamitną zasłonę u drzwi apartamentów papieskich, należy zostawić kapelusz i rękawiczki. Potem z biletem wstępu na audjencję Jego Świętobliwości, przechodzi się salę, w której stoją żandarmi, dalej drugą — salę gwardji palatynskiej, salę dywanów, zdobną w same gobeliny, ofiarowane przez Francję; wreszcie zasiada się w przedpokoju honorowym. W głębi tej komnaty stoi trona, oparty o ścianę; tu Papież udziela audjencji.

W rogu, przy małych drzwiczkach czuwa gwardzista ze straży szlacheckiej (*garde nobile*), te drzwiczki łączą przedpokój honorowy z przedpokojem, tak zwanym, tajnym.

Na wezwanie Papieża, odwiedzający bywa przypuszczany do tego drugiego przedsionka, a stamtąd wprost do małego saloniku, w którym Papież przyjmuje. Każdemu gościowi towarzyszy prałat; obaj klękają trzykrotnie przed dojściem do pontyfikalnego fotelu; następnie prałat znika, odwiedzający pozostaje na klęczkach przed Papieżem, dopóki nie otrzyma znaku, by usiadł.



Papież spacerujący po ogrodach Watykanu.

Po lewej stronie Pecci, siostrzeniec Papieża, po prawej prałat-participante.

Nazywają powszechnie Leona XIII „białym starcem Watykanu“ i trudno trafniej określić znamieny rys jego powierzchowności. Sutanna biała, pelerynka biała, pantofle także białe; i twarz biała, jak wosk, a z pod białej piuski wyrykają się krótkie pasma srebrnych włosów i wieńczą to zjawisko. Oko małe, lecz bystre, potężne i badawcze, usta żywe, z fałdami, ujawniającymi radość lub niezadowolony, nadzieję lub obawę. Głowa skłania się zawsze ku mówiącemu uprzejmie i badawczo, Papież słucha uważnie, kombinuje. Gdy wreszcie zdał sobie sprawę, z kim ro-

zmawia i o co chodzi, podnosi głowę; ze słuchającego dyplomaty przemienia się w rozkazującego monarchę; czuć, że ten fotel jest tronem, a że ów tron jest kazalnica.

Uderzającym jest w Leonie XIII to zwłaszcza, że etykieta nie obala szczerości i serdeczności, owego wdzięku natur niezwykłych; godność papieska nie oddziela, niby murem, Joachima Pecci, Namiestnika Piotrowego od gościa, z którym on raczy rozmawiać. Nie ma nic konwencjonalnego, nienaturalnego, lata nie nałożyły maski obłudy na to dziewięćdziesięcioletnie oblicze.

Spacer po ogrodzie Watykanu.

Audjencje kończą się zwykle w chwili, gdy wystrzał armatni i głos dzwonów obwieszcza Rzymowi południe. Wystrzał pada z zamku Świętego Anioła, dzwony rozbrzmiewają wszędzie. Papież, jeśli to wiosna lub jesień, przygotowuje się wówczas do spaceru. U drzwi tajnego przedsionka, leżą już na ławce kapelusz, wielki płaszcz czerwony i laska. Leon XIII wchodzi, ubiera się i w dalszym przedpokoju wsiada do lekyty, otoczonej sześciu *palafrenieri*, którzy już na niego czekają.

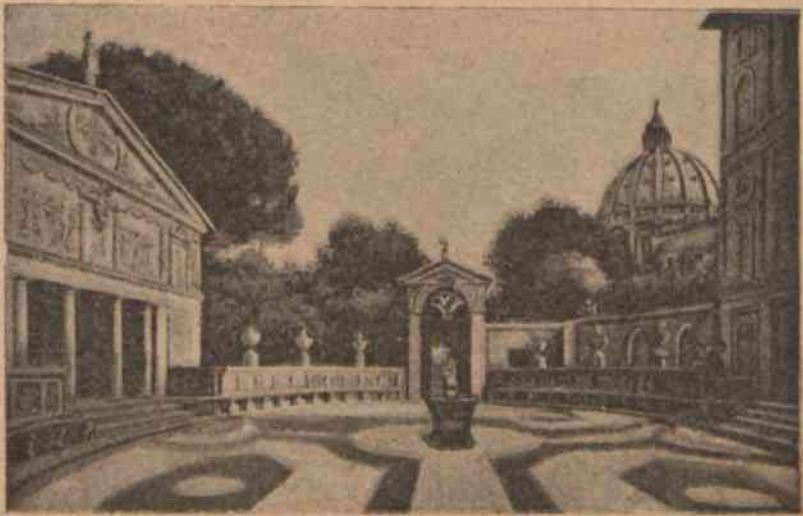
Pobłogosławiwszy stojących szpalerem gwardzistów, zajmuje miejsce.

Alzate! Na ten rozkaz wydany przez dowódcę *palafrenierów*, orszak wyrusza; sześciu ludzi niesie ów szacowny a tak lekki ciężar, osobę Leona XIII.

Idą nieskończonemi salami Watykanu, przez komnaty i loggie, malowane ręką Rafaela i Michała Anioła, na wezwanie papieży z epoki Renesansu; idą przez długie korytarze, wyłożone płytami nagrobkowymi i staroświeckimi stalami, przez salony biblioteczne, w których Leon XIII gromadzi manuskrypty, płacąc je bardzo drogo; przez muzeum rzeźby, w którym spią arcydzieła sztuki starożytnej, będące

wieczną szkołą dla ludzkiego smaku i niezapomnianą rozkoszą dla hołdowników piękna. Gdzieniedzie w tym długim szeregu sal i korytarzy, Papież każe się zatrzymywać; domownicy otaczają go kołem, zamieniają słów kilka i na znak dany przez Leona XIII, orszak posuwa się dalej, zdążając ku ogrodom.

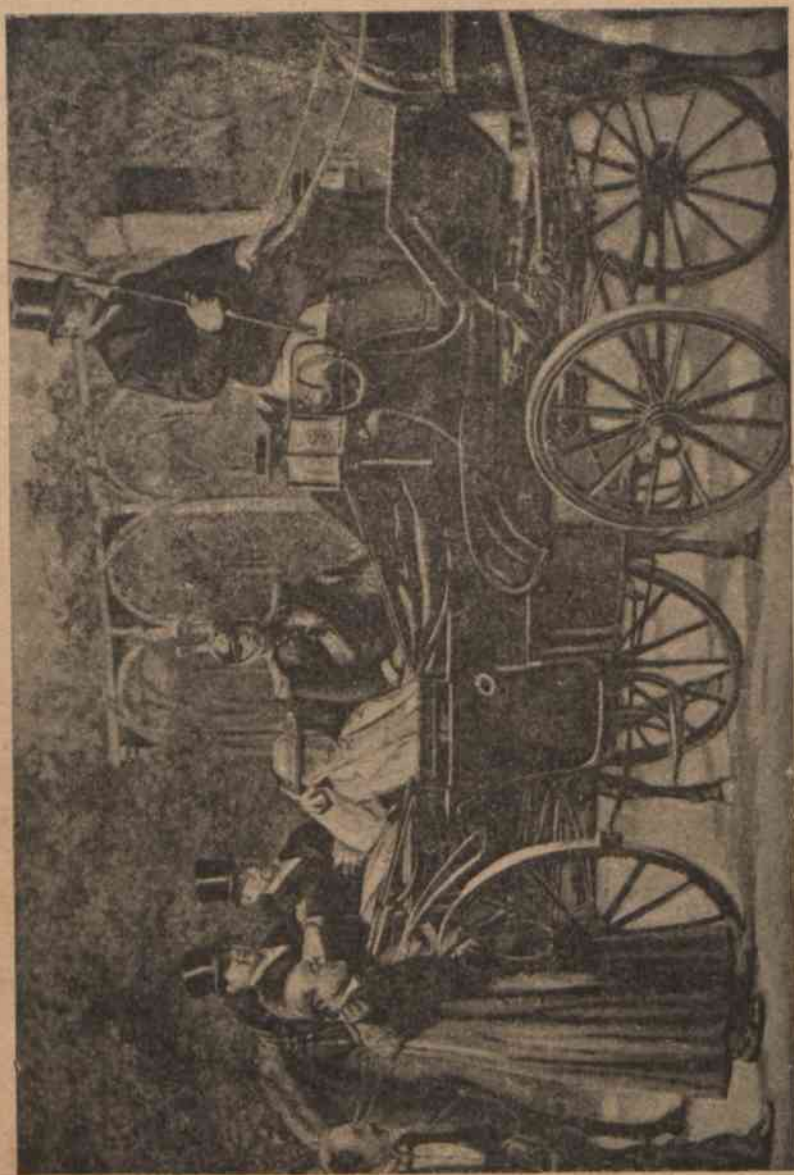
U furty stoi powóz. Lektyka zatrzymuje się przed stopniem o trzech kondygnacjach. Papież ciepło owinięty w białą sutannę, którą osłania długi płaszcz ponsowy,



Podwórze wewnętrzne Casina Piusa IV.

w ogromnym kapeluszu, także ponsowym, zaprasza jednego z prałatów *participanti*, aby wsiadł z nim do karety. Po zatrzaśnięciu drzwiczek, staje przy nich z każdej strony po dwu gwardzistów z gwardji szlacheckiej. Wzdłuż murów z pistoletem w rękę inni gwardziści stoją szpalerem.

Pod taką osłoną mała karetka toczy się zwolna szerokimi alejami dębowymi, ogrodzonymi żywopłotem z myrtów. Stangret skręca konie co chwila i objeżdża ogrody dokoła, aby dać złudzenie dalekiego spaceru, choć Leon XIII ma jednak zawsze jeden i ten sam krajobraz przed oczy-



Leon XIII jeżdżący po ogrodach Watykanu.

ma z różnego tylko punktu widzenia. Ogrody można objechać w dwadzieścia minut. Mijają fontannę Zitella, o wodzie smaczniejszej od wszystkich innych źródeł w Rzymie, nawet od słynnej Aqua Marcia. Na prawo pozostaje grotta Lourdes, w której Papież kazał zawsze palić lampkę. Jeśli się skręci na lewo przy wodach, tworzących kaskadę naokoło tej grotty, ma się przed sobą *Casino* Piusa IV. Tam ów papież z XVI w. nagromadził wszystkie ozdoby Renesansu, a nadał im wdzięk starożytnych willi rzymskich. To *Casino*



Parę minut odpoczynku na spacerze w ogrodach Watykanu.

było za bogatym i za wspaniałym dla następnych papieży, którzy, chcąc go utrzymać, wydawali na to sumy znaczne. Skutkiem wilgotnych piwnic, na których zbudowane jest *Casino*, niepodobna jest w niem mieszkać. Leon XIII wolał przeciwniegi skłon góry; tu od V wieku, na najwyższym i najzdrowszym szczycie Watykanu, wznosi się potężna Wieża Leonowa. W miarę zagłębiania się w ten zakątek *Boscareccio*, gęstwina dębów wzrasta, wreszcie przechodzi w las duży i zaciszny. Przed oczyma wznoszą się już nie krzewy, ale drzewa olbrzymie.

Wieża Leonowa jest ciężka, ogromna, przetrnięta dwoma tylko okienkami, wybitymi w murze grubości 2 metrów, za nią zębate mury ogrodu ciągną się linią długą, na sto metrów conajmniej i wiodą do drugiej wieży—obserwatorium Leona XIII. Ta perspektywa mogła mu dawać złudzenie wieków średnich, w których się tak lubuje.

Leon XIII, unikając wilgoci kasyna Piusa IV, postanowił zbudować tu dla siebie schronienie od upałów dni letnich. Przedewszystkiem zajął się budową pomieszkania



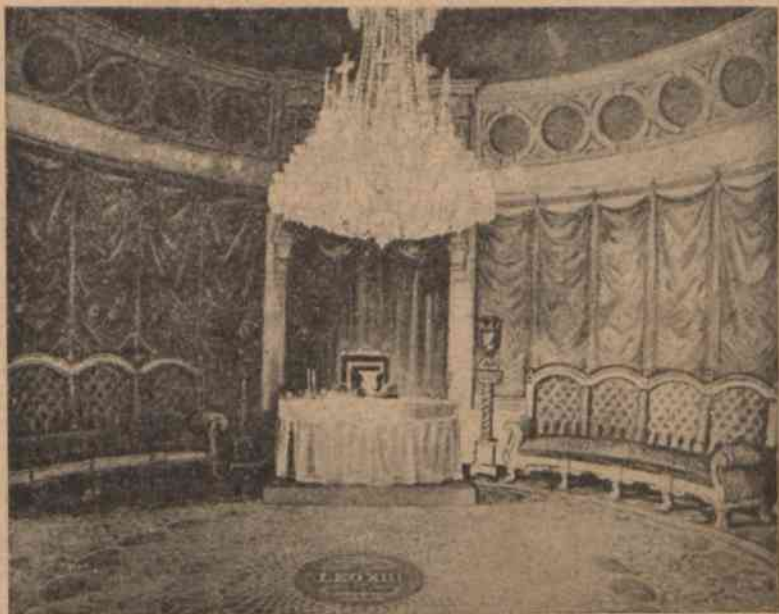
Papież na spacerze w towarzystwie pułkownika Pecci i straży szlacheckiej.

dla swojej służby i domowników. Ta willa ozdobiona małemi, zębatymi wieżyczkami. Skoro domownicy się ulokowali na dole, Papież zainstalował się w okrągłej sali pierwszego piętra.

Jestto rotunda, mierząca 8 metrów średnicy, nadto mury mają dwa metry grubości i przetrnięte są dwoma tylko oknami: jedno wychodzi na wschód, drugie na zachód. Przy oknie wschodniem jest małe *retiro*, w głębi którego umieszczono łożko i fotel dla popołudniowego odpoczynku; obok ga-

lerja z widokiem na wyżyny św. Piotra i na kopułę Michała Anioła.

Nikomiu nie wolno tu wchodzić bez wezwania. Lecz skoro tylko Leon XIII poruszy dzwonkiem, cały dom jest na nogach. Oto wierny Centra zarzuca płaszcz ponsowy na szczupłe ramiona swego czcigodnego pana i bierze ze stołu mały zegarek przenośny, zawarty w kryształowej kopercie i w złoto oprawny, oraz teczkę z cennymi papierami, które on tylko do rąk brać może.



Wnętrze wieży Leonowej, odświeżonej przez Leona XIII

Potem *monsignor participante* przynosi kapelusze, ulubione nakrycie głowy Leona XIII i laskę; sędziwy Papież woli opierać się na niej, niż na ramieniu prałata, zstępuje do czekającej na dole karety, która ma go odwiedzić do złoczonego więzienia Watykanu. Ale papież obchodzi jeszcze raz swój ulubiony przybytek. Zagląda do dwu starych papug, których klatki stoją przy pawilonie Vespignani. Przypatruje się winnej macicy, z której niegdyś sam zrywał grona. Potem zbli-

ża się do małego klombu na prawo, wacha krzewy róż herbacianych. Liczy pączki, przywołuje swego ogrodnika Pietro, daje mu polecenia. Następnie wsiada do powozu, który jechał za nim krok w krok, powraca do Watykanu, przyglądając się raz jeszcze alejom z dębów, po przez które widać Rzym i Monte Mario, tę daleką rzymską wieś, której dobrowolny więzień św. Piotra i wieży Leonowej nigdy już nie miał odwiedzić!



Wieża Leonowa.

Papież przy swem biurku.

Po przejażdżce, a nieraz i podczas niej, gdy siaduje w swej wieży, Leon XIII zwykł jest pisać i pracować. Pręd-

ko załatwia się z obiadem: zupa, dwie lub trzy potrawy, ser i owoce — oto cały posiłek. Wogóle posiłki zajmują bardzo mało czasu w dniu Papieża. Jada zawsze sam. Najdłuższe godziny zwykł spędzać przy biurku.

Gdy Leon XIII przygotowywa odezwy bądź do jakiego narodu chrześcijańskiego, bądź do całego Kościoła, zaczyna od kreślenia notatek na wielkich arkuszach ministerjalnych.



Widok ogólny Rzymu z pałacu watykańskiego.

Po zapisaniu arkuszków chowa je do szuflady i na klucz ją zamyka. Nigdy nic nie pozostawia na biurku.

Zgromadziwszy notatki, wzywa pomocnika, bądź swego sekretarza prywatnego, bądź sekretarza biegłego w łacinie, wreszcie sekretarza specjalistę od listów do monarchów. Sekretarz zbiera te urywki, przędzę, utkaną przez myśl Papieża łączy ze sobą, tworzy z niej całość, z wielkiem zastanowieniem i pietyzmem, pozostawiając oryginalne wyrażenia Leona XIII.

„Jest w nich lwi pazur“ — powiedział ktoś, czyniąc aluzję tą grą słów do imienia Papieża — otóż sekretarz nie zacierza nigdy śladów lwiego pazura. Papież wskazuje, co

poprawić należy; muszą przerabiać, dopóki nie okaże się zadowolonym.

Ów więzień, ów wielki samotnik jest tak wybornie powiadomiony o potrzebach świata, że jego encykliki są jakby odpowiedzią na te potrzeby. Nie w sobie szuka do nich wątku, lecz w obrazie nędz i potrzeb całej ludzkości. Wsłuchuje się w echa próśb, wymagań, a potem chwyta za pióro. W epoce, gdy wielu mężów widziało tylko przejściowy kryzys w kwestji społecznej, Leon XIII pisał o warunkach robotników słynny list, w którym duchowieństwo wszelkich krajów znalazło podniecie do dalszej działalności społecznej.

Dziwne, że ów papież dziewięćdziesięcioletni, który odbywał studja i dojrzywał umysłowo w epoce, kiedy demokracja nie zwróciła jeszcze na siebie uwagi, że on właśnie rozumiał ten fakt nowy i że go pojął nietylko jako człowiek, lecz jako najwyższy dostojnik Kościoła; ta mała pracownia, tak szczelnie zamknięta, była dostępna wszystkim prądom współczesnym.

Na wzór papieży średniowiecznych Leon XIII kieruje chrześcijaństwem; na równi z papieżami Renesansu lubuje się także w literackich rozrywkach, którym się zazwyczaj oddaje wśród nocy bezsennych.

Leon XIII jest niewątpliwie największym łacinnikiem naszej epoki; pragnął, że tak powiem, zostać poetą swego własnego pontyfikatu. Jedne wiersze pisał dla siebie, inne — dla Kościoła. Przez kilka lat co roku przysyłał arcybiskupowi Reims poemat łaciński o Francji z powodu rocznicy chrztu Klodoweusza. Ta łatwość władania łaciną jest mu nietylko miłą rozrywką, uważa ją też za obowiązek swego pontyfikatu.

Świat, zawojowany przez Rzym, został następnie podbity przez Kościół; a Kościół, nie szukając bezużytecznych inowacyj, przyjął szatę, którą Rzym pogański mu zostawiał. Upłynęło dziewiętnaście wieków i nikt lepiej od Papieża nie potrafił nosić tej szaty i lepiej na niej haftować.

**Rozmowa wieczorna. Papież w nocy.
U św. Piotra.**

Praca przeciąga się do późnego wieczora. Czasem, przed udaniem się na spoczynek, Papież posyła po lektykę i orszak rusza znowu wśród nocy, zstępuje korytarzami, ale już nie do ogrodu, lecz ku olbrzymiej i ciemnej nawie. Papież idzie modlić się do bazyliki św. Piotra. Nie wkracza tam po królewsku, jak za czasów, gdy władał Rzymem, wchodzi szybko, cicho, bocznymi drzwiami, klęka przed „Confessio“, w której spoczywają szczątki Piotra Apostoła.



Kardynał Parochi idący przez korytarz watykański w towarzystwie swego sekretarza.

Zmarły, leżący pod tym nagrobkiem i żywy pasterz, pochylający się nad klęcznikiem, stanowią jakby jedną i tę samą osobę, pomimo dziewiętnastowiekowego przedziału.

W tym okresie przesuwali się najrozmaitsi Papieże. Leon XIII, rzucając okiem na nawę św. Piotra, widzi ich grobowce i jego modlitwa staje się jakby wizją. Widzi w krypcie lub pod płytami bazyliki postaci papieży, którzy niegdyś oddawali swą potęgę materialną i swoją zbrojną siłę na usługi moralnego posłannictwa średniowiecznych

papieżów teokratów, a następnie papieży, wzywających monarchów, aby pomogli istnieć i utrzymywać się Kościołowi, wreszcie papieży „dyplomatów“ dawnego systemu.

On nie ma ani potęgi materialnej, ani protekcji monarchów, lecz wprzód niż wielu monarchów zrozumiał, że sprawy ekonomiczne i społeczne w wieku dwudziestym wezmą przewagę nad kwestjami politycznymi i, przywiązując swe imię do badania tych kwestyj, zwrócił się wprost do serca tłumów. Będzie to cechą znamioną Leona XIII, że on, mąż tradycji, odgadnął przyszłość i że w imię tejże tradycji usiłował do przyszłości się zastosować, aby nią potem owładnąć. Dzięki jemu, papieństwo XIX w. spełniło najpiękniejsze zadanie, jakiego można było po niem się spodziewać, objęło posterunek na straży przedniej, wszczęło sprawę długoterminową, w nadziei, że ją wygra.



Jeden z kardynałów i prąci opuszczający Watykan po kongregacji.

W OTCHŁANI.

Z wrażeń lekarza miejskiego.

W zesłej książce daliśmy czytelnikom obraz „Ratowania dusz ludzkich, okaleczonych występkiem“, wzięliśmy go z życia Europy zachodniej. Opieka nad występny — jest to zdobycz czasów ostatnich, jest to niejako szczyt zabiegów społecznych. Nie można się więc bardzo dziwić i gorszyć, że u nas do tego punktu jeszcze nie doszło, żeśmy nie mieli czasu i środków do zajęcia się synami marnotrawnymi, niegodnymi członkami ludzkości.

Ale czas już o tem myśleć i do pracy się brać. Wymaga tego nie tylko współczucie i miłosierdzie, ale i względy dobra ogólnego. Gdziekolwiek jest kałuża, trzeba ją wysuszać, gdziekolwiek jest grzech, trzeba go plenić.

Praca, którą tu dajemy, wyszła z pod pióra dr. Józefa Tchórznickiego, którego już od szeregu lat znajdujemy zawsze w liczbie pracowników i inicjatorów na wielu polach pracy społecznej, szczególnie zaś tam, gdzie chodzi o lud biedny, gdzie chodzi o cierpiących. Pełniąc obowiązki swego zawodu, umie patrzeć dokoła siebie, umie dojrzeć niedolę, zrozumieć ją i odczuć. W niezmiernie ciekawej pracy niniejszej odchylił on rąbek tajemnic Warszawy. Jak wszystkie zazwyczaj tajemnice wielkomięskie, kończą się one w kryminale.

I co? — pyła się lekarz-obywatel. Czy istotnie w kryminale winien być koniec? Czy może być koniec? Człowiek z „duszą, okaleczoną występkiem“ dostaje się do nory, do otchłani zarażonej najgorszymi zarazkami i zarazki te padają na ranę świeżą. Stan się pogorsza. Rana była może drobną, może przypadkową, teraz przy

chodzi zakażenie krwi w całej istocie ludzkiej. W więzieniach nie-
szczęśliwcy nasiągają tem, co najgorsze dla ogółu: złość, nienawiść
wzbiera w ich sercach, a uczą się tam, w środowisku zbrodni, spo-
sobów nasycenia zgubnych popędów. I tacy wracają pomiędzy ludzi.

Musi wszędzie przyjść kolej na ratunek w tym punkcie Po-
wstań stomarzyszenia, instytucje. Ale to będzie niedoskonałe, bez-
silne, nieczynne, jeśli w społeczeństwie nie dojrzeją uczucia, niedo-
rosną myśli, jeśli nie będzie ono miało przygotowanej opinji, jeśli
nie wyda ludzi chcących i umiejących pracować nad zaspokojeniem
danej potrzeby!

Aby przysposobić ogół nasz do skutecznego podjęcia zadania
napisał dr. Tchorznicki swą pracę, z tą intencją ją drukujemy.

Autorem marzy, iż do ponurej otchłani zejdą kiedyś białe anioły
ziemskie ze współczuciem w sercu, z pociechą i nauką na ustach.
I stanie się tam jaśniej i cieplej. Zło się zmniejszy, cierpień ubę-
dzie a ogół zyska na zdrowiu i siłach.

Od nas samych zależy spełnić te marzenia. Trzeba naprzód
wiedzieć, potem czuć, wreszcie pragnąć. My chcemy dopomóc
w punkcie pierwszym, resztę szukajcie w sercach własnych.

Po pracy.

— Przynajmniej dzisiaj zdażyłeś na obiad — trzecia
punkt, co się stało? a to się chwali... nareszcie może prze-
stanie palić się węgiel napróżno... — zrzędziła pani domu,
uradowana w duszy z niezwyklej punktualności męża.

Siadamy do stołu. Pyszny rosół paruje z talerza, a w dali
widać sztukę mięsa z kwiatkiem. Człek się posili, minutkę
zdrzemnie i o 4-ej do gabinetu na rozmówkę z pacjentami,
i Bogu chwala dzień jakoś przejdzie spokojnie. Przy stole
jedyne chwil kilka do gawędki, zaczyna ją ktoś mniej zmę-
czony:

— Pójdziemy dziś do teatru?

— Wątpię.

— Otóż pójdziemy... Zrobiliśmy panu niespodziankę,
są bilety... Aha! „Hrabinę“ trzeba słyszeć koniecznie.

— Taak... a ja mam dziś... „Posiedzenie“.

— Ach, już wreszcie dosyć tych posiedzeń. Niech so-
bie ciocia wyobrazi, od 9-ej rano do 3-ej w dorożce, zmęczo-
ny, zziąjany; a wieczór albo posiedzenie, albo pisanina do 1-ej.
Eh! już mi zbrzydło życie—dąsała się pani domu.

— Darujcie panie, ale inaczej być nie może! Zato, co za sztuka mięsa z białym sosem... wyborna! taką mieć można tylko w Warszawie!...

W tem dzwonek... mocno... raz, drugi.

— Cóż tam u licha?...

Służąca spiesznie biegnie i wraca z doniesieniem: pan rewirowy!

— O tej porze?... to coś ważnego... Zobaczmy...

— Co pana tu sprowadza?...

— Po pana radcę! Pan komisarz prosi, na Niskiej człowiek zabity!...

— Jakto? na śmierć zabity, czy może tylko raniony?

— Na miejscu! tylko obdukcja konieczna. Sam pan Komisarz tam dawno...

— Masz tobie!... tak zawsze... — przerwała pani domu — tymczasem proszę kończyć obiad! proszę...

I wzrok błagalny spoczywał na zdecydowanym biedz natychmiast ekspercie.

— W tej chwili jadę, przepraszam, moja droga. Skończę, jak wrócę. Nie podobna inaczej. Muszę... tam czekają...

— Ależ wystygnie, zmarnuje się wszystko na nic, ah! tak zawsze...

— Do widzenia, do widzenia. Za chwilę będę z powrotem...

Nad rynsztokiem.

Siadamy do dorożki, a chociaż koń dychawiczny, to jednak podąży co sił starczy, tak działa na woźnicę władza. Mknjemy dość szybko wśród urywanej rozmowy.

— I któż to jest zabity?

— Ot, pewnie łobuz i nożownik, panie radco, jak oni wszyscy — brzmi odpowiedź.

— Ach, więc to z takiej sfery? Poznany?... zeznał co jeszcze?

— Gdzie tam! ani słowa, zastaliśmy już tylko trupa...

— No, ale przecie chyba wiadomo, skąd aż do tego przyszło?

— Nic niema pewnego, panie radco, kilkunastu ludzi wybiegło z szynku na rogu Niskiej, goniąc się szybko. Jedni uciekali, chowając się po podwórzach... lecz widać tamci go dopadli, skoro nie żyje.

— Czy tylko jeden zabity?

— Dwóch ranionych jeszcze, a pewnie jeden z nich umrze, obaj w szpitalu...

— Jeśli to pobytowcy, to czas by już raz z tą plagą skończyć.

— Ho, ho! panie radco, ich coraz więcej przybywa.

— Panowie ich pewnie znacie?

— Prawie każdego, pomiędzy nimi wciąż chodzimy, a kto go wie, co tam w zanadrzu trzyma.

— Najprędzej nóż, a ten nieboszczyk, nożem zabity?

— Nożem... dycht w serce.

Zbliżamy się do celu. Już od rogu Dzikiej tłum czarny zalega ulice. Pomimo godziny pracy, setki mężczyzn i kobiet biegną w stronę zamkniętej bramy.

— Skąd takie tłumy?

— Z domów, panie radco, byle co, to wylegną ze wszystkich kątów jak mrowie.

I rzeczywiście przy samej bramie trudno przejść. Stukamy. Otwierają, a za nami paru ciekawych prześlizguje się zrecznie.

Tu oczom naszym przedstawia się okropny widok. Na brzegu rynsztoka, w wązkim brukowanym przejściu leży na wznak mężczyzna około lat 30, silny, barczysty, odziany w szarą kurtkę, spodnie i buty. Twarz z pewnym odcieniem grozy przedśmiertnej. Włosy blond i niewielkie wąsy, oczy w słup, powieki otwarte. Całe ubranie, twarz i głowa zbroczone krwią i obryzgane błotem, na rękach i czole kilka ran świeżych; krew broczyć już przestała, spłynąwszy smugą do rynsztoka i na ulicę...

Opodal władze — komisarz, pomocnik, paru rewirowych i kilka nieznanych osób.

— To mamy znów przyjemność — zaczął komisarz wskazując okiem na trupa...

— Ha — wrzuszam ramionami, przyglądając się ranom twarzy...

— A zawsze o kobiety — dodał pomocnik.

— Czy tak?...

— Naturalnie... i o pieniądze, rzecz prosta. Chyba na świecie z tego powodu najczęściej nieszczęść — dorzucił.

— A kto winien? — dodałem żartem — panowie... Zle pilnujecie.

— Jak raz! Ich upilnuje, a co ja Duch Święty, czy anioł, żeby za każdym chodzić i wiedzieć, co on ma zamiar zrobić? — dodał pomocnik, pewny, że ma rację...

— Ależ podobno byli zebrani na pijatyce?

— No tak cóż? Pić każdemu wolno... któż może przeczuć, co oni będą, bić się czy całować?... To najgorsze, że krzesło dotąd niepoznany; ale to się wyjaśni.

— Pan zapewne spisze akt?

— Mój już spisany. Oho! ja bym tam czekał, dobrze bym wyszedł, u nas czuj duch! w 5 minut gotowe do raportu. A pan doktor tu pisać będzie?

— Może to i najlepiej...

W tej chwili ustawiono tuż nad rynsztokiem stół i parę krzeseł i zasiadłem do pisania.

„Działo się... etc...“

W tem... silny stuk do bramy i poprzedzony przez policjanta wszedł sędzia śledczy. Na twarzy jego znać pewne wzruszenie. Wita uprzejmie obecnych i do dzieła.

— Protokół śledztwa tymczasowego gotowy? — zwraca się do komisarza.

— Tak jest, proszę.

— Śmierć stwierdzona? rany nożem? — pytał doktora.

— Rana nożem w serce śmiertelna — reszta mniej ważne.

— Bezwarunkowo śmiertelna?

— Jak sędzia widzi.

— No naturalnie; ale muszę dokładnie wiedzieć. — I jał troskliwie indagować — kto? jak? kiedy? któredy? po-co? naco? skąd? dokąd? czem? w jaki sposób? i t. d.

Wtem nowy stuk do bramy — tłum się usuwa, z powagą wchodzi prokurator. Za bramą robi się ruch, wrzask i odpychanie wielce ciekawych. Nieznane figury prostują się i stają rzędem, a jedna z nich, snąc starszy, objaśnia i zdaje szczegółowo sprawę...

— Dobrze... a winowajca zatrzymany?

— Dotąd nie, ale będzie, już swoich ludzi posłałem — są na tropie...

— Dobrze, więc przewieźć ciało do prosektorjum, a my do kancelarji...

W tem grzmot głuszy mowę; jedna, druga błyskawica porze firmament, a deszcz ulewny leje jak z cebra... Całe gremjum przybyłych chroni się do szopy stolarskiej w podwórzu. Znoszą tu krzesła, usuwają deski, a właściciel, zakłopotany obecnością tak ważnych gości biega i daje rozkazy robotnikom, którzy nie przestając swej roboty, piłują dalej i heblują deski.

Deszcz nie ustaje; na twarz, oczy i ranę nieboszczyka bije rześista fala, ale i myje dokładnie, a krew z rynsztoka płynie wraz z błotem do kanałów miejskich i miesza się ze ściekami...

Wtem nowy stuk do bramy, płacz, jęk i krzyk.

— Puście mnie! puście...

— Każe pan puścić? — zwraca się sierżant do komisarza...

— Naturalnie puścić.

Młoda dziewczyna z przeleknioną twarzą, rozrzuconemi włosami, obryzgana błotem, wpada zziajana, lecz zobaczywszy trupa, pada zemdlona tuż przy jego stopach z okrzykiem: ach!

— Zemdląła... Panie doktorze...

Bryznięcie wodą raz, drugi i przytomność wraca. Nieznajoma otwiera oczy ze słowami:

— On! tam... Ach! ja nieszczęsna! Ach, co zrobili. On, Franek! Franek!...

Grupa nieznanym ludzi otacza przybyłą, a zagadkowi ludzie dopytują chciwie: Kto to jest? jak się nazywa. A ty kto? Pytania rzucające w nieladzie i natarczywie, zostają bez odpowiedzi.

— On! On! Ach!.. Co zrobili... — i płacz, i jęk, i powtórne zemdlenie...

— Chwilkę... niech się uspokoi... — robi uwagę lekarz.

Deszcz zwolna ustaje, na horyzoncie widnieją kręgi pięknej tęczy. Wszyscy opuszczają szopę i otaczają dziewczynę... która, wypiwszy nieco wody, podnosi głowę, otwiera piękne oczy i ciężko wzdycha.

— Więc kto to taki?...

— On... Franek Zakura.

— Wasz mąż?

— Tak... nie... mój narzeczony... ja jego... ach!... ach! — i z temi słowy zrywa się z ziemi, szybko podbiega i rzuca się na ciało, łzami je rosząc. Chwila milczenia, nikt nie śmie przerwać śmiertelnego uścisku...

— Stało się... Ale uspokój się panna. Nie wróci... Co to pomoże, myśl panienka o sobie... bo zachorujesz... — uspokaja lekarz.

— Jeszcze wody... Co panowie chcą?

— No powiedz panna, co wiesz o zmarłym? dawno go znałaś? — pyta sędzia.

— On szewc... miał mnie i Ankę Kurnos, ze mną miał się żenić, a tamtę tylko tak manił. Teraz po wszystkim... po wszystkim...

— Dawność go panna poznała?

— Dwa lata. Z początku manił, a potem by się ożenił.

— A kto go zabił — nie wiesz?

— Nie wiem, ale chyba by Walek, bo miał do niego złość... O biedna ja sierota.

I znów płacz, lament i łkanie.

— No dosyć, dosyć... — woła sędzia, dając rozkazy co zrobić z ciałem.

— Proszę panów do kancelarji, tam napiszemy protokół — dodaje komisarz.

— Mój protokół gotów — mówi lekarz — nie oznaczyliśmy tylko godziny sekcji.

— Więc jutro o 11-ej.

— Zgoda, do widzenia.

Opuszczamy podwórze. W duszy — gra sprzeczności. Ot, marne życie... I jego karmiła matka — drżała, gdy niebezpieczeństwo groziło dziecięciu — pielęgnowała... strzegła... uczyła pacierza... Całowała lica, cieszyła się z synka, synalka i syna, a gdy szedł na zarobek do Warszawy, dziękowała Bogu, że z syna będzie człowiek. I on budził namiętność... szął... czy miłość w duszy tej oto dziewczyny, która rozpacza i płacze... Może to niezły człowiek? Może ofiara napaści, afektu, chwilowego zapomnienia? A może...

W domu.

Ruszaj do domu! godzina szósta, a tam od czwartej czekają pacjenci z choremi dziećmi. No, ale trudno, wypadek, chociaż, co prawda, dość częsty, inaczej niepodobna.

Oto i dom...

Kilka osób jeszcze czeka, na każdej twarzy wyrzut, lub rezygnacja, wyczerpana cierpliwość lub oburzenie.

— Przepraszam... Przepraszam... — powtarza lekarz — wypadek... Proszę... proszę.. po kolei... kto pierwszy, lub kto pilniejszy.

— Proszę pana, pani prosi.

— Idź! idź... i przeproś panią, zaraz przyjdę... Niepodobna inaczej, wszyscy czekali. Są chorzy, znudzeni... może cierpiący bardzo... Może kto też czeka na ich przybycie. Może kto na kolej spieszy. Może naznaczył termin

drugiemu. Może wreszcie czekać nie chce, aż doktor się posili. Naznacza godzinę przyjęć, powinien być i basta...

Powoli... powoli... wszystko się załatwi.

Nareszcie...

Po tyłu wrażeniach jakieś 15 minut ciszy przy zapuszczonych roletach, jakaś chwilka zapomnienia o tym świecie tak szalonym, tak djabelsko wyzłoconym,

Że bierz tylko garścią pełną
Wody, ognia, krwi czy błota
To się zawsze dojmiesz. . złota...

Posiedzenie odwołane, a więc wieczorkiem cisza...

Co za przyjemność zastanawiać się nad tem, co pilniejsze... co jeszcze może poczekać... a ileż to kartek, listów, bruljonów pójdzie do kosza...

Wtem! dzwonek... Depesza!...

„Proszę być o 9-ej w Wydziale Śledczym.“

Brr! Brr! Wydział śledczy! Jaknajdalej od tej instytucji, tajemnej jakiejś i przejmującej dreszczem spokojnego obywatela, który nigdy nie miał z nią do czynienia...

Trzeba mieć specjalne upodobanie do tego rodzaju pracy. Stałe niedowierzać, śledzić, trop w trop podejrzanego lub złoczyńcę, to trzeba zamiłowania.

A wśród tej pracy czyż nie zmienia się charakter, czyż nie napawa się dusza podejrzliwością, niedowierzaniem... pesymizmem?...

Brr! Brr! jaknajdalej... jaknajdalej!...

— Taak... pan lubisz tylko kwiaty, w maju róże, kwitnące bzy, narcyzy... czysty księżyc na lazurze... łódkę... kochankę... śpiew i błogość w duszy...

— A lubisz cicho i spokojnie spać?...

— No, to dziękuj Bogu, że są ludzie, którzy zmuszeni byli tego wszystkiego się wyrzec, abyś ty mógł smacznie i słodko i bezpiecznie spać, wśród murów tej otchłani, co się zwie wielkiem miastem.

Działo się...

Więc o dziewiątej... Wydział śledczy...

W jednym z zaułków Ratusza — tuż przy areszcie policyjnym, nastroszonym rzędami koszów żelaznych, zasłaniających światło osadzonym tu ludziom. Są wąskie schody, prowadzące na drugie piętro — do biura urzędu śledczego. Kto tu nigdy nie był, sądziłby że to także kazamata... więzienie... wieża?... Bynajmniej, zwykłych kilka pokoi o charakterze najzwyczajniejszego biura. Stoły zielonem suknem kryte, odwieczne krzesła, żadnych firanek, kałamarze i pióra, brak spluwaczek i miękkich mebli. Woźny, kancelista, sekretarz, adjunkt, nadzorca starszy, młodszy i nad wszystkimi szef.

Wszyscy ci panowie dzień i noc głowę suszą nad tem, jakby wynaleźć skradzione broszki, kolczyki, ślubne pierścionki, zegarki, wskazujące godziny szczęścia i nieszczęścia, i pieniądze... owoc zabiegów i [pracy całego życia nieraz. Jakby przeniknąć tajemnicę zbrodni, odkryć prawdę, a przede wszystkim wynaleźć i schwytać winnych.

Godzina 9-a, już ciemno... więc zapalono lampy.

— Pan doktor!... — słyhać donośny głos woźnego.

— A dobrze... proszę... proszę... — prowadzi adjunkt do jednej z sal. — To pana doktora fatygują tak późno... można by jutro, ale rozkaz z góry, trzeba do raportu. Co kilka minut przyprowadzają nowego... to łotry... gałgany... sama młodzież... same łobuzy... zaraz tu ich pokażą...

— A zabójca jest? — pytam zaciekawiony.

— A kto ich tam wie? to się ze śledztwa okaże...

Siadamy za stół.

— Przyprowadzić tam Łyczaka — woła nadzorca...

Wchodzi mężczyzna średniego wzrostu, ubrany chędogo, tylko na czole i uchu przepaska i bandaże, a w oczach... coś, co mówi przy pierwszym wejściu... że tu coś z dzikiego zwierza zostało...

— Są rany? — pytam...

— Tak... na czole i za uchem... i parę draśnięć.

Zdejmujemy opaskę i zaczynamy pisać. „Działo się... itd...”

— A jak to było?

W odpowiedzi milczenie i parę błędnych bezmyślnych spojrzeń, w których widać jasno: „Aha! będę ci gadał. . Nie-ma głupich!”

— No, powiedz, jak było — dodaje szef.

— A cóż, ciął nożem raz, drugi, i tu, i tu... prędko się zrośnie?

— A ręce całe? A ubiór we krwi?

— Więcej nigdzie ran nie ma?

— Nigdzie, tylko tu... prawie głuchy.

I bystre oczy biegły w koło, jakby oswojone z otoczeniem. Tymczasem felczer kończył opatrunek.

— On nic nie powie—dorzucił adjunkt—z nich nie wy-dostanie... napróżno,..

— Dawaj drugiego: Szlagstein... smagły brunet, ruchy zamaszyste, śmiały i bez ceremonji, widać bywalec; wszedł, stanął na przyzwoitej odległości, jak wymustrowany żołnierz i milczał...

— Szlagstein — pytał szef.

— Ja, panie naczelniku!

— Znów wpadłeś?

— Niestłusznie, panie naczelniku. Jak Boga kocham, żebym tak zdrow był, nie wiem za co.

— A te siniaki na twarzy? a ta rana skroni?

— To jeszcze pozawczoraj... byłem pijany. Pan naczelnik wie, z Grünszwerelem i Sysińskim, mogą zaświadczyć.

— To łotr skończony — zauważa szef. — Już pewnie z dziesięć razy karany...

— Co? ja? Co też pan naczelnik mnie obmawia, dwa razy byłem pod aresztem i to niesłusznie... a że teraz na mnie kto gada, to jak sobie chce.

— No co tam długo słuchać, pokaż rany.

„Działo się. .”

— A teraz dajcie tego franta Mrocza.

Blondyn wysoki, biały, rumiany, lat 26-u, wchodzi z wyrazem twarzy niespokojnym, ale śmiałym — jak gdyby mówił „Naprzód! nie pierwszyczna”.

— No, mów zaraz, jak było — rzuca z góry adjunkt.
 — Jak było? Pan radca wie przecie...
 — Ty mów, złapano cię z nożem i całyś pokrwawiony.
 — Bo mnie uderzył Walek Zyzowaty i szyję pokaleczył, ale ja nikogo nie biłem. Piliśmy jaknajlepiej...

— No, a z czego się zaczęło?

— Albo ja wiem, ja nic nie widział, tylko jak słyszę, że się kłóca, tak za czapkę i na ulicę, a tu leca, łapią i masz.

— Więc nic nie powiesz?

— Nic nie widziałem, jako żywo. Pan radca na mnie... ja dalibóg!...

— Poczekaj wyśpiewasz ty mi powolutku... wyśpiewasz!

Wyraz niezłomnej woli, by nic nie powiedzieć, zagrał na rysach, które z dobrodusznych przybrały odcień serjo... Oczy wytrzeszczył jakby w przewidywaniu czegoś groźnego... Obejrzano rany, poczem niedbale opuścił sałę... a my pisaliśmy dalej...

„Działo się...”

Teraz Antoni Durzyński — prędzej, nie marudzić!

Młody chłopiec, lat 18 do 20, twarz przelękniona, szaryn z niebieskimi oczami, rysy miękkie, mina pokorna, kurtka szara i bujna czupryna nadają mu wygląd dobrodusznego ulicznika, który tu zamieszkał się niechcący. Na twarzy i czole rany.

— No, jak to było... gadaj żywo!...

— Ja nic nie winien, wielmożny panie, dziś rano po mnie przyszedł Szlagsztein i gada: bądź w szynku na Niskiej, zagramy w pasek...

— No i cóż?

— A cóż, poszedłem... bom się bał, jak nie pójdę, myślę sobie, to skarżę... Byłem na czas, siedliśmy w pasek, wygrałem już trzy ruble... Wchodzą i wchodzą... myślę sobie: co to? aż tu siadają i pić każą coraz więcej... Przyszedł i Franek, ten co zabity, i zaraz jak tylko wszedł, zrobił się gwałt, ale nic, siedli... i piją. Aż tu naraz, jak on nie wstanie i wprost do Miszowera: Dawaj pieniądze! Słyszysz! dawaj! Co, jak... i dziewczyny się znalazły.

— To on jemu był co winien?

— A jakże, to wiadomo. Narzeczoną sprzedał mu za 50 rb. i wziął zadatku 10, a jeszcze 40 miał dostać, a ona Miszowera ani weź. „Chcesz, zabij!—woła do Franka,—nie pójde!...” i tak nie chciała. Ten ją pięścią, ona nic—ten kijem, ona nic, przy nim i przy nim... Miszower myśli: kiedy tak, to i zadatek przepadł... I tak się wadzą... Nareszcie Franek, zły, jak huknie pięścią w stół... jak krzyknie: „chłopczy, kosy do góry!” Wiadomo, jego słuchać trzeba... Zaraz wyjęli noże i czekają... Tak stoją. „No dasz, czy nie, gadaj”—krzyknął Franek. „Nie głupim! Niech do mnie idzie”... Kiedy tak! dobrze, jazda chłopcy!... I jak zaczęli... to już nie wiem... Kłuli się i kłuli, i ja widziałem tylko, że Marjensztadcy górą, a tamci w nogi...

— A ty co?...

— Dostałem bez łeb kilka razy, a jakem na ulicę wypadł... tak do domu.

— A który zabił Franka?

— A bo ja wiem, ja nie widziałem. Miszower ze swemi tam poleciał...

— No, pokaż rany...

„Działo się...”

— To taki młody smyk, a też recydywista, już był w więzieniu, tylko krótko, jeszcze nie przeszedł szkoły... — zauważył z ironją adjunkt...

— Co, ładna gwardja, panie doktorze... E! co pan pierwszy raz ich widzi. a nam tak codziennie, to już się i przejadło...

— Nie sądziłem, żeby sama młodzież...—zauważyłem.

— A właśnie najwięcej takich zuchwalców i to zdemoralizowani do szczętu...

— Pobytowi — spytałem...

— Przeważnie — była odpowiedź. — Chociaż nie wszyscy. Są tu rabusie i złodzieje profesjonalni i kieszonkowi, nożownicy i wilki...

— Jak to wilki?...

— To taki specjalny rodzaj zbrodniarzy... a młodzież wciągają systematycznie.

Rozmowę naszą przerwało wprowadzenie kobiety.

O n a.

Postać okryta ciemną chustką, kryjąc twarz, zbliża się do nas w milczeniu.

— Bliżej... — rzuca szef — odkryć twarz.

— Z jakiego powodu zatrzymana? — zwraca się szef do agenta.

— To jedna z kochanek zabitego, ma na sobie ślady pobić... znała go dobrze...

W tej chwili dał się słyszeć powstrzymany płacz i łkanie, a odchyłona chustka pozwala ujrzeć twarz młodej dziewczyny, o regularnych rysach i smukłą postać...

— Jak się nazywa?

— Marjanna Sekuła.

— Lat?...

— Dwadzieścia...

— Skąd rodem?... gdzie mieszka?

— Ze wsi... zameldowana na Mostowej...

— Co wie o nieboszczyku?...

Milczenie i płacz...

— Ale prędzej... tu niema czasu na korowody. Mów panna, o co pytają.

— To cóż? znałam go już z rok... Obiecał się żenić i gdyby nie umarł, napewnoby to było... a teraz już nic z tego...

— To pannę sprzedał?...

— Albo ja wiem... kazał iść do Miszowera i wygnał mnie ze złości, żem mało przynosiła... Ale ja go znam, to nie na długo. Byłoby przeszło... tylko ta Anka mu teraz w łeb wlała i przez nią zaczął się zemną wadzić...

— A skąd siniaki? — spytałem.

— A jakim przyszła pozawczoraj do niego. I mówię: „nie pójde... kiedyś zmanił... to teraz masz... teraz będziesz sprzedawał... Gałganie...” Jak wpadł w złość, jak nie zaczął i pięścią i kijem okładać...

I rzeczywiście na głowie, plecach, rękach, twarzy i nogach miała duże sińce i wylewy krwiste, na trzy palce szerokie i wzniesione nad powierzchnią skóry. Zbita na kwaśne jabłko co się zowie... Aż żal patrzeć...

— I panna kochałaś tego Franka? — rzucam mimowoli.

— On był dla mnie dobry... żeby nie Anka... ale to już dopust Boży...

— To pewnie boli... ostrożnie, ostrożnie... Musimy opisać po kolei...

Odkryte ciało młodej dziewczyny ujawniało niepospolite wdzięk ramion, piersi i biustu... a na niem... sine pręgi... dowody miłości... Boże! w innych warunkach, ta istota mogłaby wnieść do rodziny też miłość, tylko czystą, dziewiczą, być rozkoszną, kochaną żoną... zdrową, piękną matką i dobrą córką... a teraz?... I mimowoli rodzi się pytanie o jej przeszłości, rodzinie, matce...

Lecz niema czasu na pytania, rzucam więc krótko:

— Żyją rodzice?...

— Żyją, ale znać nie chcą...

Domyślam się reszty, a wreszcie czas było zacząć... „Działo się...”

Profesor.

Tu wprowadzono nowego uczestnika bójki.

— Profesor! — zawołał mimowoli szef.

I przed nami stanął mężczyzna lat 40. Twarz śniada, rysy ostre, oko czarne, wąsy rzadkie, wyraz twarzy nacechowany przebiegłością i sprytem. Podszedł na kuli, gdyż nogi do kolana brak.

— A ty jak wpadłeś? — ostrożny ptaszek, a jednak?

— Szedłem sobie do domu, ani wiem za co mnie wzięli. Pan adjunkt każe uwolnić...

— Poczekaj! niech się wyjaśni.

— Co wiesz o zabójstwie?...

— Nic! ani wiedziałem... ani wiem... dopiero w drodze powiedzieli mi, że kogoś zabili.

Ran nie było, tylko parę siniaków powierzchownych. Nie zadawano mu więcej pytań, a gdy wyszedł, szef dał wyjaśnienie.

— Profesor to, widzi pan, łotr na łotrami, kiedyś sam kradł i, wyskakując z 3-go piętra z balkonu, złamał nogę, którą odjęto. Teraz sam nie kradnie, lecz dyryguje i uczy, a za to dzieli się. Zna Warszawę, a szczególnie pewne dzielnice, jak swoją kieszeń i kieruje każdą ważniejszą kradzieżą lub zbrodnią, ma się z tego dobrze. Pan zauważył jaką czelność i pewność siebie na tej twarzy.

Rzeczywiście fizjonomia pozostała w pamięci...

Dalej wprowadzono po kolei, aż do skutku, pobitych i poranionych, lecz spóźniona pora nakazywała skracać pytania, tembardziej, że nic nowego one nie dodawały i nie rozjaśniały kwestji, znanej dobrze szefowi, adjunktowi i agentom.

Zainteresowanie się sprawą samą przeciągało zbytnio badanie lekarskie. Może nawet robiono pewien rodzaj uprzejmości, ilustrując stan rzeczy i rzucając pytania, nie należące do obdukcji. Kończyłem więc spieszenie protokoły obdukcyjne, a gdy były gotowe i zabierałem się do wyjścia, przyprowadzono jeszcze nowego ptaka, z oznajmieniem, że mogą jeszcze przybywać inni...

Gawędka.

Była godzina 1-sza w nocy. Zapaliwszy papierosy, rozpoczęliśmy gawędę.

— Więc to są pobyтови złodzieje i rabusie? — rzuciłem pytanie.

— Tą razą mniej tamtych — odparł szef — a przeważnie, jak widzę, inna to kategoria. Są to tak zwane wilki... Doktor słyszał coś o tem?..

— Coś jakby przez sen...

— To są skończone łajdaki, każdy z nich ma dwie, trzy, lub cztery kochanki, nazywane zwykle narzeczonymi, z hańby ich żyje. Gdy mrok nastaje, wypełniają one ze swych nor na ulice miasta i wabią amatorów lekkiej miłości. Nie jeden, nie domyślając się, o co idzie, zaczyna taka ęć... i za nią... powoli coraz dalej... zagłębia się w ciemne zaułki... sadzi się na dowcipy... Ta przyjmuje zaloty, niby od niechcienia... i nie odpycha, tem zręcznie wabi... Amator tego rodzaju sportu ani się domyśla, że opodal o kilka kroków wilk pilnie śledzi każdy ruch jego i widzi jak „narzeczona“ wprowadza ofiarę do swego mieszkania... Naturalnie drzwi na klucz zamyka i ginie w drugim pokoju. Panicz uszczęśliwiony, odurzony tajemniczością zdarzenia, zasiada w półciemnym pokoju i oczekuje wyjścia bohdaniki. Marzy więc o zadowoleniu pragnień, o nowych wrażeniach, gdy na raz z za kotary zjawia się dwóch drabów... o bezczelnych, rozpitych twarzach i podszedłszy spokojnie do zdumiałego amatora, proszą go siedzieć, zapalić papierosa, rozpytują o cel przybycia..

Zmieszany, zawstydzony Don Juan nie próbuje nawet wchodzić w rozmowę, domyślając się, o co tu idzie. Nie długo też trwa to nieokreślone położenie. Po chwili jeden z drabów proponuje bez ceremonji:

— Pieniądze... zegarek... pierścionki!

Panicz drży... lub myśli: „Ach! czemu nie mam rewolweru?!“

Ale ich dwóch... Skandal! Gwałt, niepewna wygrana... i widzi, że niema rady... wyjmuje z żalem portmonetę... i t. d. klnie w duszy nieszczęśliwszą godzinę... i wychodzi goły, jak święty turecki.

Czasami wspaniałomyślni rabusie dają mu parę rubli na drogę.

Na ulicy budzi się uczucie reakcji: „Jakto? tak się dać złapać?... Do policji!... czemprowadź!...“ Lecz skandal... kompromitacja... protokół... sąd... znajomi...

„Nie!... lepiej dajmy pokój!...“

W tej chwili podsuwają się dwaj jacyś ludzie... i z ciekawością pytają:

— Pan okradziony?...

To nasi agenci, widzieli, że poszedł, ale zatrzymać go nie mogli... bo wchodzić za własnym interesem każdemu wolno i niepodobna wiedzieć, czy wyjdzie cało, czy nie...

— Nie! nie!... Broń Boże! — odpowiada zakłopotany i idzie dalej...

Taka historia powtarza się dość często, niestety...

Gdy panicz próbuje bronić się zaraz w mieszkaniu... wtedy może być źle: czeka go zakneblowanie ust, razy... i ostatecznie ten sam rezultat...

A ślady nikną w tej chwili, gdyż wilcy znają drogi i wiedzą dobrze, jak chować końce do wody... A nasi ludzie, czyż mogą uprzedzić każdy taki wypadek? A gdyby nawet widzieli. Cóż z tego? uszkodzony nie ma pretensji. Co począć?...

— Więc to takie sfery?...

— A właśnie, to oni!...

— Więc tacy do zwykłych złodziejstw, kradzieży i zabójstw nie należą?...

— Jedno za drugim idzie.

— A cóż tu jeden mówił, że Marjensztadcy górą... — spytałem.

— A bo to widzi Pan — ciągnął szef. — Złodzieje i rabusie dzielą się na partje, mają swoich dowódców i znane są partje: Marjensztadzka, Powązkowska, Wolska, Jerozolimska, Mokotowska, Radzywińska... przeważnie jak operują, podług rogatek... Mają swój umówiony język; swoje prawa zwyczajowe i swoją jurysdykcję, opartą na prawie zemsty...

— I to tak dawno?

— Naturalnie... wielkie miasto! Każda niestety ze stolic europejskich, Paryż, Londyn, Wiedeń, posiada taką samą kompanję, a my specjalnie, gdyż dużo jest pobytowców i ro-

botników bez pracy. Tu więc rekrutują się nowi. Starzy ustępują lub wysyłają ich do katorgi.

— A cóż wydział śledczy? powinien uprzedzać takie fakty, ostrzegać kogo należy.

— Ależ to codzien z tem praca. Co się jednych weźmie, to nowi wstępują w szeregi, lub tamci powracają z więzień. Ciągła robota.

— A to okropne — wtrąciłem...

— Tak, tak, to smutne...

Była godzina druga w nocy, znużeni milczeliśmy chwilę...

— Już chyba nikogo nie przyprowadzą...

— Zdaje się... wreszcie jakby kto był, to jutro. Tylko, że to trzeba rano do raportu...

— No, ale na dziś dosyć...

— A sekcja jutro...

— Naturalnie...

Opuściłem biuro pełen wrażeń, goryczy w duszy... i wyrzutu... do kogo?... Właściwie, nie wiem do kogo...

Czułem potrzebę iść jaknajdalej... ochłonąć nieco...

Na ulicach wrzało życie... Pędziły ekwipaże pełne pań strojnych i eleganckich panów, szeptano słodkie słówka — i prześcigano postacie kobiet, snujących się po chodnikach; grupy wesołych towarzyszków kufla opuszczały podwoje knajp. Wśród głośnej wrzawy karetka „Pogotowia“ przesunęła się szybko.

Nocny powiew wiatru oświeżał swem ożywczem tchnieniem. O wieleż lepsze powietrze z ulicy... Więc... Idź pamiczu na Krakowskie Przedmieście i... flirtuj!...

„Na stole.“

Wśród wesołego miasta, wśród gwaru, stuku kót, chaosu wrażeń, uśmiechów, wyznań miłosnych, szczęścia, zachwy-
tów, śmiechu i teatralnych oklasków, zapominamy o tem, że tam, na jednej z wązkich uliczek, w kąci-
ku zabudo-

wał wielkiego szpitala leży kilkanaście ciał tych, którzy na dobę — może na chwilę przedtem — żyli, marzyli o szczęściu, pełni nadziei, pełni pomysłów i energii, pewni siebie, spokojni, że ich gwiazda mocno świeci.

W tem... traf, wypadek, nieszczęście, czy los... Nie... rozkaz Boski powołał ich nagle na sąd ostateczny...

„Czuwajcie, bo nie wiecie dnia i godziny...”

I stanęli przed Panem... w szacie najprostszej... a tu stanowią materiał... preparat anatomiczny lub sądowo-lekarski!

Godzina dziesiąta rano... już światło dostateczne, pogoda piękna, w dzień jak na wiosnę. Powietrze lekkie, lżejsze niż zwykle wśród murów miasta...

Ale im bliżej, tem gorsze, jakieś szczególne...

Zbliżamy się do celu, grupa ludzi otacza budynek... jakieś młodzieńcze twarze, z wyrazem ponurym, smętnym, to przyjaciele i współtowarzysze. Czy może broni? Nie — zbrodni... Dziś ciekawość ich tu przywiodła. A między nimi i kobiet kilka.

Podjeżdżamy i za nami zamykają się podwoje: „Osobom obcym wchodzić nie wolno...”

— Pan sędzia jest? pan komisarz?... felczer przybył?...

— Są... Sędzia za chwilę ma być.

— Dobrze... Więc przygotowujemy się.

Na środku stoi stół marmurowy. Co on pamięta? Jego historia byłaby jedną tragedją bez końca. W około szkielety i nastrzyknięte mumie, rozmieszczone w szafach i przy ścianach.

Na stole spoczywa jeszcze tylko co sekcjonowane ciało, posługacz kończy zszywania, a nasz nieszczęsny siłacz leży na ziemi, owinięty w skrwawioną rogożę...

Za chwilę będzie też na stole...

Więc zaczynamy...

Wtem stuk do drzwi i płacz z ścianą...

— Posługacz... Czemu nie pilnujesz?

— Nie wolno! — słyhać głos chrapliwy, skierowany do drzwi, a za nim tłumaczenie.

— Ach! kiedy oni zawsze tak lażą...

— Więc zamknąć drzwi...

Powaga wiecznego spokoju osiadła już na martwym licu; ręce i nogi skostniałe, oczy zapadłe... bohater gnić zaczyna...

Felczer gotów — pociąga nożem, chrzęst piły, już mózg na stole, ten mózg, w którym Bóg złożył wszelkie zadatki myśli, talentu, geniuszu i szatańskich pomysłów. Płuca wyjęte... wszystkie organy zdrowe, żadnych chorób, mięśnie silne, w żołądku obfity pokarm i spirytus, a w sercu, które bić mogło dla bliźnich, jedna głęboka rana i wylew garnca krwi do piersi.

— Rana zadana pewną ręką... Śmierć natychmiastowa... Gotowe. Myjemy ręce...

W tem...

M a t k a.

— Boże! Boże!... już teraz wejść można?...

Milczenie. Wyraz powagi i współczucia osiada na li-
cach:

Matka...

— Mój Boże! Mój Boże! -- załamuje ręce — biedna moja starość! Czegom ja doczekała... Mój Boże... To on... on... Franek!...

— Uspokój się pani... to już nic nie pomoże... Już nie żyje... płacz go nie wskrzesi.

— I nie trzeba — brzmi odpowiedź — miał tak żyć, lepiej, że go Bóg zabrał... ale... mój syn... nieborak... a mówiłam, nie idź do miasta!.. Siedź na zagonie... kiedy ci dobrze... nie! nie!... pójdę... duże zarobki! Złe go kusiło...

— No dość, dość, idź Pani, pomódl się za jego duszę...

— Ja się modliłam, ja go pacierza uczyłam, ale zapomniał...

— Uspokój się pani... i idźmy...

Biedna kobieta wyszła wolnym krokiem, ledwie powłócząc nogi, ..

Szliśmy ulicą po przez tłum towarzyszków... pracy... zmarłego...

Palili tytuń... a między nimi kilka młodych kobiet z towarzyszami, zajętych żwawą rozmową. Na twarzach nie było widać smutku...

Tylko jedna... milcząca stała o mur oparta i okiem błędem toczyła w koło. Ręce splecione i opuszczone nie dbale, postać niema i bezwład całej postaci zdawały się świadczyć, że ta cierpiała, przejęta grozą chwili i beznadziejną niemocą...

Ta go kochała... poita młode serce słodkim nczuciem... może pieściła nadzieję w duszy, że się odmieni... lecz za co, za co go kochała?... za bezczelność i siłę...

Dzisiaj przysły wszystkie plany... Zawiodła się srodze...

U sędziego.

Godzina 10-ta z rana gromadzi zwykle cały komplet przedstawicieli sprawiedliwości w gmachu pałacu Paca. W poczekalniach oskarżeni pod strażą i zaniepokojeni świadkowie.

W podwórzu wozy więzienne, z po za kratki małych okienek widać wybladłe twarze. Wozy przypominają klatki, używane do przewożenia zwierząt.

W jednym z pokojów pracuje pan sędzia.

Wchodzimy. Spotyka nas przyjazne powitanie i prośba o cierpliwość, gdyż nawał spraw pilnych... Wreszcie jesteśmy gotowi — mamy dopełnić i rozpatrzyć protokół, wyjaśnić ostatecznie przyczynę śmierci i charakter rany...

— A zatem, kochany doktorze, rana bezwarunkowo śmiertelna?

— No, ma się rozumieć, niema wątpliwości.

— Ale...

— Wiem, wiem, o co sędzia chcesz zapytać. Czy czasem nieboszczyk nie sam ją sobie zadał?

— A właśnie. Wreszcie... Czy w serce, czy obok? czy może tylko śmierć nastąpiła z powodu nie podania należytej, a natychmiastowej pomocy, i rana była tylko warunkowo śmiertelną? — dodaje sędzia.

— To jest niby jak?

— No, może w pasji, albo przez nieostrożność własnym nożem się zabił?

— Ależ nie! stanowczo niema żadnej wątpliwości. Człowieka gonią, ucieka od śmierci, chowa się i samby?

— A doktor widziałeś, jak uciekał i chował się?

— Tak mówią...

— To nie dosyć, trzeba dowieść.

— No, już niech sędzia daruje, tego nie dowiodę. Twierdzę, że zadana rana była bezwarunkowo śmiertelną i stała się powodem natychmiastowej śmierci.

Kończymy protokół i zapalamy papierosy.

— A teraz, niech mi sędzia powie, musicie znać tych ptaszków oddawna?

— Naturalnie, każdego znamy z imienia i nazwiska, z wyjątkiem może kilku nowicjuszków, reszta zaś to starzy znajomi, każdy już kilkakrotnie za różne występki karany i odsiadywał karę w więzieniu lub w rotach aresztanckich.

— I tu powrócił? tu!... — dodałem z udaniem zdziwienia.

Sędzia spojrział z niedowierzaniem.

— Co też doktor, żartujesz sobie, czy co? Właśnie tu powrócił, — dodał z naciskiem — na profesora!... a cóż on będzie robił? Doktor nie masz pojęcia, co to jest pobyto-wiec! to parjas społeczny, to nieszczęsny wyrzutek, dla którego na drogę cnoty już niema powrotu.

— Dlaczego? jakto? — spytałem zaciekawiony.

— A tak. Ukradł lub zabił przez skłonność do złego, a nieraz przez wypadek, osądzono go, pozbawiono praw, wysłano... Tam spotkał różnych towarzyszków, a między nimi zatwardziały zbrodniarzy recydywistów, którzy całe swe życie poświęcili tylko zbrodni pod różnemi postaciami.

W czasie pobytu nasz skazaniec otrząsał się, przyzwyczaił uważać złe za dobre, okropne za ciekawe, niebezpieczne za łośkie zuchostwo, lub nawet bohaterstwo, wyrafinowane łotrowstwo za spryt i rozum, i ukształtowały się w nim zgoła inne pojęcia, wytworzył się inny, dotąd nieznanymu, pogląd na świat i ludzi.

— Naturalnie!... — wtrąciłem, kiwając głową, a sędzia ciągnął dalej.

To nic... ma on wreszcie wyjść i powrócić do poprzednich zajęć... co go czeka?... W rodzinie patrzą jak na nieboraka z felerem i wstydzą się hańby, jaka ich spotkała... na świecie, wytykają palcem, to złodziej i... kryminalista! łajdak!... Jakie uczucia w duszy to obejście rodzi?

— Zapewne bardzo bolesne.

— To nie dość. Jeśli to człowiek niezły, myśli sobie: Trudno, zgrzeszyłem, będę pracował uczciwie, powrócę imię, szacunek — zapomną... Niestety! Karany, oddany jest pod nadzór policji, chce stanąć do pracy... pytają o paszport, legitymacje, świadectwa... Złodziej, rozbójnik! pobytowiec... Ładna rekomendacja... Policja śledzi, musi sam perjodycznie stać przed jej obliczem. Kto weźmie takiego do roboty? Nikt! Żeby okradł lub zabił? Wszak on to już umie... A dalej... przed wysłaniem miał narzeczoną, teraz jej względy utracił. Kto wyda córkę za pobytowca? Nikt! nikt... Rodzina nierada, do roboty nie przyjmą, palcem pokazują, boją się jak ognia...

— Ach rzeczywiście, to straszne...

— Tak, tak, doktorze, to tak się zdaje, ale wejdźcie w jego położenie. Co ma robić? Idzie do karczmy zapić robaka, co go dręczy, niema za co. Spotka kolegę, który po to samo przyszedł, razem z rozpustną dziewczyną, o czym będą radzić?

— Naturalnie jak wyjść z przykrego położenia...

— A właśnie, jak i gdzie co ukraść, zabić, aby znów hulać i żyć, bez względu na to, co dalej...

— To prawdziwie trudne położenie, lecz z drugiej strony, czy należałoby zostawić go bez nadzoru?

— A właśnie ten nadzór, to wilczy pasport, to jego bieda! bez niego w innej okolicy, w fabryce, możeby znalazł zajęcie, ożenił się i zaczął żyć jak człowiek, a tak?

— Przypuszczam, lecz musi być jakiś nadzór.

— Niekoniecznie, zależy to od rodzaju przestępstwa. Trzeba w tych razach bardzo oględnie postępować i tylko w ostateczności brać pod nadzór.

— A najlepiej pobytwców nie trzymać wśród spokojnych ludzi.

— Zapewne — odparł znawca kodeksu — należałoby ich wysłać daleko, urządzać kolonje poprawcze, pracować nad nimi, by zrobić z nich ludzi uczciwych; wydzielić kawałki ziemi, zająć ich uczciwą pracą, a gdy już dadzą dowody moralności, dozwolić na powrót do kraju, wrócić im prawa obywatelstwa bez żadnych ograniczeń. To jedyna rada.

Niech wśród dobrych, spokojnych, a skłonnych do złego ludzi, nie będzie takich nieszczęśliwych parjasów, wtedy może być mowa o polepszeniu stosunków; dopóki jest taki stan jak obecnie, będzie coraz gorzej.

— A na coś podobnego zanosi się czy nie?

— Jak dotąd — nie.

— Ha, to smutne... No, bywajcie zdrowi, panie sędzio, myślcie nad losem tych nieszczęśliwych, krzewcie te pojęcia. Od was pójdzie wyżej i wyżej i może nareszcie sprawa weźmie pożądany obrót. Lecz ja bym myślał, że tu i inną drogą coś zrobić można, a szkoła i kościół?

— Naturalnie, to nie ulega wątpliwości, że u podstaw walczyć potrzeba, wpajać w dzieci zasady moralności przez rodzinę i szkołę i świątynię. Na tej drodze więcej zrobić można, niż na drodze prawodawczej i karnej, to więcej jak pewnie.

— Dziękuję, dziękuję sędziemu i nie zajmuję dłużej czasu.

U obrońcy.

Przeszło miesięcy kilka. Winnych osądzono i sprawa poszła ad acta. Czas wszystko zacierą, pożerą i niszczy, ale pytanie pozostaje nierozwiązane, niezałatwione.

— Kochany mecenasie, co na to począć, by poprawić los pobytwców? wiem żeście pisali w tej kwestji i leży wam ona na sercu...

— A tak, w swoim czasie młodzieńcza dusza rwała się do idealów, młode serce pragnęło dla wszystkich słońca, światła i słodczy czystego sumienia... wtedy pisałem.

— Jakaż treść poglądów i jaki rezultat waszych myśli?

— A proszę przejrzeć tę oto księgę, tu jest słów kilka w tym względzie.

Szanowny mecenas podał grubą oprawną księgę, był w niej tytuł „Opieka nad uwolnionymi z więzienia“ i motto z Wiktora Hugo:

„Są w cywilizacji naszej straszne godziny, gdy prawo karne wyrzeka wyrok upadku, zguby; chwila pogrzebowa, w której społeczeństwo oddala się i na zawsze opuszcza istotę myślącą“

— To nie ulega wątpliwości, że tak jest, lecz gdy wycierpią karę, co począć wtedy, by ich powrócić do rodziny, do pracy, by im zapewnić jaki taki spokój, dobre imię i względne szczęście?

— Ho! ho, doktorze, za wiele żądacie! Dość, by im dać uczciwy sposób do życia, reszta zależy od indywidualności; niewielu jednak znajdzie się takich, którym uda się powrócić prawdziwe szczęście duchowe.

— Więc cóż ten artykuł głosi?

Szanowny mecenas jął streszczać swą pracę:

— W najdawniejszych czasach dzicy uznawali tylko prawo pięści i prawo zemsty za wyrządzoną krzywdę — później, prawo to przejęło państwo, żądając odszkodowania w postaci grzywien lub niewoli, i cierpień moralnych, wreszcie skruchy religijnej, dla tego, by tych, co mogliby wstąpić w ślady przestępcy, *odstraszyć* — surowością kary.

Wielką zdobyczą cywilizacji jest dalej złagodzenie kar, żywioł miłosierdzia i ludzkości.

Dantejski wiersz: „Żegnajcie się z nadzieją ci, co tu wchodzicie“, znika stopniowo z nad bram więziennych. Złagodzone karę cielesną, karę śmierci pozostawiono na wypadki nadzwyczajne, a więzienie stopniowo staje się domem *poprawy*.

I kiedy dawniej więzień był tylko w ręku wykonawców prawa, dziś zaczyna doń wyciągać rękę społeczeństwo...

— Ach, gdyby tak było—przerwałem mimo woli.

— Tak jest—odparł obrońca i ciągnął dalej. — Do życia powołano „Stowarzyszenie opiekuńcze nad uwolnionymi z więzień“. Quetelet rzekł: „Społeczeństwo samo wytwarza przestępstwa, zbrodniarz jest tylko narzędziem, które je spełnia. Człowiek jest rezultatem wychowania i wykształcenia; tysiące niedostrzegalnych przyczyn, los, usposobienie, temperament, wreszcie sprzyjające okoliczności tworzą przestępcę, który nie mając pod nogami gruntu moralnego, ulega pokusie. A gruntu tego nie założyła rodzina, szkoła, społeczeństwo wtedy ma prawo karać niemoralną jednostkę i odjąć jej prawa, gdy są instytucje i stowarzyszenia, co mogą wynagrodzić jednostce tę obojętność, jaką zawiniło społeczeństwo, zaniedbując moralną jej stronę.“ I u nas więc należy powołać do życia: „Stowarzyszenia opiekujące się uwolnionymi z więzień.“ Co za szczytna idea — wynagradzać cierpienia, koić ból nieszczęśliwych, rozjaśniać ciemnie duszy i wracać rodzinom — ojców, żonom — mężów, gromadom — obywateli...

— Słyszałem, że zagranicą takie stowarzyszenia oddawna już istnieją...

— A jakże, już są rzeczą powszednią. W Irlandji ludzie prywatni i fabryki najchętniej przyjmują byłych więźniów do zajęć, z tą pewnością, że stowarzyszenia zrobiły z nich dobrych ludzi; u nas artykuły 58 i 649 kodeksu karnego oraz instrukcje dla więźniów Królestwa Polskiego przewidują warsztaty przy więzieniach, lecz takie, w których więźniów w ciągu lat trzech zarobić może rubli 15.

— Czy przy wszystkich więzieniach są takie fabryki?

— Właśnie, że nie; w takim razie więzień skazany jest na straszną beczynność.

— Wszak nawet w oddzielnych celach mogliby więźniowie chesać wełnę, prząść len, konopie, wyrabiać worki, rękawiczki, drzeć pierze, skubać włosy i t. p.

— W tym celu były propozycje, lecz przeważnie skończyło się na niczem. Tylko w niektórych więzieniach za pracę, przy wyjściu, dobrze sprawujący się, może otrzymać jednorazowo 90 kop. do 4 rbl. 50 kop. zapomogi, jako nagrodę za dobre sprawowanie i wtedy już wchodzi pod dozór policji, z „pobytem“ w jakiej osadzie przez lat parę... bez prawa mieszkania w miastach większych, gdzie są właśnie łatwiejsze zarobki.

Spółceństwo otwiera uwolnionemu wrota więzienia i daje mu na drogę wilczy paszport. W świecie czeka go pogarda i odepchnięcie na każdym kroku. Nigdzie współczucia... nigdzie godziwego zarobku... A w razie spełnionego w bliskości przestępstwa na kogo pada podejrzenie? kogo więżą? tego nieszczęśliwca, tego potępieńca, dla którego nie ma już litości.

Wtedy to rozpacz popycha go do zbrodni. Anglicy twierdzą, że na 5 kradzieży w czterech przyczyną jest głód. Stwierdza to Andrzej Zamojski, do którego w nocy wpadł człowiek, wypuszczony z więzienia, wołając: „Panie, ratuj: jak jutro nie będę miał co gryźć, będę kradł.“ Pomyślałem wtedy, dodaje myśliciel: Jak dla rekonwalescentów potrzebne są zakłady uzdrawiające, tak koniecznymi—nieodzownymi są zakłady uzdrawiania więźniów.

Najstraszniejszą jest recydywa—bo za nią idzie upadek moralny, utrata ambicji i poczucia godności osobistej, a anglicy naliczyli 30% recydywistów. Straszna cyfra...

— Cóż więc zrobiło więzienie?

— Oto wytworzyło człowieka nieszczęśliwego na zawsze, któremu podać rękę, to nasz obowiązek moralny. Społeczeństwo, które wytworzyło przestępcę, powinno go przygarnąć, dać środki utrzymania i opiekę, a uwolnić z pod dozoru policyjnego.

Niech słowa te odczują nasze niewiasty i zapatrują się na pp. Carpentier i Fry, założycielki domów opieki w Anglii. oraz na siostry miłosierdzia, pracujące w więzieniu Marji Magdaleny we Lwowie i wiele innych.

Łagodność kobiety mocną jest skruszyć najzatwardzialszego zbrodniarza, nakształt owej niewiasty, siedzącej spokojnie na grzbiecie lwa srogiego...

— Marzenia, marzenia, szanowny mecenasie!

— Być może... a jednak nie traćmy nadziei. Moldenhawer już ma gotowy projekt ustawy stowarzyszeń opiekuńczych, które jeszcze w r. 1830 projektował Andrzej Zamojski.

U księdza spowiednika.

Siedliśmy na ławce pięknego ogrodu pod cieniem starych klonów i rozpoczęliśmy gawędę:

— Ksiądz kapelan — zacząłem — spowiadając tych biedaków, musiał ich poznać dokładnie?

— Spowiedź jest świętą tajemnicą.

— Wiem o tem i szanuję, ale idzie mi o wrażenie ogólne. Czy ci zamknięci więźniowie są bardzo źli, czy tylko nieszczęśliwi? Czy zatwardziali, niepoprawni grzesznicy, czy też słabi, choć dobrzy ludzie, ofiary chwili, wypadku, gotowi podążyć w skrusze na łono cnoty?..

— Ho... ho... szeroki zakres, na wszystko nie odpowiem, ale ogólnem wrażeniem służę: Otóż, o ile zauważyłem, w więzieniu są różni ludzie: zatwardziali zbrodniarze, recydywiści, świadomi, co robią; próżniacy i pijacy, pchani do zbrodni żądzą rozkoszy i zbytków; lekkomyślni a głupi, którzy nie pojmując niebezpieczeństwa dali się wciągnąć; głodni i biedacy z dobrem sercem a słabą wolą, bez żadnej umiejętności pracy; wreszcie niewinni: ofiary wypadku lub nieszczęśliwego składu okoliczności. Rozumie konsyljarz, le kategorji, tyle psychicznych obrazów, tyle odcieni, tyle

dusz, a wszak wiemy, że dwóch dusz do siebie podobnych znaleźć trudno. Nie zapomnę nigdy zbrodniarza, na śmierć za zabójstwo skazanego. Dusza jego w chwili wyroku była pełna anielskich pragnień, skruchy i żalu; postanowienie być cnotliwym tak mocne, że zdaje się, gdyby mógł żyć, żyłby jedynie dla dobra bliźnich... niestety musiał umierać...

— Rozumiem, więc są trzy kategorie: bardzo źli, źli i dobrzy.

— Naturalnie, jak to i w życiu, to tylko pewna — dał z westchnieniem, — że wszyscy oni są bardzo nieszczęśliwi... bardzo nieszczęśliwi... Przed oczyma przyszłość rysuje się w najczarniejszych kolorach; wyrzuty sumienia; myśl błędzi w przeszłości, po chwilach swobody, szczęścia — rozważanie przyczyn i skutków, biadanie nad swym marnym losem, wobec ciemnej celi, jednostajnej strawy, klucza, a nade wszystko obojętnego obchodzenia się, nacechowanego pogardą i wyrzutem, lekceważeniem i głuchem przeczeniem, doprowadza jednych do rozpacz, innych do wściekłości. Niepewność wobec okoliczności sprawy i nieznanego wyroku możliwych ewentualności, brak rodziny, brak tego wszystkiego, co stanowiło codzienne przyzwyczajenie — wytwarza okropny stan psychiczny, który w pierwszych chwilach zaraz zmienia wygląd tych ludzi do niepoznania. W oczach każdego widać smutek, w ciele straszne podniecenie, w słowie drżenie. Bezsenne noce wycieńczają szybko, następuje znużenie, zmęczenie, apatja i odrętwienie, po to tylko, by po chwili wybuchły nerwy z nową siłą i rozpacz zgnębiła powtórnie.

— Tak, tak, to straszne — zauważyłem, — lecz czy wtedy myśl ich zwraca się do Boga, do pociechy religijnej, czy pragną spowiedzi?...

— Niestety, moralne pojęcia są tu w okropnym zniku; zapewne, zależy to od tego, czego nauczyli matka i ojciec, jak daleko zaszło zepsucie. Może w duszy wzdychają do Boga, jako Opiekuna i Wybawcy, lecz zanim nastąpi pomyślny zwrot, zanim dusza zacznie pragnąć Boga i skarbów, w religii nam danych, ludzkie sposoby obrony, ludzkie wykroty i nadzieja na ukrycie pewnych dowodów, złagodzenie

innych, zręczność adwokata, przyjaźń świadków i t. p., do pewnego stopnia ich ludzi. Lecz nowe złe wieści, zły obrót śledztwa, nowe dowody, wszystko to męczy z podwójną siłą, pognębia, gryzie i wyczerpuje siłę ducha; pada on pod brzemieniem nieszczęścia, a wtedy myśl mimowoli zwraca się do Boga, kapłana, spowiedzi i świętej Eucharystji i wtedy rozpoczyna się nasza rola.

— Wielka rola, szczytne zadanie — wtrąciłem.

— O tak, ale ciężkie... — westchnął kapłan, widocznie mocno wzruszony.

Po chwili zaczął:

— To pewna, że szczerą, gorącą skrucha najczęściej towarzyszy spowiedzi; niekłamany żal, obłany rześistą łzą mówi o szczerości, nerwowe drżenie i obawa, czy Bóg rozgrzeszy zbrodnie, sięga do duszy głęboko...

— Lecz czy to trwała skrucha?

— Jest moment, jest doskonała chwila, trzeba z niej umieć skorzystać i nie dopuścić wpływu złych towarzyszy. Jak Bóg niegdyś otoczył się białymi aniołami, wypędzając czarta, tak tu niedopuszczenie czarta do dusz białych, w które Bóg wstąpił, jest pierwszym zadaniem. Utrwalać więc w nich trzeba dobry nastrój. Niestety! Połowa towarzyszy inaczej myśli i tłumi te dobre instynkty, te obudzone w duszy kwiaty, na nowo drażni rany, a nie ma ni-ko go, ktoby podtrzymał, utrwalił, umocnił dobre ziarno...

U doktora.

I znów chodziłem, długo myśląc nad tem, com dotąd się dowiedział. Ściany więzienia i kraty budziły na nowo wrażenia, a tam na ziemi — w celach i kazamatach, postaci ludzkie — dusze ludzkie, mężowie, ojcowie, bracia, córki, żony... Całe społeczeństwo..

Razu pewnego tak błędząc, spotykam dobrego kolegę, a lekarza więziennego.

— Witaj, kolego. Ciebie mi właśnie brak było. Chciałem się was rozpytać nieco o zdrowie biednych pacjentów więziennych.

— Dlaczego mówicie biednych? tam siadują i bogacze.

— Być może, lecz mnie o biednych idzie.

— A cóż, panuje tyfus wysypkowy; w miarę możliwości izolujemy, dezynfekujemy, ale to wszystko zamało, wobec nawału chorych, których niepodobna przysyłać do szpitalów ogólnych, dla braku odpowiednich urządzeń więziennych.

— Więc mrą biedacy?

— No, żeby tak wielki był procent śmiertelności, nie powiem, ale już kilku zmarło, inni chorują.

— I któż ich pielęgnuje?

— Wszak mamy odpowiednią służbę, co prawda przeważnie skompletowaną z tychże więźniów, ale chorzy mają wszystko, co koniecznie trzeba. Tylko że, rozumiecie, bądź co bądź, sale nieodpowiednie, kurytarze wąskie, wszystko pierwotne. O postępie dotąd nie ma mowy, a co najważniejsza, to stan przygnębienia, jaki panuje wśród uwięzionych, ten wieczny smutek, to rozmyślanie, brak ruchu, cele źle przewietrzane — wszystko to sprawia, że odporność marna. Choroba się wlecze i łącno prowadzi do grobu.

— Ja bo zawsze wyobrażałem sobie, że ten stan nerwowy usposabia do manji i czarnej melancholji.

— Nieinaczej, kolega nie ma pojęcia ilu zapada, a chociaż niektórzy udają chorobę, to jednak większość prawdziwie cierpi, gdyż prawie każdy jest skończonym neurastenikiem.

— A macie kąpiele?

— Jest łaźnia, taka sobie, bardzo prosta, bez niej robactwo by zjadało.

— Myślę, że to wasze zajęcie niezbyt przyjemne?...

— I owszem, przyzwyczałem się, zawsze wychodzę zadowolony, że komuś przyniosłem ulgę. Oni to czują, garną się z zaufaniem i wdzięcznością. Martwi mnie tylko, że nie-

wiele pomódz mogę i wpłynąć na stan psychiczny, gdyż w rozprawy i dysputy wdawać się nie wypada.

— O! na tym punkcie z kolegą się nie zgodzę; ja bym ich pocieszał, krzepił, stawiał przed oczami lepsze wróżby, o ileż lżej przeszedłby czas kary...

— To tak się zdaje, w praktyce inaczej wygląda, zawód i rozczarowanie jeszcze mocniej boli. A wreszcie, co się uda zrobić, wkrótce psuje otoczenie.

— Jesteście kolego lekarzem od zażegnywania nieszczęścia. Pamiętajcie o tem i bądźcie zdrowi.

* * *

Tak przedstawia się sprawa w pojęciach i poglądach różnych osób, zbliżka patrzących na życie nieszczęśliwych więźniów. Nie pytałem nadzorców więziennych. Ci wprawdzie najbliżej znają więźniów, patrzą na ich życie, tysiące przewija się przed ich oczami; ten jednak nawet ludzi złych, zdenerwowanych, rzucających złośliwe spojrzenia w stronę nadzoru, źle dla nich ten nadzór usposabia, a chociaż pod mundurem nadzorcy bije nieraz serce pełne współczucia dla niedoli bliźnich, otrząskuje się on wkrótce z nieszczęściem i niedolą, uważa je za rzecz zwykłą, powszechną. W tych warunkach o sąd bezstronny nie pytaj.

Natomiast myślałem długo nad sposobami ratunku.

Więc umoralnienie młodzieży, rodziny, uszlachetnienie jednostek, dobrobyt materialny, wykształcenie specjalne, wpływ religijny i t. d., wszystko to praca długa, mozolna, a jej rezultaty? Czekamy na nie od stworzenia świata.

Tu trzeba działać bezpośrednio.

Więc: Towarzystwa opieki nad wychodzącymi z więzień. Czyż one w naszych warunkach doślą celu? Czy mogą być urzeczywistnione?

W kraju i wielkich miastach tyle najpilniejszych potrzeb, tyle biedy, nędzy, dotykającej ludzi poczciwych i znacznych, tyle pracy nad umoralnieniem jednostek, taka walka

o środki do życia i tyle stowarzyszeń najróżnorodniejszych, że proponować coraz to nowe i nowe nie jest racjonalnem. Powstawać one mogą, lecz czy żyć będą? to wielkie, wielkie pytanie?

A gdyby i powstały — potrzeba nabywać place, budować gmachy, wezwać personel administracyjny i służbę, umieszczać tam ludzi, którzy po wyjściu z więzienia zamiast o przytułku, myślą tylko o ruchu, swobodzie pracy, by powetować materialne straty i wyrównać szczyrby. Że plany ich rozbijają się o opokę opojętności i wstrętu do napiętnowanego stygmatem kary, to rzecz inna, ale oni spodziewają się, że będzie dobrze i dlatego w sanatorjach moralnych siedzieć nie zechcą,

Więc olbrzymie koszty w ubogiem społeczeństwie i niechęć ze strony tych, dla których zakłady budowane będą — to zawiele.

Nie, stanowczo nie tędy droga.

Sązę i przypuszczam, że się nie mylę, że umoralniać więźniów należy w samym więzieniu — i to w czasie odsiadki kary. Wszak czas przed i po wyroku przeznaczony jest na pobyt w zakładzie karnym — skorzystać zeń trzeba.

Wyobrażam to sobie tak: gdy więzień wchodzi do celi, spotyka tam godła boskie, stosownie do swej religji, więc krzyż, lub dziesięcioro przykazań. Chrześcijanin bywa codziennie na mszy św., odprawianej w kaplicy, słucha nauki religji i moralności, dostaje do ręki książkę nabożną lub treści moralnej. Po paru dniach doświadczony pedagog egzaminuje go i zalicza do I-ej kategorii pod względem inteligencji, do II-ej — średnio wykształconej lub do III-ej — analfabetów. Stosownie do tego odbywają się codziennie w ciągu godziny zajmujące konferencje i wykłady — pojedyncze lub zbiorowe. Więźniowie spacerują po ogrodzie w towarzystwie nauczycieli, słyszą przyjazne objaśnienia i rady — nie czują tej strasznej samotności — niedoli, odosobnienia duchowego. I stopniowo... powoli... zmienia się sposób ich zapatrywania na siebie, na swoje ja; widzą całą przepaść, dzielącą ich od ideału cnoty; całą słodycz umoral-

nienia; całą perspektywę innego życia. To ich zachęca do myślenia uczciwie, do oczyszczenia duszy, to koi ich ból i niedolę — na tym punkcie rola państwa i społeczeństwa w zupełności się godzi...

Zapewne wymaga to skompletowania odpowiedniego personelu, pełnego umiejętności i poświęcenia, lecz dla takiej sprawy warto poświęcić wiele. Nadzorca winien być człowiekiem idei, godnym szacunku, przede wszystkim dobrym człowiekiem, wyjątkowo doświadczonym pedagogiem i filozofem, by mógł rozstrzygać wątpliwości, i odczuć „ja“ każdego z osadzonych oraz pomagać nauczycielom. Lekarz więzienia powinien specjalnie studjować choroby nerwowe i psychjatrję.

Kapłan odpowiedniego wyznania winien być codziennym gościem i nauczycielem religji.

Kąpiele i gimnastyka lub roboty fizyczne—to warunek konieczny prawidłowych funkcji organizmu człowieka.

Słowem, tym ludziom potrzeba pokazać życie z innej — z tej lepszej strony.

Nie trzeba budować nowych gmachów, gdyż one są; nie trzeba umyślnie karmić, utrzymywać osobnego personelu służbowego i administracyjnego. Potrzeba tylko zawezwać ludzi dobrej wiary i dobrej duszy — ludzi, którzy pragną ocierać łzę i koić niedolę.

Jeżeli państwo zrobić tego nie może, niech społeczeństwo przyjdzie z pomocą, lecz tylko tam, tylko za kratą więzienia, tylko w terminie przymusowego pobytu winni być przekształceni zbrodniarze na takich ludzi, których każdy przyjmie z chęcią do pracy — i znajdzie w nich dobrych, wdzięcznych Bogu i ludziom za to, że ich powrócili do życia, do czci i wiary.

Jeżeli tego zrobić nie można, to należy pobytowych wysyłać jaknajdalej... het precz... w inne otoczenie i tam już stwarzać kolonje poprawy i umożliwić im przyzwoite istnienie.

Dr. Józef Tchórzniński.

IDYLLA JESIENNA

przez Andrzeja Lichtenbergera.

Był sobie niegdyś pan Sulpicjusz Médullas.

Wysoki, szczupły, lekko przygarbiony, miał czoło nieco... za wysokie, tak, że złośliwi nazywali go łysym, pomimo dość obfitych szpakowatych włosów na tyle głowy. Z pod binokli patrzyły łagodnie słodkie, niebieskie oczy, na bladej twarzy przy każdej sposobności ukazywał się rumieniec, jak u młodej panienci, chociaż pan Sulpicjusz rozpoczął już pięćdziesiątą wiosnę życia.

Od trzydziestu lat zajmował to samo skromne mieszkanie z trzech pokojów. Wychyliwszy się oknem, mógł widzieć kawałek drzewa z ogrodu Luksemburskiego. W mieszkanku tem prowadził życie spokojne, regularne i prawie odludne.

Od trzydziestu lat pan Sulpicjusz wstawał o tej samej godzinie, ubierał się systematycznie, przechodził do gabinetu i głosem, któremu zawsze się starał dodać jaknajwięcej powagi, wołał:

— Magdaleno, proszę o śniadanie!

Magdalena zjawiała się natychmiast, niosąc przygotowaną już kawę i świeże pieczywo. Była to kiedyś silna

i wesoła wieśniaczka, przystojna brunetka, córka mamki pana Sulpicjusza. Teraz, gdy czarne włosy stały się szpakowate, straciła nieco dawnej wesołości i z powagą, a nawet z despotyzmem zarządzała całym gospodarstwem pana Sulpicjusza, uważając je ze swoje własne.

Spożywając śniadanie, pan Sulpicjusz dawał Magdalenie dyspozycje, dotyczące drugiego śniadania i obiadu. Dyspozycje i rozkazy były zawsze słabą stroną pana Sulpicjusza, a dyspozycje obiadu — poprostu męczarnią. To też nieśmiało poddawał swe propozycje kulinarne pod surową krytykę Magdaleny. Gdy załatwił tę ważną czynność, nakładał na nos binokle, oddychał z ulgą i zagłębiał się w rękopis i foljały.

Z pierwszym uderzeniem godziny jedenastej Magdalena otwierała drzwi i oznajmiała, że śniadanie gotowe. Pan Sulpicjusz przechodził do małej jadalni i siadał za stołem naprzeciwko zegara, gdy kukułka na zegarze kończyła powitanie i chowała się do swej skrytki.

Podczas śniadania Magdalena dzieliła się ze swym panem wszystkimi nowinami, plotkami całej dzielnicy, własnymi spostrzeżeniami, dotyczącymi pogody. Gdy wypił kawę, wyprowadzała go do przedpokoju, podawała palto, kapelusz i laskę, lub parasol i wypuszczała na świat. Pan Sulpicjusz zstępował wolno z czterech pięter i krokiem regularnym dążył do biblioteki, w której od lat wielu pełnił bez zarzutu obowiązki bibliotekarza. Biła dwunasta, gdy zajmował swój kącik i rozpoczynał czynności. Spokojnie, grzecznie odbierał żądania od czytelników i kreślił niebieskim ołówkiem znaki, według których woźni wyszukiwali żadanego dzieła.

O godzinie piątej pan bibliotekarz kończył swe zajęcie i udawał się na przechadzkę, która zawsze trwała godzinę. Gdy była pogoda, najchętniej przebiegał ogród Luksemburski, przyglądał się posągom, lub grze w krokietu, studjował zwyczaję małych dzieci i ich piastunek, oddychał całą pierśią wonią kwiatów i świeżo skopanej ziemi. Czasami wyciągał z kieszeni kawałek chleba i obdzielał okruszynkami pierzastych mieszkańców ogrodu — wróble i gołębie.

Niekiedy udawał się w dalsze okolice, wstępował do księgarni i szperał w starych szpargałach; czasami docierał aż do Luwru, skąd wracał omnibusem.

Po obiedzie nakładał pantofle i zasiadał w głębokim fotelu. Przebiegał myślą wypadki dnia całego, a następnie zagłębiał się w gazecie.

Zdarzały się jednak wieczory, gdy pan Sulpicjusz puszczal lejce fantazji, wspomnieniom. Wtedy rozpamiętywał wielką podróż, jaką odbył do Belgji oraz podróże do Niemiec i Włoch, podróże, które na zawsze pozostały w dziedzinie projektów. Czasami napastowały go fantazje romantyczne, parę razy prześladowała go myśl pójścia do teatru.

Gdy podczas przechadzki spotykał w odludnych alejach ogrodu zakochane pary, wspominał wielką tragedję swego życia. W dwudziestym piątym roku życia zakochał się w ślicznej pannie Miscollet, która, jak mniemał, płaciła mu wzajemnością. Piękne to były czasy! Spacerowały we dwoje po ogrodzie, przysięgi miłości, plany na przyszłość... Niestety, gdy wreszcie pan Sulpicjusz zdecydował się prosić o rękę ukochanej, dowiedział się od jej ojca, że jest już zaręczona z oficerem od huzarów. Dotąd jeszcze, rozpamiętywając cierpienia, jakie wtedy przeszedł, pan Sulpicjusz rozrzewniał się nad sobą, ale jednocześnie wieszował sobie, że Opatrzność uchroniła go przed nieszczęściem, zwanem małżeństwem. Co kobieta robiłaby w tem jego cichem mieszkanku? Z przekonaniem cytował sobie zdania wszystkich tych mędrców, co rzucili gromy na tak zwaną piękniejszą połowę ludzkości i utwierdzał się coraz bardziej w swej nienawiści dla kobiet.

Tak płynęły dni pana Sulpicjusza, przerywane bardzo rzadko ważnemi zdarzeniami, za jakie uważał wycieczkę do Archiwum głównego, do Biblioteki narodowej, lub wizyty u starych przyjaciół, państwa Dufuireaux lub u pani Cuisart, wdowy po wicedyrektorze szkoły sztuk pięknych.

W tym samym czasie była sobie także panna Zelja Cuticoq.

Przed dwudziestu laty panna Zelja była młodziutką dziewczynką, szatynką o niebieskich oczkach. I dotąd pozostała żywą i bardzo przystojną, pomimo, że niebieskie oczy straciły nieco blasku, a w ciemnych włosach gdzieniegdzie przewijały się srebrne niteczki. Być może, że panna Zelja postarzała się i straciła wiele iluzji młodzieńczych, ale na to wpłynęły nie tyle lata, co smutne przejścia. Miała niegdyś narzeczonego, młodego adwokata, który w sześć miesięcy po zaręczynach zwrócił jej słowo i pierścionek. Panna Zelja przeboleła stratę i nawet nieugięła się pod okrutnym ciosem.

Dzielna dziewczyna od lat dwudziestu, po śmierci matki, mieszkała sama z poczciwą starą służącą, Honoratą, brzydką i garbatą, zawziętą nieprzyjaciółką mężczyzn. Ponieważ i Zelja piastowała w sercu to samo względem płci brzydkiej uczucie, pani i służąca zgadzały się doskonale.

Panna Zelja, mając po rodzicach fundusik, który zapewniał jej skromne wprawdzie, ale dla niej wystarczające utrzymanie, poświęciła się w zupełności sprawom miłosierdzia. Od wczesnego rana przebiegała liczne przytułki, założone przez dobroczynne panie dla opuszczonych, lub wyzyskiwanych przez niegodnych rodziców lub opiekunów, dziewcząt. Z zapalem i niezmordowaną gorliwością dzieliła się z biednymi dziewczętami skarbami swego serca i umysłu; uczyła je sycia i literatury, ortografji i religji, sztuki kulinarnej i moralności. Prócz tego wpajała w młode serduszka z przekonaniem niewiarę i nieufność względem mężczyzn. Niezawsze to się jej udawało, ale gorliwość jej nie słabła.

Wracała na śniadanie, zjadała je pośpiesznie i znów oddawała się swemu apostolstwu, aż wreszcie po pracowicie spędzonym dniu, który zawsze zdawał się jej zbyt krótkim, powracała do domu. Wieczory zapelniało jej załatwianie ogromnej korespondencji z zakładami dobroczynnymi, z byłymi pupilkami, które opuściły Paryż. Nawet listownie starała się podtrzymywać w nich zamiar trwania w stanie panińskim.

Zdarzało się jednak, że panna Zelja otrzymywała listy od dawnych pupilek, które zawiadamiwały ją nieśmiało, że... wychodzą za mąż. I dziwna rzecz! Panna Zelja nie gniewała się bynajmniej; przeciwnie, w głębi serca uczuwała radość i zabierała się natychmiast do odpowiedzi, do której zawsze dołączała najserdeczniejsze życzenia, dobre życzliwe rady i ślubny podarek.

I gdyby stary Maciuś, biały, tłusty kotek, drzemający przed kominkiem, był lepszym obserwatorem, z pewnością by zauważył, że w takie wieczory, panna Zelja, po skończeniu korespondencji, przesiadywała dłużej, aniżeli zwykle, w swym fotelu, że w niebieskich oczach błyszczały wtedy łezki tęsknoty, żalu i pragnień nieokreślonych, a z piersi ulatywały głębokie, tłumione westchnienia...

Panna Zelja Cuticoq mieszkała na tej samej ulicy, co i pan Sulpicjusz Médullas, tak samo na czwartym piętrze i nawet okna ich wychodziły na wprost siebie. Nie znali się jednak wcale i nawet się nie spotykali, gdyż pan Sulpicjusz wychodził z domu o kwadrans wcześniej, aniżeli panna Zelja, a wracał wtedy, gdy panna Zelja już od półgodziny znajdowała się w domu.

* * *

Zdarzyło się wreszcie, że się sąsiedzi spotkali. Było to w marcu, we wtorek. Dzień ten pan Sulpicjusz zapamiętał dobrze.

Wybiła właśnie godzina trzecia, gdy woźny wręczył panu Sulpicjuszowi kilka kartek, podpisanych nazwiskiem: Zelja Cuticoq. Pan Sulpicjusz oderwał się niechętnie od ciekawego dzieła, przebiegł oczyma kartki i uśmiechnął się ironicznie, czytając tytuły dzieł żądanych: „*Dążenia feminizmu...*” „*W obronie praw kobiet...*” „*Do kobiet—niewolnic...*” Uczuł nawet oburzenie, że ktoś spodziewał się znaleźć podobne dzieła w bibliotece, którą on, Sulpicjusz Médullas, zarządzał. Polecił woźnemu, aby poprosił pannę Cuticoq do jego gabinetu i w myśli przygotowywał zdanie, jakim miał zgromić zachwałą czytelniczkę.

Po chwili usłyszał szelest spódniczek damskich i podniósł głowę. Ujrzał bardzo przystojną damę, ubraną skromnie lecz gustownie, w czarną suknię i czarny kapelusz z piórami. Podniósł się i głosem zimnym, któremu napróżno chciał nadać ton sarkastyczny, przemówił:

— Pani, biblioteka, którą mam zaszczyt zarządzać, nie posiada, niestety, dzieł, jakich pani żąda.

Zaledwie wymówił te słowa, uczuł żal, że był zbyt surowym, lecz panna Zelja z uprzejmym uśmiechem odparła.

— Szkoda, przepraszam pana, że go trudziłam.

Pan Sulpicjusz otworzył usta, aby wyrazić żal, że biblioteka niema dość funduszów, aby się zaopatrzyć w tak ciekawe i pożyteczne dzieła, lecz panna Zelja, rzuciwszy raz jeszcze okiem na zażenowanego bibliotekarza, zniknęła za drzwiami... Pozostał po niej tylko lekki zapach delikatnych perfum, bardzo przyjemny, jak myślał pan Sulpicjusz.

Tak się odbyło pierwsze spotkanie pana Sulpicjusza Médullas z panną Zelją Cuticoq.

Drugie spotkanie odbyło się w tydzień potem w innych warunkach.

Pan Sulpicjusz, podczas zwykłej przechadzki zapędził się aż na bulwary, gdy nagle począł padać ulewny, wiosenny deszcz. Niemając parasola, nie mogąc się nigdzie schronić, pan Sulpicjusz stanął, oglądając się bezradnie do koła, lecz na szczęście ujrzał ogromny, żółty omnibus idący z Batignolles do Odeonu. Skoczył z chodnika na ulicę, przyśpieszył kroku i wkrótce znalazł się w omnibusie. Zajął ostatnie wolne miejsce wewnątrz, tuż przy wejściu. Z zadowoleniem spoglądał potem, gdy wsiadające po nim do omnibusu osoby, musiały się zadowolić miejscem na ganeczku.

Omnibus zatrzymał się przed biblioteką narodową.

— Jeszcze jedno miejsce na ganku! — wołał konduktor.

W tej chwili z gmachu biblioteki wybiegła wysoka, szczupła kobieta i zręcznie wskoczyła na stopnie omnibusu. Konduktor podał jej rękę, zajęła wolne miejsce na ganku i omnibus ruszył. Pan Sulpicjusz widział, jak wiatr obrzucał strumieniami deszczu pasażerów, stojących na ganku

i z zadowolenie poprawił się na siedzeniu, poczem wyciągnął głowę, aby spojrzeć na ostatnią pasażerkę.

O nieba! to była czytelniczka z jego biblioteki, panna Zelja Cuticoq.

Pan Sulpicjusz, nie namyślając się ani chwili, podniósł się i uprzejmie zaproponował pannie Zelji, aby zajęła jego miejsce wewnątrz omnibusu. Panna Zelja przyjęła propozycję i podziękowała za uprzejmość miłym uśmiechem, który pan Sulpicjusz uznał za zachwycający.

Takie było drugie spotkanie pana Sulpicjusza z panną Zelją.

Nazajutrz, gdy pan Sulpicjusz, z jakichś nadzwyczajnych powodów, wychodził z domu o kwadrans później, aniżeli zwykle, z wielkiem zdziwieniem spotkał przy samej bramie pannę Zelję. Skłonił się jej grzecznie, zarumieniony, panna Zelja na ukłon odpowiedziała miłym uśmiechem i wdzięcznem skinieniem główki, poczem przeszła na drugą stronę ulicy i zniknęła w bramie domu, stojącego naprzeciwko tego, w którym mieszkał pan Sulpicjusz.

Od tego dnia, ku wielku zdumieniu Magdaleny, pan Sulpicjusz coraz częściej wychodził z domu o kwadrans później. Zawsze wtedy spotykał pannę Zelję, otrzymywał uśmiech w zamian za pełen szacunku i zachwyty ukłon i wchodząc do biblioteki o kwadrans później, ironicznie spoglądał na zdziwione miny woźnych.

* * *

Państwo Dufuireaux od bardzo dawna zawsze spędzali w domu wieczory w każdą środę i sobotę, i w te dni stale zbierali się u nich starzy znajomi.

W soboty, ze względu na dzień świąteczny nazajutrz, bywało zawsze więcej osób, tak że mały salonik państwa Dufuireaux nie mógł pomieścić wszystkich gości i starsi panowie znajdowali przytułek w gabinecie pana domu. Pan Sulpicjusz, który nie lubił liczniejszego towarzystwa i gwar-

nych zebrzań, wolał odwiedzać państwa Dufuireaux w środy, gdyż w ten dzień zastawał tam tylko kilku dawnych znajomych, którzy byli takimi samemi, jak on, mólami książkowemi.

Pewnej soboty, w kwietniu, pan Sulpicjusz po zmuđnej pracy odczytywania starego zniszczonego rękopisu z XIII wieku, uczuł wielkie znużenie i ból oczu, postanowił więc wyjść na przechadzkę. Po kwadransie samotnej włóczęgi po ulicach, zatęsknił do towarzystwa i skierował kroki ku niedalekiemu mieszkaniu państwa Dufuireaux.

Zaledwie jednak wszedł do salonu i ujrzał liczne zebranie, odurzony gwarem głośnych rozmów, pożałował ciszy swego mieszkanka. Napróżno pani Dufuireaux uprzejmie zapytywała go o zdrowie i dziękowała za pamięć. Przywitał się niezgrabnie i, nie podnosząc oczu, począł składać ukłony nieznanym jeszcze paniom; słyszał nazwiska pani Thomé, dwóch pańien Phiélebec, pani Cagin i kilka innych. Gdy wreszcie skłonił się przed jedną z pań, której nazwiska nie dosłyszał, ze zdumieniem poznał znajomy, miły głosik:

— Miałam już przyjemność widzieć p. Médullas.

Podniósł oczy w górę — tak, to była panna Zelja i patrzała nań z tym samym co niegdyś, czarującym uśmiechem.

Siadł na wolnem krześle obok i rozpoczął rozmowę. Wyraził zdziwienie, że dotąd nie miał szczęścia spotkać panny Zelji w domu państwa Dufuireaux. pomimo że oboje liczyli się do ich przyjaciół. Panna Zelja wyjaśniła, że bywa zwykle w soboty, gdyż pragnie się rozerwać w większem towarzystwie. Pan Sulpicjusz przyznał się, że dotąd najchętniej bywał w środy, ale od pewnego już czasu myślał o zmianie tego dnia na soboty. Gawędzili długo i serdecznie. Stwierdzili ciekawe podobieństwo swych upodobań i charakterów.

Z wielkiem zdziwieniem usłyszał pan Sulpicjusz bijącą godzinę dwunastą i zerwał się z miejsca, przestraszony niezwykłym zapóźnieniem. Lecz pani Dufuireaux prosiła go, aby się zatrzymał pięć minut i jako blizki bardzo sąsiad panny Zelji, zechce uprzejmie odprowadzić ją do domu.

Pan Sulpicjusz zarumienił się lekko, widząc jednak że panna Zelji bynajmniej nie przeraziła ta propozycja, uspo-



Pan Sulpicjusz Médullas i panna Zelja Cuticoq w salonie państwa Dufuireaux.

koił się. Wyszli razem i pan Sulpicjusz zauważył, że sąsiadka jego ma nadzwyczaj zręczny chód i że dwa cienie, jego i jej, obok siebie, w świetle latarni gazowych wyglądały bardzo... przyjemnie.

Od tego dnia, ku wielkiemu zdziwieniu przyjaciół, pan Sulpicjusz przestał bywać na skromnych, nielicznych zebraniach środowych, a został stałym gościem sobotnim. Państwo Dufuireaux zauważyli też, że pan Sulpicjusz stopniowo zaczął przychodzić coraz wcześniej, a wszedłszy do salonu, obrzucał pokój szybkim spojrzeniem, jakby szukając kogoś, czy czegoś. Potem siadał i pozostawał roztargniony, zamysłony, dopóki nie weszła panna Zelja Cuticoq.

Wtedy twarz mu się wyjaśniała, odzyskiwał zupełną swobodę, a nawet, ku wielkiemu zdziwieniu starych znajomych, stawał się bardzo ożywionym, dowcipnym i wymownym.

Pani Cafin, posiadająca niezwykle dar obserwacyjny, zauważyła, że panna Zelja od pewnego czasu nie opuszczała żadnej soboty, i że coraz częściej, czarny swój strój urozmaicała jasnemi wstążkami i kokardkami. Zaczęła nosić kołnierzyk koronkowy i piękną, staroświecką broszkę z turkusami, odziedziczoną po matce.

Pan Sulpicjusz kupił sobie nowy surdut, na zawiązywanie krawata poświęcał więcej czasu, jednym słowem, począł dbać o swą powierzchowność.

* * *

Zazwyczaj panna Zelja wchodziła do salonu państwa Dufuireaux zanim wybiła godzina dziewiąta. Pewnej jednak soboty wybiła dziewiąta, pół do dziesiątej a czarna sukienka się nie ukazywała. Pan Sulpicjusz nie mógł usiedzieć na miejscu, bladł i rumienił się, wreszcie się zbliżył do gospodyni i po wymienieniu kilku zdań obojętnych, zapytał nieśmiało, czy panna Zelja nieprzyjdzie. Zatrząsał się z oburzenia, gdy pani Dufuireaux najobojętniejszym tonem odpowiedziała, że panna Zelja przeziębła się i tego wieczoru nieprzyjdzie.

Oburzenie to jednak zniknęło w jednej chwili, gdy pani Dufuireaux dodała:

— Wie pan, co wypadaloby panu zrobić, mieszkając tak blisko panny Zelji? Oto powinien pan jutro ją odwiedzić. Jestem pewna, że bardzoby ją ucieszyły pańskie odwiedziny.

Pan Sulpicjusz powrócił do domu wcześniej, przejęty i wzruszony. Tysiączne sprzecznych myśli walczyło w jego głowie — nie mógł spać przez noc całą.

Z ledwością mógł się doczekać godziny piątej, o której, jak mniemał, najstosowniej byłoby złożyć wizytę.

Gdy nadeszła godzina piąta, uczuł trwogę. Zamiar złożenia wizyty pannie Cuticoq, bez jej upoważnienia, zdawał mu się zbrodnią niesłychaną przeciwko konwenansom świątowym. Kiedy jednak w pół godziny później stanął przed lustrem, ubrany w nowy, wytworny surdut, świeżo odprasowany cylinder, świeże rękawiczki, pomyślał, że byłoby wielkim nierozsądkiem nie posłuchać rady pani Dufuireaux, która, bezwątpienia, była znawczynią obyczajów towarzyskich.

Z niezwykłym pośpiechem zeszedł z czwartego piętra i po chwili, nieco zadyszany, stanął na czwartym piętrze przeciwnego domu. U drzwi panny Cuticoq zawahał się znowu, trzy razy wyciągnął rękę do dzwonka i struchlał, gdy za czwartym dotknięciem usłyszał głos dzwonka po za drzwiami. Odwaga opuściła go i już chciał zemknąć, gdy nagle drzwi się otworzyły i ukazała się służąca. Zapóźno było na ucieczkę.

Drżącym głosem poprosił służącą, aby zawiadomiła panią, iż pan Médulas, sąsiad panny Cuticoq, ośmiela się dowiedzieć o jej zdrowie.

Honorata, nie czekając końca długiej przemowy, oświadczyła, że panienka jest w domu i zaprowadziła go do pokoju.

W małym saloniku — zastał pannę Zelję z szyją owiązaną chusteczką, lecz zawsze ładną i elegancką. Pomimo chrypki, głos jej zabrzmiał w uszach pana Sulpicjusza jak najpiękniejsza muzyka, tak samo myślał, że nie widział nigdy tak zachwycającego pokoju, jak ten mały salonik, tak ślicznego kanarka, jaki skakał w klatce i tak miłego kotka,

jak ten, co przyszedł ocierać się o jego nogi, pozostawiając całe pęki sierści na jego nowych ineksprymablach.

Po krótkiej wizycie pan Sulpicjusz wyszedł, przyrzekając częstsze odwiedziny. Przyrzeczenia dotrzymał i odwiedziny u sąsiadki stawały się coraz częstsze i coraz dłuższe. Gdy po obiedzie zasiadał do biurka, czuł wstręt do ulubionych dawniej szpargałów i rękopisów; wszystko to, czem się zachwycał dawniej, teraz zdawało mu się martwem, zimnem i wstrętnem. Siedział, z oczami utkwionemi w książkę, lecz myślał i marzył o czem innem. O czem? Z tego sobie sam nie zdawał sprawy.

Pewnego razu marzenia te przerwała w sposób brutalny Magdalena. Od pewnego czasu widywała coraz częściej pęki sierści kociej na ubraniu pana; coraz częściej zastanawiała ją późny powrót jego do domu. Nareszcie wiadomości zebrane od odźwiernej domu i od odźwiernej z przeciwnika, wyjaśniły jej wątpliwości i przepełniły jej serce żalem i oburzeniem. I gdy pewnego razu pan Sulpicjusz zrobił jej wymówkę za przypalony rosół, nastąpił wybuch. Ze łzami w oczach i rumieńcami na twarzy oświadczyła, że z pewnością pan nie będzie lepiej obsłużony, gdy się nareszcie ożeni... Mówiąc to, ruchem tragicznym wskazała wyraźnie czwarte piętro przeciwnego domu.

Pan Sulpicjusz słów jej na razie nie zrozumiał; gdy wreszcie pojął ich znaczenie, rumieniec gniewu wystąpił na bladą twarz i przez chwilę miał chęć rzucić Magdalенę o ziemię i zdeptać obcasami. Po chwili ochłonął, zaciął wargi i przeszedł do gabinetu, stąpając jak lunatyk.

Nie zasiadł, jak zwykle, w fotelu przed biurkiem, lecz począł gorączkowo chodzić po pokoju. Wreszcie stanął przy oknie, uniósł franki i spojrzał naprzeciwko. W oknie panny Zelji świeciło się. Pewnie siedziała przy biurku, zajęta zwykłą pracą.

— Co za niedorzeczność — myślał sobie — ona tam samotna, ja tutaj i siedzimy sami, a przecież ziemia byłaby rajem, gdybyśmy mogli spędzać wieczory razem.

Brała go chęć pójść do niej, do tego miłego pokoiku, i pozostać tam, lub wziąć ją za rękę i przyprowadzić do sie-

bie. Opuścił frankę i odwrócił się od okna i nagle mimowoli spojrzął w lustro. Stał, jak skamieniały...

Zobaczył łysinę, rzadkie siwe włosy, blade oczy po za okularami, zapadłe policzki, zgarbioną postać. Więcej nic już nie widział, gdyż grube łyzy, spadające na szkła okularów, zasłoniły mu wszystko...

* * *

Przez kilka dni pan Sulpicjusz chodził jak struty.

Pewnego dnia, gdy wracał do domu, odźwierna podała mu list. Rzucił okiem na adres i zadrżał. Poznał to pismo, które tak często widywał na kartkach w bibliotece a później na kajetach z wypracowaniami wychowanic przytułków. Popędził na górę, przeskakując po cztery schody naraz, zamknął się w gabinecie i drżącą ręką rozerwał kopertę.

Panna Zelja zapytywała o jego zdrowie, żałowała, że jej nie odwiedza i wyrażała obawę, czy nie jest bardzo cierpiący.

Natychmiast wziął się do odpisania. Zaczynał dwadzieścia listów i wszystkie wrzucał do kosza. Po godzinnych wysiłkach napisał wreszcie list, zawierający kilka słów. Donosił, że był cierpiący i dziękował za łaskawą pamięć. Zadzwoił na Magdalenę i kazał jej odnieść list naprzeciwko podług adresu. Zaledwie Magdalena wyszła za drzwi, chciał biedz i zatrzymać ją. Czyż nie mógł się zdobyć na napisanie czegoś więcej? A może to i lepiej... Raz się wszystko skończy... Weźmie go za głupca, za komedjanta, i będzie miała słuszność. Gdy się jest starym i brzydkim, trzeba umieć być starym i brzydkim. Szydł sam z siebie i sam sobie ból zadawał.

Wyjrzał oknem. Magdalena, spełniwszy swą misję, wychodziła z bramy przeciwległego domu. Stało się... Pan Sulpicjusz uczuł litość nad sobą samym. Padł na krzesło. Nigdy jeszcze nie czuł się tak samotnym i tak starym. Czuł,

że odtąd życie będzie mu ciężarem nie do zniesienia i zapragnął spoczynku. Chciał zasnąć głęboko, na zawsze, nie obudzić się nigdy... Zapóźno, zapóźno!..

Nagle ze stanu odrętwienia i niemocy zbudził go dźwięk dzwonka.. Machinalnie zaczął słuchać. Któż mógł przyjść do niego? Handlarz książek, lub przepisowacz rękopisów...

Weszła Magdalena. Pan Sulpicjusz widział na jej twarzy złośliwą radość, z jaką miała mu oznajmić coś złego.

— To panna Cuticoq przyszła pana odwiedzić...

Zanim pan Sulpicjusz ochłonął ze zdziwienia, mała rączka usunęła korpulentną postać Magdaleny od drzwi i przed oczami pana Sulpicjusza mignęła czarna sukienka a w uszach zabrzmiał słodki głosik.

— Ponieważ kochany sąsiad jest cierpiący, uważałam sobie za obowiązek odwiedzić go...

Pan Sulpicjusz do reszty stracił głowę. Wzruszenie, przerażenie, radość odebrały mu przytomność. Jąkał przeprosiny, podziękowanie.

Panna Zelja rozpoczęła szczerą, serdeczną, pogawędkę. Dlaczego sąsiad nie dał żadnego znaku życia o sobie? Bardzo odczuła brak jego wizyt. Czy dawno czuje się słabym? Co mu dolega? Czy się radził lekarza?

Pan Sulpicjusz usiłował odpowiadać, płątał się, przeczył sam sobie. Wreszcie oprzytomniał i nabrał odwagi. Po co kłamać? Nieśmiało, głosem drżącym, z oczyma utkwionemi w ziemię, zaczął mówić. Panna Zelja, poważna, a słodka, słuchała uważnie, przypatrując się pyłkom kurzu, wirującym w ostatnich promieniach słońca.

Za drzwiami, z uchem przyciśniętem do dziurki od klucza, słuchała Magdalena. W pół godziny po wejściu panny Cuticoq, odeszła do kuchni, tłumiąc westchnienia i ocierając łzy. Wiedziała już wszystko...

Wieczór zapadł. Gdy pan Sulpicjusz i panna Zelja zegnali się, trzymając się za ręce i patrząc w siebie wzajemnie w oczy, byli przekonani, że żaden poeta nie potrafiłby opisać uroku tej rodzącej się jesiennej miłości, słodczy pier-

wszego pocałunku i wiosennej woni, płynącej przez otwarte okno.

* * *

Po upływie dwóch tygodni mer VI okręgu ogłosił zapowiedzi pana Sulpicjusza Médullas, bibliotekarza i panny Zelji Cuticoq, żyjącej z własnych funduszów, a w tydzień później odbył się ślub w kościele św. Sulpicjusza, w obecności państwa Dufuireaux, pani Cuissart i kilku przyjaciół.

Państwo Médullas, chociaż nie mieli dużo dzieci, kochali się bardzo i byli bardzo szczęśliwi.

tłom. r.

Na pobojuwisku pracy.

WYCIĘCZKA W ŚWIAT FABRYK.

Gdy mówimy o niebezpieczeństwach, właściwych różnym zawodom, to zwykle mamy na myśli tych pracowników, którzy są bezpośrednio wystawieni na ciągłą walkę z wrogami żywiołami, jak: strażaków ogniowych, marynarzy, górników i innych robotników, którzy, pracując w pocie czoła na kawałek chleba, narażają swe życie bezustannie, pod ustawiczną grozą jakiejś katastrofy. Tymczasem, nietylko te zawody, za najniebezpieczniejsze powszechnie uważane, ale każde rzemiosło posiada właściwe sobie niebezpieczeństwa.

Corocznie na pobojuwisku jaknajspokojniejszych zawodów więcej ginie ofiar z chorób i śmierci, spowodowanych temi pozornie bezpiecznymi zajęciami, niż skutkiem pożarów, eksplozji, rozbicia okrętów i innych katastrof nadzwyczajnych. Gdybyśmy byli w stanie zebrać dokładne dane statystyczne, wywołałyby one ogólne zdziwienie wysokością cyfry tych ofiar walki o byt.

Ale jednocześnie uspokoiłby nasze sumienie widok ciągłego postępu w zakresie środków zaradczych, zmierzających do zwalczania szkodliwych warunków zdrowotnych w różnych gałęziach pracy. W ostatnich paru dziesięcioleciach prawie we wszystkich państwach cywilizowanych ogłoszono

prawa starannie obmyślane, dążące do ochrony klasy robotniczej i mające na celu zabezpieczyć ją na zdrowiu i na ciele od niebezpieczeństw, nieodłącznych od wszelkich rodzajów przemysłu fabrycznego. Ku tej ochronie zastosowano wszelkie środki zapobiegawcze, jakich tylko może dostarczyć obecny stan wiedzy technicznej z zakresu higieny.

Nie może być tu mowy o wyczerpującym opisanium wszystkich środków zaradczych przeciwko niebezpieczeństwom i chorobom właściwym każdemu zawodowi, boby to



Robotnicy zajęci przy wydobywaniu smoły szewekiej

nas zaprowadziło po za określone ramy niniejszego artykułu. Musimy ograniczyć się na wybraniu niektórych środków dla tej lub innej przyczyny, bardziej godnych naszej uwagi i przedstawić je poglądowo naszym czytelnikom, za pośrednictwem odpowiednich drzeworytów, zdjętych po największej części z natury.

Zaraz na pierwszej rycinie mamy przed oczami najprostszy środek bezpieczeństwa, używany przez robotników, przy wydobywaniu paku czyli smoły szewekiej. Jest to

minerał nawpół szklisty, kruchy, który się znajduje w Europie, w okolicach Miśni i Tyrolu, na Węgrzech, oraz w Armenji i Irlandji. Minerał ten, wielce pożyteczny dla przemysłu, z powodu kruchości przy kopaniu rozpryskuje się na wszystkie strony w postaci drobnych kryształków, grożących robotnikom zaproszeniem oczu. Dlatego też ludzie zajęci wydobywaniem paku, muszą obowiązkowo ochraniać te organy najważniejszego [z naszych zmysłów, zasłonami krepowemi. Więcej złożone są środki, zapobiegające podobnemu niebezpieczeństwu w fabrykach wód mineralnych.



Mycie butelek w fabryce wód mineralnych

Kwas węglowy, jako jeden ze składników wód gazowych, powoduje częstokroć eksplozję napelnianych butelek. Nieostrzegalne gołym okiem pęknięcie, nierówność szkła, sprowadza nieunikniony gwałtowny wybuch, wywołany silnem naprężeniem gazów. Niejeden z naszych czytelników, zwiedzając podobny zakład, dziwił się zapewne częstym wystrzałom, jakby z broni ręcznej. Liczba wypadków przy tych wybuchach byłaby znaczną, gdyby kobiety i dzieci, zajmujące się tym procederem, nie osłaniały twarzy ma-

skami z siatki drucianej, a rąk, któremi wyjmują butelki z maszyn--rękawiczkami, sięgającymi aż do łokcia (patrz obok załączone dwie ryciny). Rękawiczki te zrobione są z przędzy wełnianej, bo przekonano się w ostatnich czasach, że wełna ochrania skuteczniej, niż skóra albo kauczuk, używane w podobnych razach dawniej.

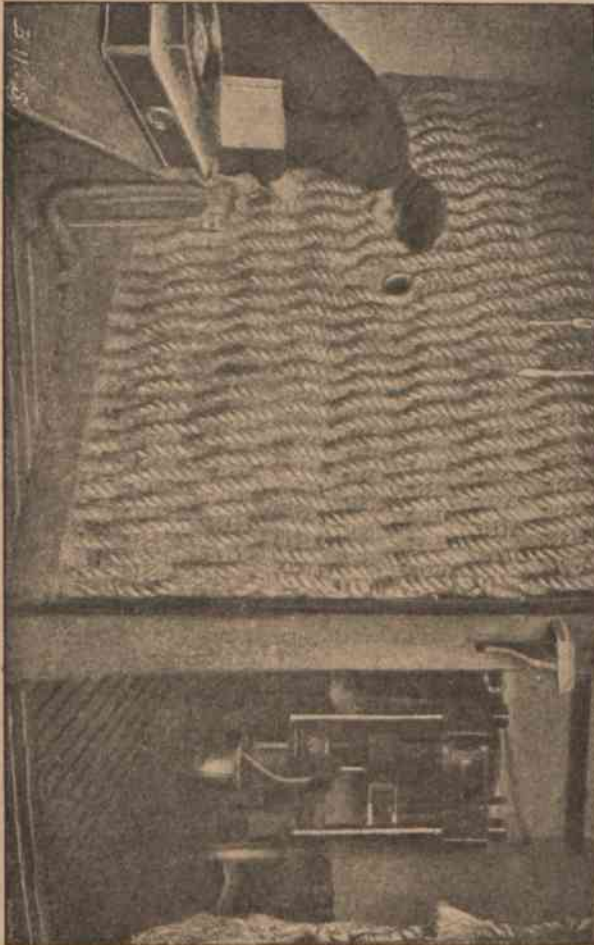


Napełnianie butelek w fabryce wód mineralnych.

Łatwo się domyślić, że fabrykacja nabojów oraz ogni sztucznych należy do rzędu zajęć najniebezpieczniejszych. Przy mieszaniu więc materiałów wybuchowych oraz ich naładowywaniu, zastosowują się wszelkie możliwe środki bezpieczeństwa, obmyślane z drobiazgową starannością, a robotnicy, przy bacznym dozorze muszą ściśle stosować się do

obowiązujących przepisów, mających na celu zabezpieczenie ich od przypuszczalnych katastrof. Na największe niebezpieczeństwo są narażeni robotnicy, mający do czynienia ze

Wyrób bawełny strzelniczej.



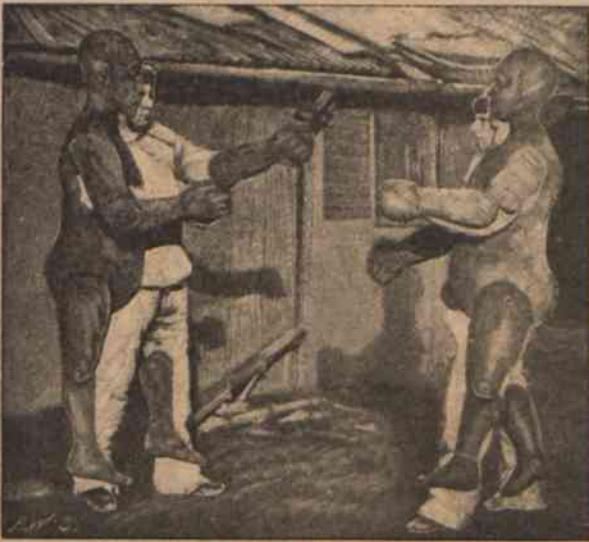
straszną pyroksyliną (bawełną strzelniczą). Załączona obok rycina przedstawia robotnika, zajętego wyrobem tego materiału, od którego odgradza go ściana, spleciona z mocnych

lin okrętowych a przez małe okienka może obserwować spokojnie cały proces tworzenia. Ściana ochronna z drzewa lub żelaza nie odpowiada podobnemu zadaniu, bo nie posiadałaby elastyczności, właściwej linom okrętowym i nie przepuszczałaby powietrza i dlatego w razie eksplozji nie wytrzymałaby gwałtownego nacisku gazów. I tutaj, jak widzimy, są przewidziane środki w możliwym zakresie wiedzy ludzkiej. Budynki, w których się odbywają te niebezpieczne zatrudnienia, są wystawione z drzewa, oddalone znacznie od innych fabryk lub siedzib ludzkich. Nie wolno, w nich przebywać jednocześnie więcej niż dwu lub trzech, co najwyżej, osobom. Przytem zakazane jest surowo przy ich budowaniu użycie żelaznych części składowych jak również posługiwanie się przy wyrobie fabrykatów jakiegokolwiek narzędziami żelaznymi. Ostrożność jest posunięta tak dalece, że surowo zabroniono robotnikom noszenia obuwia, podbitego żelaznymi gwoździami, a robotnikom stalowych szpilek we włosach. W przyrządach, nie mogących się obejść bez części metalowych, dozwolono użycie miedzi, jako najmniej szkodliwej. Robotnicy muszą



Napełnianie rakiet.

być ubrani w odzież wełnianą, oraz obuci w trzewiki skórzane, wyłącznie na ten cel uszyte bez gwoździ. Trzewiki takie widzimy na rycinie u robotnika, zajętego napełnianiem rakiety. Budynki te oświetlone są gazem z zewnątrz. W warsztatach niewolno przechowywać znaczniejszej ilości gotowych lub niedokończonych fajerwerków, ani też materji wybuchowych, w stanie surowym. Rakiety, zaraz po skończeniu, są usuwane z warsztatów, przez wąską a długą szparę



Żywe fajerwerki

w ścianie i chowane z wszelką ostrożnością, w składach wyłącznie na ten cel przeznaczonych.

Przy tej sposobności musimy poświęcić słów kilka t. zw. fajerwerkom żywym, używanym głównie w Anglii i Ameryce na przedstawieniach pyrotechnicznych. Widok dwóch postaci, ziejących ogniem, sypiących snopy iskier dokoła, a przytem boksujących się, tańczących i wyprawiających różne figle, sprawia niesłychane wrażenie na tamtejszej publiczności.

ści, cieszącej się nader silnemi nerwami. Niewtajemniczeni przypuszczają nieraz, że to muszą być automaty, poruszane nader skomplikowanym mechanizmem. W istocie są to ludzie, owinięci w powłokę azbestową, wysmarowaną od strony, zwróconej do publiczności, mieszaniną palną, świecąca jaskrawo (obacz na załączonej rycinie). Sztukmistrze ci nie narażają się wprawdzie na spalenie żywcem, ale cierpią wiele od duszącego dymu i nieraz te żywe fajerwerki w obawie



Robotnicy w fabryce chlorku wapna

uduszenia się, padają przed czasem na ziemię, dla skrócenia widowiska.

Przygotowywanie ciał trujących, potrzebnych do celów naukowych lub innych, wymaga również wszelkich ostrożności dla zabezpieczenia osób, zajętych ich wyrobem. Do najniebezpieczniejszych należy przygotowywanie chlorku wapna, mającego jako bielidło znaczne zastosowanie w przemyśle. Związek ten powstaje wskutek połączenia gazów chloru, wprowadzonych do niskich budynków, zbudowanych

według pewnych zasad, z warstwą wysuszonego wapna gąszonego, wysokości 15 centymetrów, rozpostartą na podłodze. I gaz i chlorek wapna są to bardzo silne trucizny i dlatego robotnicy chronią się od wdychania zabójczego pyłu, oddziaływającego też szkodliwie na oczy, nakładając ściśle przylegające okulary oraz obwiązując nos i usta kilkakrotnie złożoną fianelą. Starają się też szczelnie zasłonić wszelkie szpary w odzieży, aby niebezpieczny pył nie prze-



Rękawice kauczukowe
zabezpieczające przed opa-
rzeniem kwasami.



Respirator konstrukcji de la Rue.

dostał się do skóry. Tak osłoniętych robotników wskazuje nam rycina.

Pomimo tych środków bezpieczeństwa, robotnicy, pracujący w takich i pokrewnych fabrykach wytworów chemicznych, rzadko dochodzą późnego wieku. Dolecza im brak apetytu, niedokrwiistość, oraz uporczywy katar oskrzeli; do tych dolegliwości, szczególnie jeśli dany osobnik od dłuższego czasu pracuje w zgubnej atmosferze, nierzadko przy-

łączają się choroby mózgu. W fabrykach, mających do czynienia z kwasami gryzącymi, jak kwas siarczany i t. p., robotnicy używają dla ochrony dłoni przed oparzeniem grubych rękawiczek kauczukowych.

Aby przeciwdziałać szkodliwym wpływom gazów trujących wynaleziono respiratory, nasycone odpowiednimi roz-



Parnik skórzany, umożliwiający przebywanie w miejscach napełnionych dymem lub gazami trującymi.

tworami chemicznymi, a w wypadkach, gdzie te nie wystarczają, robotnicy wsuwają się w aparaty, które ułatwiają oddychanie świeżym powietrzem w przestrzeniach napełnionych szkodliwymi dla zdrowia gazami.

Rysunki przedstawiają dwa takie przyrządy jeden z nich to respirator konstrukcji de la Rue, drugi—to tak zwany par-

nik gazowy. Pierwszy, który ma zastosowanie w fabrykach chemicznych i przetworów gazowych, składa się z okularów, chroniących oczy, dwóch płytek kauczukowych, które ścisnąc nozdrza, zatykają otwory nosowe, oraz z długiej rury gumowej, okrywającej usta, która jest przewodnikiem czyste-



Aparat, zabezpieczający przed wdychaniem pyłu szklanego lub metalowego.

go i zdrowego powietrza. Ten respirator jednak jest tak niewygodny i krępujący ruchy, że robotnicy w większości używają skórzanego parnika, który szczelnie okrywa górną część ciała aż do pasa. Na wysokości twarzy jest otwór, który za pośrednictwem węża gumowego przeprowadza świe-

że powietrze z maszyny pneumatycznej. Aparat ten posiada tubę powietrzną, nader dowcipnej konstrukcji, która ułatwia porozumienie się robotnika z towarzyszami.

Podobnej konstrukcji jest aparat, przedstawiony na rycinie przedostatniej, mający na celu zabezpieczenie robotników przed wdychaniem pyłu szklanego lub metalowego oraz drobnych a ostrych cząsteczek piasku. Do ochrony też często służą w podobnych razach nader zręcznie obmyślane



Przyrząd ochraniający przed potykaniem ostrego kurzu przy polerowaniu.

wachlarze lub wentylatory, jak to ma miejsce naprzykład w przędzalniach bawełny.

Ale te środki nie są w stanie zapobiedz zupełnie usunięciu szkodliwego pyłu i robotnicy, pracujący w wymienionych zawodach, często podlegają ciężkim do wyleczenia katarom, które nierzadko przechodzą w zapalenie płuc i inne choroby dróg oddechowych.

Za to bardzo skuteczne okazały się przyrządy, służące do ochrony robotników przed połykaniem ostrego kurzu przy malowaniu i polerowaniu przedmiotów szklanych piaskiem lub szmerglem. Robotnik jest odgradzony wysoką przegrodą z blachy żelaznej, zaopatrzoną w dwa otwory, zasłonięte kawałkami skóry, a pozwalające rękom swobodnie obracać przedmioty.

Jak już na samym początku wspomnieliśmy, nie możemy dać tutaj wyczerpującego opisu wszystkich niebezpieczeństw i chorób, właściwych każdemu zawodowi oraz nieodłącznych od przemysłu fabrycznego. Ale i z tych kilku przykładów czytelnicy mogą się przekonać, że zarówno państwo, jak i wiedza ludzka, starają się, o ile możliwości, zwalczać lub łagodzić fatalny stan rzeczy. Spodziewać się też można ciągłego postępu, w kierunku zabezpieczenia warunków zdrowotnych tych ofiar na poboju pracy publicznej.

Śmierć pozorną.

Od bardzo dawnych czasów uczeni lekarze zajmowali się sprawą śmierci pozornej, czyli t. z. letargu. W naszych czasach sprawę tę nanowo poruszył lekarz wiedeński, dr. Hartmann, i wywołał wielką sensację swą broszurą, w której twierdził, że na 100 osób pochowanych, co najmniej jedna bywa pogrzebana w letargu.

Przedewszystkiem trzeba się zastanowić, co nazywamy w mowie potocznej „śmiercią pozorną“. Pod tą nazwą rozumiemy najwyższy stopień osłabienia funkcji życiowych organizmu, zwłaszcza pod względem wytwarzania ciepła, oraz działalności mózgu i serca. Podobny stan spotykamy bardzo często u zwierząt niższych; objawy odrętwienia owadów są powszechnie znane. Franklin zauważył, że muchy, utopione przypadkiem w winie (maderze) i przywiezione z Ameryki do Europy, po pewnym czasie na powietrzu powracały do życia. Zwierzęta ziemnowodne, jak żaby i węże, pod wpływem zimna wpadają w stan odrętwienia, a przeniesione do ciepła, powracają do życia. Niektóre ryby można przewozić na wielką odległość żywe, w lodzie; inne można zachować przez czas dłuższy przy życiu w stanie uśpienia pod wpływem alkoholu: w tym celu wkłada się rybce w pyszczek

kulkę, nasyconą alkoholem, gdy po wyjęciu kulki, po upływie 2—3 dni, rybę wpuści się do wody, powraca do życia.

Najciekawszem jednak zjawiskiem tego rodzaju jest, bez wątpienia, sen zimowy zwierząt. Doświadczenia, robione głównie z świszczami i susłami wskazują, że podczas snu zimowego, funkcje życiowe słabną do najwyższego stopnia. Temperatura ciała spada do 6—8° C., ruchy oddechowe klatki piersiowej nikną zupełnie; bicie serca staje się rzadkie i słabe; zużycie tlenu spada do $\frac{1}{41}$, a wytwarzanie kwasu węglowego do $\frac{1}{75}$ w porównaniu ze stanem czuwania; waga ciała zmniejsza się bardzo nieznacznie; tkanki podczas snu ponoszą stratę 10—15 razy mniejszą, aniżeli w zwykłym głodzie. Jeżeli w zwykłym stanie zwierzę ginie z głodu dopiero po 2—3 tygodniach, to w śnie zimowym może żyć bez pokarmu nawet pół roku.

Tego rodzaju upadek funkcji życiowych zdarza się także u ludzi, lecz prawie zawsze jest stanem chorobliwym. Podczas zwykłego snu, podobnego, podług starego przysłowia, do śmierci, także występują pewne objawy podobne: temperatura ciała spada znacznie, ilość płynów i połączeń azotowych, wydzielanych przez nerki, spada w stosunku 2:3. W śnie hypnotycznym upadek jest jeszcze wyraźniejszy. Podczas publicznych pokazów hypnotycznych w Londynie 1896 r., osoba uśpiona, w ciągu 30 dni i nocy zdradzała za pełną nieczułość na objawy zewnętrzne: oddech zmniejszył się 8 razy na minutę, puls spadł na 52.

Największy upadek czynności życiowych można obserwować w wypadkach ciężkiej choroby ogólnej lub wstrząśnieniach systemu nerwowego, jak otrucia, wstrząśnienia mózgu, apopleksja, uduszenia, porażenia piorunem, hysterja, zmarznięcie i t. p. Uduszeni w wodzie, czyli utopieni, często bywają przywracani do życia po upływie godziny, lub więcej; to samo zdarza się po obfitej utracie krwi przy porożu, lub wskutek ran otrzymanych. Głębokie zemdlenia sprawiają także wrażenie śmierci, a jednak przy należytem ratunku ocucenie może nastąpić nawet po paru godzinach. Stan letargiczny w przypadkach hysterji często trwa długo;

występuje wtedy zupełna nieczułość i nieruchomość; ruchy klatki piersiowej są niedostrzegalne, puls spada i słabnie o 50%. Stan taki może trwać całe tygodnie przy jednoczesnej bardzo małej potrzebie odżywiania się.

Wpływ zimna na organizm zwierzęcy znany jest od dawna. Dr. Butkiewicz opisuje wypadek następujący. W r. 1893 znaleziono zasypaną w polu śniegiem 17-letnią dziewczynę wiejską, która pozostawała pod śniegiem, w dość lekkiej odzieży, bez żadnego pokarmu, w przeciągu 51 dni. Po przewiezieniu jej do szpitala, przez pewien czas trwała jeszcze senność, brak apetytu i pragnienia. Po dłuższej kuracji, dziewczyna odzyskała zdrowie.

Wreszcie stan letargiczny może poprzedzać zupełną śmierć organizmu. Ciało ludzkie za życia przechodzi trzy główne okresy.

Pierwszy okres — to czas od urodzenia do 25 roku życia. W tym okresie wzrost i waga ciała wzrasta ciągle. W drugim okresie od 25 — 50 roku życia — organizm udoskonala się i wzmacnia. W trzecim okresie organizm poczyna słabnąć; waga ciała spada, niektóre organy, jak włosy i zęby giną zupełnie; działalność innych ustaje i zdradzają tylko niektóre objawy t. z. życia roślinnego.

Stopniowy upadek organizmu kończy się zupełnem przerwaniem objawów życia, czyli śmiercią. Tu zachodzą dwie okoliczności: 1) zupełną śmierć poprzedza stan najwyższego osłabienia funkcji życiowych; 2) rozmaite organy i tkanki ciała umierają nie jednocześnie, lecz kolejno jeden po drugim. Taki stan, gdy jedne organy już zamarły, a inne zdradzają jeszcze niektóre objawy życia, może trwać jeszcze czas dłuższy i w zupełności odpowiada pojęciu o śmierci pozornej. Josat nazywa ten stan „przejściowym do śmierci“ uczeni niemieccy zowią go „snem śmierci“.

Niejednoczesna śmierć rozmaitych części ciała ludzkiego jest zjawiskiem nadzwyczaj ważnem w dziedzinie medycyny sądowej, gdyż często zależy nie tylko na stwierdzeniu śmierci, lecz także na dokładnem oznaczeniu chwili zgonu. Lekarz, na podstawie praw medycyny, może wydać świa-

dectwo śmierci, na pierwsze żądanie, pomimo, że ciało uznane za martwe, może przez długi jeszcze czas zdradzać objawy życia w niektórych organach. Najżywotniejszą częścią organizmu jest tkanka mięśniowa; w ciele zmarłego mięśnie kurczą się pod wpływem elektryczności zupełnie tak samo, jak za życia. Przy stwierdzaniu śmierci, lekarze kierują się przyjętymi powszechnie w medycynie objawami. Objawów tych jest dużo, ale są one tylko warunkowe, gdyż niektóre z nich można obserwować na ciele żyjącem, innych znów brak po śmierci.

Najważniejsze z tych objawów — to brak oddechu i bicia serca. Powszechnie utarło się pojęcie, że brak oddechu, a właściwie ruchów klatki piersiowej jest dowodem śmierci. A przecież wiemy, że w śnie zimowym zwierząt często nie ma zupełnie ruchów oddechowych, i do życia wystarcza prosta dyfuzja gazów. Wypadki „życia bez oddychania“ zdarzają się u noworodków, które powrócić można do życia nawet po upływie paru godzin, o ile nie ustała zupełnie działalność serca. To samo zjawisko obserwowano u topielców, lub osób zasypanych ziemią.

Proces oddychania organizmu nie jest tak prosty, jakim się wydaje. Wiadomo, że człowiek oddycha powietrzem, a właściwie tlenem, zawartym w atmosferze. Zewnętrznie oddychanie objawia się rytmicznym podnoszeniem i opadaniem klatki piersiowej; przy każdym takim ruchu pęcherzyki płuc zaopatrują się w nowy zapas tlenu. Lecz gaz ten potrzebny jest dla każdego organu, dla każdej tkanki organizmu. Zupełnie tak samo człowiek nie może żyć bez pokarmu; pokarm nie tylko jest potrzebny dla żołądka; przy właściwym odżywianiu się, wszystkie części ciała mają się dobrze, z braku pokarmu chudnie całe ciało i następuje śmierć. Bez pokarmu jednak człowiek może żyć czas dłuższy, gdy brak powietrza zabija go w przeciągu paru minut. Tlen jest niezbędnym pokarmem, bez którego wszystkie organy giną wkrótce; każda cząstka ciała musi oddychać, to jest pochłaniać tlen i zamieniać go w kwas węglany. Z płuc, wchłaniających powietrze, niema bezpośrednich dróg, które tlen mógłby się przedostawać do całego ciała. Z pęcherzyków

płucnych tlen, dzięki zadziwiającym własnościom czerwonych ciałek krwi, dostaje się do krwi drobniutkich naczyń, otaczających pęcherzyki i za pomocą żył płucnych przechodzi do lewej połowy serca, skąd naczynia krwionośne rozprowadzają go po całym ciele. Aby komórki ciała mogły żyć i pracować bez przerwy, potrzebują ciągłego przyływu tlenu, a funkcję tę sprawiają kurcze czyli bicie serca. Serce, kurcząc się i rozszerzając, działa jak pompa, przelewając krew z prawej komórki do płuc, w których krew nasyci się tlenem i z lewej — do całego ciała. Łatwo więc sobie przedstawić, co się dzieje, gdy serce bić przestanie. Wszystkie organy, tkanki, komórki, pozbawione niezbędnego pokarmu, przestają żyć i następuje śmierć.

Dlatego to zupełne ustanie bicia serca uważa się powszechnie, a nawet i w medycynie sądowej za chwilę śmierci. Jak długo trwać może czasowa przerwa w działalności serca, tego jeszcze nauka nie określiła stanowczo. Zdaniem dr. Bouchut, zaaprobowanem przez paryską akademię nauk, przerwa nie może trwać dłużej, jak pięć minut. Prawdopodobnie termin to w niektórych wypadkach za krótki.

Wskutek przerwy w działalności serca i przyływu krwi do mózgu następuje natychmiastowa utrata przytomności. Zdumiewające jednak prawdziwie są wypadki, że osoby, zapadłe w sen letargiczny, gdy zdawało się, że serce bić zupełnie przestało, zachowywały zupełną świadomość tego, co się dokoła nich działo. Lenormand opisuje wypadek, jaki się zdarzył w r. 1844. Pewien młody Anglik, uważany za zmarłego, został pochowany, wkrótce jednak nakazano ekshumację i zwłoki przeniesiono do teatru anatomicznego. Gdy już nóż operacyjny dotknął ciała, pozornie zmarły krzyknął i poruszył się. Przyrowadzony do przytomności, opowiedział, że słyszał i czuł wszystko, co się z nim i dokoła niego działo, nie mógł jednak zrobić najmniejszego ruchu. Bez wątpienia, był to wypadek chorobliwego stanu nerwowego, a przez nieuwagę lub niedbalstwo nie stwierdzono, że działalność serca nie zupełnie ustała.

Obecnie lekarze mają możność zbadania działalności serca do ostatniej chwili, tak, że omyłki są niemożliwe. Naj-

słabsze dźwięki zbadać można za pomocą mikrofonu, którego od dwudziestu lat poczęto używać do badania pulsu. W r. 1862 zdarzył się wypadek, że pewną kobietę uznano za zmarłą wskutek paraliżu serca, a tymczasem dr. Łuchmanow, za pomocą mikrofonu, zdołał się przekonać, że serce bić nie przestało. W ostateczności można się przekonać o działalności serca za pomocą akupunktury, t. j. wetknięcia długiej, cienkiej igły w wierzchołek serca, jak to się praktykuje przy doświadczeniach ze zwierzętami. Sposób ten, polecony przez Bouchuta i Viberta jest zupełnie bezpieczny, a nawet może być użyty, jako środek podniecający do przywrócenia przerwanej chwilowo działalności serca. W razach wątpliwych badanie można powtórzyć; czasu na to jest dość, wobec ustanowionego, jak np. w państwie rosyjskiem, trzydniowego terminu do chowania zmarłych.

Dr. Kosorotow, z którego pracy zaczerpnęliśmy szczegóły do niniejszego artykułu, twierdzi, że badając wszystkie dawniejsze opisy wypadków śmierci pozornej, trzeba przyjść do przekonania, że podobne opowiadania są jedynie utworem fantazji lub łatwowierności. Podane w słynnej broszurze Brukiera wypadki pogrzebania żywych ludzi, są wszystkie zmyślane; cechę prawdopodobieństwa mogą mieć tylko wypadki z tych czasów, gdy niski stopień rozwoju medycyny nie pozwalał na racjonalne i dokładne stwierdzenie śmierci. Do tego samego przekonania, po dokładnem zbadaniu odnośnych materjałów, przyszło niemieckie towarzystwo palenia zwłok, dr. Breitung, profesor Bronardel. W r. 1898 paryska akademja medyczna, po rozpatrzeniu referatu Karnicza-Karnickiego, wyraziła zdanie, że fakta podane przez autora są nieprawdziwe. Wszystkie wypadki śmierci pozornej w Rosji, jako to w Taganrogu r. 1884, w pow. borysoglebskim w r. 1866, wypadek opisany w gazecie „Sybirskij Wiestnik“ w r. 1887, w Symferopolu w r. 1897 — okazały się nieprawdziwe.

To samo można powiedzieć o zjawiskach prawdziwych, ale fałszywie wytłomaczonych. Były wypadki, że po pochowaniu zwłok kobiety w stanie ciężarnym, i po ekshumacji, znajdowano dziecko, leżące u nóg matki, jakoby zatem urodzone w trumnie, a stąd wyciągano wniosek, że matka zo-

stała pochowana za życia. W rzeczywistości wypadek taki można wytłumaczyć tylko wydzieleniem się w jamie brzusznej wielkiej ilości gazów, które wypychają płód przez części rodne; nadgnięte i rozmiękłe ciało płodu wysuwa się daleko łatwiej, aniżeli żywe lub świeże.

Pomimo, że nauka stale obala twierdzenia o wypadkach śmierci pozornej, opowiadania tego rodzaju ukazują się często na szpaltach dzienników, jako ciekawy sensacyjny materiał. W roku zeszłym poważne francuskie pismo lekarskie „Lyon medical“ zamieścił bajkę o śpiączce zimowej wieśniaków rosyjskich w gubernji pskowskiej. Bajkę powtórzyła w całości jeszcze poważniejsza gazeta angielska „Brit. med. Journal“.

W celu zabezpieczenia osób pozornie zmarłych od pochowania żywcem, wynajdowano rozmaite przyrządy: budzik Presslera, łóżko dla nieboszczyków Straussa, pokazywane na wystawie berlińskiej w r. 1883 i t. p. Niedawno jeszcze Karnicz-Karnicki przedstawił rządowi francuskiemu wynaleziony przez siebie przyrząd, którego użyć można większą ilość razy. Wynalazca żądał dla siebie przywileju wyłączności, ofiarując się wynajmować przyrządy po 15 franków za 15 dni. Akademia medyczna wyraziła zdanie, że przyrząd mógłby znaleźć zastosowanie tylko na wsi, gdzie niema lekarzy, ale na to jest za drogi; w mieście zaś, gdzie są lekarze, przyrząd jest zbyteczny. Wszystkie podobne wynalazki i przyrządy poszły w zapomnienie, jako niepotrzebne.

W Niemczech oddawna wprowadzono w użycie trupiarnie, mające na celu zapobieganie chowania osób pozornie zmarłych. Pierwszą trupiarnię urządzono, z inicjatywy Hufelanda w Wejmarze, jeszcze w końcu XVIII wieku, wkrótce potem w Monachjum, następnie w Frankfurcie nad Menem. Godny uwagi jest dom przedpogrzebowy w Monachjum. O każdym wypadku śmierci otrzymuje zawiadomienie lekarz, który stwierdza śmierć i poleca przewieźć ciało do domu przedpogrzebowego, gdzie je ustawiają w obszernej, oszkłonej trumnie, ubranej kwiatami. Trumna zwrócona jest szybą do galerji przeznaczonej dla publiczności, licznie zwiedza-

jącej trupiarnię. Jest to zatem do pewnego stopnia stała wystawa trupów. Ciało dozorują sanitariusze, którzy zawiadamiają lekarza, że rozpoczął się rozkład ciała. Fakt ten znów stwierdza lekarz, poczem dopiero odbywa się pogrzeb.

Najwspanialszym domem przedpogrzebowym może się poszczycić Fryburg badeński. Niewielkie to miasto wybudowało sobie przed dwoma laty piękny gmach, podobny do kościoła. Część budynku zajmuje właściwa trupiarnia: sala ogólna dla dzieci i kilka sal dla dorosłych zmarłych. Nic tu jednak nie przypomina trupiarni i ciała spoczywają na zasłanych łóżkach; do prawej ręki zmarłego przywiązuje się sznurek, połączony z dzwonkiem sygnałowym; za najmniejszym pociągnięciem sznura, w mieszkaniu stróża rozlega się głos dzwonka, a jednocześnie na tablicy sygnałowej pokazuje się numer sali, z której zadzwoniono. Pozostałą część gmachu zajmuje pokój sekcyjny, gabinety dla lekarza i duchownych, oraz kaplica; pod budynkiem znajduje się sala na wypadek epidemii.

Podług danych, zebranych we wszystkich domach przedpogrzebowych w przeciągu 100 lat, niebyło ani jednego wypadku powrotu nieboszczyka do życia. O tem przekonał się osobiście sam dr. Kosorotow, który zwiedził wszystkie prawie domy przedpogrzebowe. Samo urządzenie tych domów wskazuje, że mają one znaczenie tylko pod względem sanitarnym i sądowym.

Zdaniem dr. Kosorotowa w sprawie snu letargicznego można postawić następujące wnioski. W królestwie zwierzęcem spotyka się często stan ostatecznego osłabienia funkcji życiowych organizmu. Stan taki, wyłącznie w warunkach patologicznych, zdarza się także u ludzi, i nosi utartą nazwę śmierci pozornej (*mors apparens*), chociaż właściwie powinien się nazywać życiem minimalnem (*vita minima*). Człowiek w stanie życia minimalnego, wydaje się osobom, nie posiadającym wiedzy medycznej, podobnym do umarłego, pomimo że doświadczenie nas uczy, że bywa przeciwnie, to jest, że osoby takie biorą zmarłego rzeczywiście za żyjącego.

Badanie literatury medycznej dawnych czasów, sprawdzenie wypadków, ogłaszanych w ostatnich czasach, praktyka stuletnia domów przedpogrzebowych dowodzi, że rzeczywiste wypadki pochowania ludzi żyjących mogły się zdarzyć tylko w bardzo dawnych czasach. Medycyna społeczna, dzięki udoskonalonym sposobom zadania, posiada dostateczne środki do stwierdzenia faktu śmierci. Przy należytych oględzinach lekarskich pochowanie człowieka żyjącego jest niemożliwe, a i bez oględzin możliwość jest tak słabą, że, zdaniem Breitunga, nieda się nawet określić cyfrą.

Pełnomocnik gminny.

Pan Henryk Radziszewski wydaje od czasu do czasu książki, będące zbiorem prac różnych autorów o różnych sprawach kraju naszego. Świeżo wyszła trzecia taka książka, zawierająca 10 rozprawek. W jednej z nich pan Stefan Holewiński dotyka niedomagań samorządu gminnego w Królestwie. O niedomaganiach tych pisał niedawno w „Kraju” w sposób bardzo dosadny, jeden z najlepszych znawców tych stosunków p. Jan Kowerski. Pan Holewiński zatrzymuje się głównie na instytucji pełnomocników gminnych. Doniosłość praktyczna tej sprawy skłania nas do przytoczenia tutaj pracy p. Holewińskiego.

Powszechnem jest zdanie, że samorząd gminny w Królestwie Polskiem pod wielu względami funkcjonuje nieprawidłowo, że nieprawidłowości te występują coraz jaskrawiej i coraz więcej szkody zrzadzają ogółowi, że z punktu widzenia idealnych pojęć o samorządzie obecne stosunki nasze zakrawają niekiedy na parodję. Jednocześnie słysze się daję opinja, że przepisy ustawy gminnej nie są ściśle wykonywane, że między tą organizacją, jaką prawo mieć chciało, a tą, jaką życie wytworzyło, kardynalne istnieją różnice, że zwłaszcza lekceważone są te prawa i przywileje, które stanowią o niezależności i wewnętrznej samodzielności gminy.

Badanie przyczyn tego stanu rzeczy może być jedyną drogą do naprawy, jedynym sposobem wykazania, gdzie tkwi zło i jakie ku złagodzeniu go istnieć mogą środki.

Przyczyny te są dwojakie: jedne pochodzą z wadliwości ustawy gminnej, która nie jest wolną od poważnych usterek, — drugie — źródło swe mają w odstępstwach od samej ustawy lub w zaniedbaniu tych praw, które ustawa nadała. Wady w ustawie gminnej nie są bagatelne. Należy tu np. brak organu reprezentacyjnego z wyboru i zastąpienie go przez tłumne zebranie wszystkich właścicieli ziemskich aż do 3 morgów włącznie, z pominięciem innych warstw społecznych, równość głosów wszystkich właścicieli, niezależnie od posiadanych przestrzeni, brak cenzusu umysłowego dla wójta i innych osób zarządu gminnego i t. p.

Niepożądane skutki, jakie wynikają z wadliwości przepisów prawa, z trudnością dają się usunąć; właściwym, radykalnym środkiem na nie jest zmiana prawodawcza. Przeciwnie, odstępstwa, jakie rzeczywistość od ustawy poczyniła, czy to wskutek rozmyślnego uchybienia, czy zaniedbania — mogą być z łatwością sprostowane, należy w tym celu zwrócić tylko się do tekstu prawa i stanąć w obronie jego rozporządzeń.

Wykazanie zmian prawodawczych, jakie byłyby do życzenia, może mieć przeważnie znaczenie teoretyczne; urzeczywistnienie bowiem dezyderatów nie jest łatwe do osiągnięcia. Wszelkie uwagi i rozumowania, jakie zmiany wprowadzićby należało, na jakich wzorach oprzećby je trzeba, czy i kiedy owa reforma mogłaby nastąpić, — są rzeczą dalszą, dowolną i powtarzam, mało ziszczalną.

Natomiast bliższą rzeczą i realniejszą jest zapoznanie się z obowiązującymi przepisami i następnie dołożenie starań, by przepisy te były wykonywane. Jest to zadanie niewątpliwie o doniosłym i doraźnym praktycznym znaczeniu, zadanie, wchodzące bezpośrednio w program każdej pracy społecznej, jako wymagającej na pierwszym planie samowiedzy społeczeństwa w zakresie jego praw.

W stosunkach gminnych niejedna kwestja wymagałaby gruntownego opracowania i zajęcia się nią z tego mianowicie punktu widzenia. Niejeden przepis inaczej wygląda zupełnie w tekście ustawy, a inaczej na zebraniu gminnem, lub w kancelarji wójta. Sądzę, że do rzędu tych kwestji należy też instytucja t. zw. pełnomocników gminnych.

Instytucja ta nie jest wprawdzie pomyślana bez zarzutu, mimo to jednak mogłaby przynieść pożytek, gdyby normujące ją przepisy były obserwowane, a z praw, jakie dać może, należycie korzystać umiano.

Ażeby zgodnie z powyższem założeniem podjęty temat rozwinąć, należy naprzód podać treść odnośnych przepisów, a potem rzucić okiem na faktyczny stan rzeczy.

Urząd pełnomocników gminnych, we właściwem i obecnem znaczeniu słowa, ukazowi o urządzeniu włościan z r. 1864 był nieznaną. Plenipotenci do interesów gminy, o których wspominają punkt 9 art. 16 i punkt 1 art. 104 ukazu, nie mieli ani tych atrybucji, ani tego stanowiska, w jakie uposażeni są dzisiejsi pełnomocnicy. Byli to raczej prywatni obrońcy, działający w zakresie i na podstawie upoważnienia, udzielonego przez zebranie gminne, zazwyczaj w sprawach, opierających się o wyższe instytucje sądowe lub administracyjne. W ukazie w tekście rosyjskim plenipotenci ci nazwani nawet byli „powierzonymi dla choźdjenja po diełam“, które to wyrażenie równoważne jest ze słowem „chodataj“, używanym dla tego rodzaju umocowanych osób w Cesarstwie. Polski tekst w art. 16 używa słowa „pełnomocnik“, w art. zaś 104 jest mowa wprost o „plenipotentach“.

Ukaz z roku 1864 obowiązki dzisiejszych pełnomocników powierzył innej zupełnie kategorii osób urzędowych, mianowicie ławnikom sądów gminnych, które miały być zaprowadzone na zasadzie ustawy z dnia 24 maja 1860. Ławnicy ci mieli wogóle podwójny charakter: urzędników sądowych i administracyjnych. Gdy nastąpiła reforma sądowa z 1876 r., przepisy o dawnych ławnikach obowiązywać przestały, ławnicy zaś nowych sądów, jak wiadomo, wyłącznie do czynności sądowych są powołani. Z tego powodu koniecznem się okazało powierzenie obowiązków dawnych ławników w zakresie administracyjnym—inny organom. Organny te utworzone zostały na mocy najwyższej zatwierdzonego postanowienia Komitetu do spraw Królestwa Polskiego, z d. 22 grudnia 1879 r., pod nazwą pełnomocników gminnych.

Podczas gdy ławnicy podług ustawy o sądach gminnych obowiązkowo mieli być wybierani i wskutek tego czynności, ciążące na nich w zakresie administracyjnym, miały zapewnionych wykonawców, prawo z r. 1878 pozostawiało wybór pełnomocników uznaniu zebrania gminnego; gmina może dokonać, lecz może i zaniechać wyboru. Zauważyć należy, że takie postawienie kwestji nie daje się uzasadnić z punktu widzenia prawodawczego. Prawo bowiem nie powinno uświęcać dowolności w wykonywaniu urzędów pu-

blicznych, które uważa za pożyteczne, tem więcej, jeżeli urzędy te powołane są do objęcia czynności, poprzednio przez prawo unormowanych.

Pełnomocnicy wybierani są na rok jeden w liczbie dwóch. Wobec czego raz do roku na zebraniu gminnem powinna być z urzędu poruszana kwestja, czy gmina życzy sobie obrać pełnomocników, czy nie. Postawienie sprawy tej na porządku dziennym należy przedewszystkiem do wójta, jako przewodniczącego na zebraniu. Wybór zapada na ogólnej zasadzie większości głosów; w razie równego podziału głosów przeważa zdanie strony, po której stoi wójt.

Pełnomocnicy mogą być obierani z pośród osób, posiadających w gminie własność nieruchomą, niezależnie od jej przestrzeni; w ten sposób pełnomocnikiem może być osoba, nienależąca nawet do zebrania gminnego, to ostatnie bowiem składa się z właścicieli niemniej jak trzech morgów gruntu. Nie mogą być pełnomocnikami, podobnie jak nie mogą pełnić żadnych wogóle urzędów w gminie z wyboru: niechrześcijaństwo, osoby niemające 25 lat wieku, osoby, pozostające pod opieką lub pod kuratelą, osoby, które nie przemieszkały stale w gminie przynajmniej lat trzech, osoby, skazane na kary, pociągające za sobą pozbawienie prawa piastowania urzędów publicznych wogóle lub pozostające jeszcze pod śledztwem albo dozorem policyjnym.

Wójt i sołtys, wybrani przez gminę i wieś, mogą, jak wiadomo, nie być zaakceptowani przez naczelnika powiatu; przeciwnie, pełnomocnicy nie potrzebują żadnego zatwierdzenia ze strony władzy administracyjnej i bezpośrednio po wyborze rozpoczynają urzędowanie.

Pełnomocnik sam zrzec się może obowiązków w tych wszystkich wypadkach, w których mogą uczynić to wogóle wszystkie osoby, przez wybór gminy na urzędy powołane; mianowicie: jeżeli ma 60 lat wieku, jeżeli pełnił już w czasie jednej kadencji obowiązki pełnomocnika, jeżeli jest ciężko chory, i jeżeli z racji zatrudnienia swego i interesów nie może stale przebywać w gminie. Pełnomocnicy, jak i wszystkie osoby urzędujące z wyborów, wolni są osobiście przez czas pełnienia obowiązków od wszelkich powinności w naturze, które za nich wykonywać powinni mieszkańcy gminy. Mają też prawo do noszenia znaków swego urzędu, formy których ustawa wszakże nie określa.

Pełnomocnicy na równi z wójtami, sołtysami i pisarzami podlegają władzy naczelnika powiatu, który za drobne

przewinienia w zakresie urzędowania ma prawo dawać im napomnienia, oraz karać grzywną do 5 rb. lub aresztem do 7 dni. O karach, wymierzanych przez siebie, naczelnik powiatu co trzy miesiące zawiadamiać powinien gubernatora. Pełnomocnicy, na których w ten sposób kara wymierzona będzie, mają prawo skargi w ciągu dni 7 do gubernatora. Prawo nie powiada, w jakiej drodze pełnomocnik może być usunięty od urzędowania. Stąd wnosić należy, że do upływu rocznej kadencji pełnomocnicy są niewzruszalni, t. j. mogą być usunięci jedynie w razie spełnienia przestępstwa natury ogólnej, lub na skutek wyroku sądowego, uznającego winę ich w zakresie służbowym za dowiedzioną i zapadłego po uprzedniej decyzji kwalifikacyjnej rządu gubernialnego. Właściwym w tym razie sądem będzie sąd okręgowy i izba sądowa, wszystkie bowiem sprawy o przestępstwa służbowe osób, należących do zarządu gminnego, podlegają kompetencji sądów ogólnych.

Zakres obowiązków i czynności pełnomocników podług ustawy jest bardzo obszerny i rozpada się na dwa główne działy: kontrolę wpływów pieniężnych i wszelkiej rachunkowości gminy, oraz pomoc wójtowi w sprawach natury gospodarczej. Szczegółowe wyliczenie czynności, w ustawie miało na celu poddać czujnej opiece pełnomocników wszystkie niemal sprawy gminne, powierzyć im dozór nad biegiem całego zarządu i samorządu gminy. Niema właściwie kwestji, zatracającej mniej lub więcej doraźnie ustroju administracji gminnej, w której pełnomocnik nie mógłby wziąć udziału: prawie w każdej materji ustawa powołuje go do głosu, do czynnej pomocy i kładzie na wójta obowiązek naradzania się z nim.

Przedewszystkiem tedy pełnomocnicy wspólnie z wójtem i sołtysami winni dokonywać podziału pomiędzy mieszkańcami gminy podatków i ciężarów gminnych oraz skarbowych w tym razie, jeżeli zebranie gminne samo, mimo dwukrotnego wezwania ze strony wójta, podziału tego nie dokona. Podział w ten sposób sporządzony ulega wykonaniu, o czem wójt zawiadamiać powinien naczelnika powiatu. Odpowiedzialność za prawidłowość podziału obciąża wspólnie wójta, sołtysów i pełnomocników; charakteru tej odpowiedzialności ustawa bliżej nie określa; zdaje się więc, że nie majątkowo za zrzadzone straty, lecz tylko administracyjnie lub karnie za niedbalstwo lub złą wolę pełnomocnicy odpowiadać mogą. Co do istoty podziału, to polegać on powinien na ustaleniu, jakie podatki się należą, wiele morgów

w gminie do opłaty podatków i ciężarów pociągnąć wypada i jaka z tej racji na każdy opodatkowany mórg do uiszczenia kwota przypada.

Nowy dobrowolny podatek na daną wewnętrzną potrzebę gminy, np. na budowę domu dla zarządu gminnego lub dla szkoły, albo na powiększenie uposażeń urzędu gminnego, bez zebrania gminnego z decyzji jedynie wójta, sołtysów i pełnomocników nie powinien być ustanawiany i dzielony między opodatkowanych. Podobnież każdy nowy podatek na cel postrony, nie oparty na wyraźnym przepisie prawa, tylko przez zebranie gminne może być uchwalony. Rola pełnomocników polega więc w tym względzie na kontroli rachunkowej i na ocenie, jakie pozycje podatkowe do repartycji wciągnięte być mogą.

Łącznie z tą sprawą pełnomocnicy obowiązani są sprawdzać wpływy kasy gminnej i zaświadczać księgi dochodów i wydatków, podług przepisów przez Komitet urządzający wydanych. Chociaż rachunkowość gminna nie jest nadto skomplikowana i do kontroli jej znajomość buchalterji konieczną nie jest, jednak dokładne obeznanie się z systemem rachunkowości i sprawdzanie oddzielnych pozycji wymaga i pewnej rutyny w przeglądaniu ksiąg i znajomości gospodarki gminnej i biegłego orjentowania się w dowodach usprawiedliwiających i wreszcie wprost łatwości w liczeniu.

Trzecią kategorię obowiązków pełnomocników, najobszerniejszą, stanowi współdziałanie, naradzanie się, dopomaganie wójtowi w interesach gospodarczych gminy i w sprawach ogólnego pożytku. Współ z wójtem i sołtysami pełnomocnicy stanowią niejako radę do spraw gminnych. Ustawa wprowadzić nie orzeka, czy narady te mają decydujący charakter, czy wójt obowiązany jest postąpić podług większości głosów, dając jednak pełnomocnikowi głos doradczy, ustawa otwiera mu drogę do szerokiego osobistego wpływu, dzięki któremu, przy odpowiednim poziomie inteligencji i znajomości rzeczy, wiele zdziałać może. Jeżeli w każdym ciele zbiorowem przeważają zawsze jednostki, obdarzone wyższą umysłowością, lub zajmujące wybitniejsze stanowisko społeczne, lub wogóle czemkolwiek wyróżniające się od otoczenia, to tem więcej wśród niewielkiego kółka ludzi, pozostających w codziennych ze sobą stosunkach i zamieszkałych w sąsiedztwie, silniejsze oddziaływanie umysłowe i moralne pozyskać łatwo może ten, kto posiada po temu największe, dane osobiste. Stąd rzeczą zebrania gminnego jest, obrać na pełnomocnika osobistość, która potrafiłaby wyrobić sobie stanowisko wpływowe i mieć posłuch zarówno u wójta jak i soł-

tysów. I sądzić można, że jeżeli ustawa nie mówi wogóle o tem, jakie znaczenie ma głos pełnomocników w naradach gminnych, to właśnie dlatego, że radaby widzieć w ich osobie pierwiastek siły moralnej, działający nie na mocy paragrafów prawa pisanego, lecz drogą osobistego oddziaływania.

Ustawa dwukrotnie wspomina o zakresie spraw, w przedmiocie których wójt naradzać się powinien z pełnomocnikami: raz mówiąc o obowiązkach wójtów i powtóre, mówiąc o obowiązkach pełnomocników. Mimo to powtarzające się wyszczególnienie spraw tych w obu omówieniach jest niedokładne. I tu i tam ustawa powołuje się wogóle na art. 216, zawierający wyliczenie obowiązków wójta, w pierwszym jednak razie powołuje się wogóle na wszystkie atrybucje w art. 216 wzmiankowane, wyróżniając szczególnie niektóre, odnoszące się do gospodarki gminnej i ogólnego dobrobytu, w drugim zaś razie, powołuje się tylko na te atrybucje, w art. 216 wspomniane, które dotyczą spraw ustawy gospodarczej i dobrobytu mieszkańców. Ponieważ zaś w art. 216 przytoczone są obowiązki wójta w zakresie policyjnym i administracyjnym gospodarczym, przeto istnieje może pewna wątpliwość co do oddzielnych punktów, z zakresu zwłaszcza władzy policyjnej, czy i o ile odnoszą się również do obowiązków pełnomocników.

Opierając się na tym niedokładnym tekście prawa, przyjść trzeba do wniosku, że wszystkie te czynności, które w jakikolwiek sposób poruszają kwestje zarządu i interesów majątkowych gminy, oraz dobrobytu i porządku społecznego, zarówno z działu obowiązków wójta policyjnych, jak i administracyjno-gospodarczych, winny być załatwiane przez wójta przy udziale i za poradą pełnomocników. Komentując z tego punktu widzenia po kolei oddzielne punkty artykułu 216, przeprowadzić można następujące rozróżnienia:

I. W sprawach policyjnych.

1) Ogłaszanie praw i rozporządzeń władzy stanowi wyłącznie obowiązek wójta, do którego pełnomocnicy mięsząc się nie mają tytułu. Natomiast zapobieganie, by w gminie nie szerzono fałszywych wieści, zakłócających spokój i wprowadzających w błąd mieszkańców gminy, oraz prostowanie w tych razach opinii publicznej stanowi również obowiązek pełnomocników, -- np. w razie podstępnej działalności ajen-

tów emigracyjnych, bałamucących ludność obietnicami złotych gór za morzem, pełnomocnicy mają szerokie pole do przeciwdziałania zgubnej agitacji.

2) Opieka nad porządkiem w miejscach publicznych, bezpieczeństwem osób i ich mienia, oraz przedsięwzięcie tymczasowych środków ochronnych do chwili przybycia policji powiatowej, jako odnoszące się do władzy czysto wykonawczej, ciąży przeważnie na wójcie. Rola pełnomocników nie może być w tym kierunku doniosła, czynności bowiem tego rodzaju wymagają z jednej strony, doraźnego zarządzenia, bez uciekania się do cudzej rady lub pomocy, z drugiej zaś — jednoosobowości władzy.

3) Ukrócenie żebractwa po wsiach wymaga niewątpliwie pomocy i pełnomocników. Nie jest to wprawdzie zadanie łatwe. Przy zupełnym braku w gminach przytułków lub domów zarobkowych, wywalczenie sposobu utrzymania dla starców i kalek jest prawie niemożliwe. Idzie tu raczej o to, by nie pozwalać żebrać ludziom, mogącym jeszcze pracować. Zatrzymywanie zaś zbiegów i dezertarów, oraz odstawianie ich do powiatu — wójta tylko dotychczas może.

4) Podobnież wójt tylko w zasadzie ma obowiązek zaświadczania odnośnych organów o przestępstwach, dokonanych w gminie, i osobach, które bez pozwolenia władzy porzuciły stałe miejsce pobytu. W razie chyba karygodnego milczenia ze strony wójta, pełnomocnik może wziąć ciężar ten na siebie, chociaż przypuszczać trzeba, że w większości wypadków wyręczony będzie przez sołtysów lub strażników.

5) Pożyteczną działalność pełnomocnicy rozwinąć mogą w przedsięwzięciu środków przeciwko pożarom, zarazom bydła i tym podobnym nieszczęściom. Ze strony władz gminnych konieczną jest czujność, by z ogniem ostrożnie się obchodzono, a zwłaszcza nie palono tytoniu w bliskości stodół; następnie, potrzebną jest ciągła kontrola narzędzi ogniowych, których stan prawie wszędzie jest opłakany, dalej, do życzenia jest pouczanie nieświadomych o pożytku i warunkach ubezpieczenia ruchomości. Cała ta działalność odpowiada bardzo roli pełnomocników: perswazja z ich strony i przykład skuteczniej wpłynąć może aniżeli dozór ze strony policji. Podobnież zapobieganie zarazom na inwentarz, wymagające oprócz formalnych środków, rozpowszechniania wiadomości o objawach choroby i sposobów jej tłumienia, wkracza również bezpośrednio w sferę działalności pełnomocników.

6) Do teŝże sfery zaliczyć trzeba pomoc w zarządzeniu akcji ratunkowej przy poŝarze, w razie wylewu rzek, epidemji i t. p. katastrofach.

7) Wszystkie czynności powierzone miejscowej policji przez przepisy procedury karnej, ciążą wyłącznie na wójcie.

8) i 9) Również wykonywanie wyroków sądowych, tak karnych jak i cywilnych, dozór nad przedmiotami zajętemi w drodze egzekucji i t. p. obowiązki, nie ulegają kompetencji pełnomocników.

II. W sprawach gospodarczo-administracyjnych.

1) Zwoływać zebranie gminne, oraz przewodniczyć na niem, mocen jest tylko wójt, lub w razie jego nieobecności zastępca wójta, t. j. jeden z sołtysów podług wyboru naczelnika powiatu.

Pełnomocnicy mogą jedynie wpłynąć na wójta, by w danej kwestji zwołał zebranie. Wobec jednak obowiązkowych czterech dorocznych terminów zebrań, rzadko kiedy zdarzyć się może istotnie pilna potrzeba do zwołania nadzwyczajnego zebrania.

2) Czy pełnomocnicy mogą sami poddawać daną kwestję na zebraniu pod głosowanie, wątpliwem się wydaje; mogą zaś i powinni wspólnie z wójtem obmyśleć porządek dzienny zebrania i następnie przestrzegać wyczerpania go.

3) Wykonanie postanowień zebrania należy do wójta, lecz pełnomocnicy kontrolę swoją w tym kierunku rozciągać powinni.

4) Dozór nad utrzymaniem dróg, mostów, przepraw i t. p. domaga się niewątpliwie energicznego współdziałania ze strony pełnomocników. Łudzić się wszakże nie można, że przy najlepszych nawet chęciach ze strony wszystkich organów zarządu gminnego, dzisiejszy opłakany stan dróg naszych nie ulegnie radykalnej poprawie, dopóki nie będą powołane napowrót do życia z pośród miejscowych obywateli komitety drogowe, zniesione przez prawo z r. 1870.

5) i 6) Czuwanie, by sołtys i inne urzędowe w gminie osoby należycie pełnili swe obowiązki, jak również by powinności gminne dokładnie były sprawowane, da się podciągnąć pod pojęcie kontroli ogólnej, do jakiej pełnomocnicy są powołani.

7) O udziale pełnomocników przy kwaterowaniu wojsk i dostarczaniu podwód ustawa specjalnie wspomina.

8) O kontroli rachunkowej obrotu funduszków gminnych, jako o bezpośrednim obowiązku pełnomocników, wspominałem wyżej.

9) Opieka nad majątkiem nieruchomym gminy, budowlami i t. d., należy również i do pełnomocników.

10) Wydawanie paszportów stanowi wyłączny obowiązek wójta.

11) Baczenie nad służbą prywatną w gminie, nad robotnikami i nad pełnieniem przez nich obowiązków, przyjętych wobec pracodawców, ciąży poniekąd i na pełnomocnikach. Nie jest to rola łatwa, zwłaszcza wobec niedokładności istniejących przepisów. Osobisty wszakże wpływ i bezstronna ocena wzajemnych nieporozumień, może nie pozostać bez pewnego wpływu dodatniego.

12) Wprowadzony od niedawna monopol wódczany postawił obowiązek czuwania nad szynkowniami, zajazdami i t. d., na odmiennym nieco gruncie. Mianowicie zadaniem władz gminnych, a w ich liczbie i pełnomocników, powinno być współdziałanie z organami kuratorów trzeźwość; dopomaganie im we wszystkich sprawach, wymagających ciągłej czujności i czynnego udziału na miejscu. Interwencja pełnomocników w kontroli miar i wag jest bardzo pożądaną; uchronić ona może ciemnych od niesumienności i wyzysku ze strony wiejskich przekupniów.

13) Wreszcie nader oblitym plonem cieszyć się może działalność pełnomocników na polu szkolnictwa, szpitali i zakładów dobroczynnych gminy. Ustawa, niestety, nawet szersze pole działalności zakreśla, niż stan rzeczy na nią pozwala; z przytoczonych bowiem instytucji tylko szkoły faktycznie istnieją, szpitale zaś, przytułki i inne zakłady dobroczynne, w większości gmin wcale nie istnieją. Jeżeli powołanie tych zakładów do życia jest w większości wypadków dla braku funduszków nieziszczalnym, to usiłowania pełnomocników skierowane być winny ku zaradzeniu temu złemu, jakie brak tych zakładów powoduje, idzie więc tu o umieszczanie chorych w szpitalach powiatowych, o wyszukiwanie przytułków dla starców i kalek, o rozciąganie opieki nad opuszczonymi dziećmi i t. d. Co do szkół, działalność w tym kierunku stoi otworem: nietylko urządzenie szkoły, utrzymanie lokalu w porządku, kwestja opału, światła i t. p. lecz i pilnowanie, by dzieci chodziły do szkoły, by nauczyciel przestrzegał godzin lekcji, by nauka odbywała się prawidłowo, wszystkie te czynności dozorujące, podejmowane być mogą i powinny, przez pełnomocników.

Czwartą kategorię praw i obowiązków pełnomocników stanowi udział ich w mianowaniu pisarza gminnego. Podług jasnego i stanowczego rozporządzenia ustawy (art. 246 wydanie „Zb. praw“ z r. 1892) pisarze powinni być albo obierani przez zebrania gminne, albo mianowani za wzajemnem porozumieniem się wójta, sołtysów i pełnomocników. Ten ostatni sposób nominacji obowiązuje wówczas, gdy zebranie gminne dla jakichkolwiek powodów wyboru pisarza nie dokona.

Wybór tej lub innej jednostki na pisarza jest dla spraw gminnych rzeczą wielkiej wagi. Pisarz jest stałym urzędnikiem biurowym gminy, załatwiający wszystkie czynności bieżące, prowadzącym księgi gminne i protokoły uchwał zebrania, mającym ciągłą styczność z interesantami.

Oprócz wartości moralnej koniecznym warunkiem po temu, by pisarz odpowiedział należycie zadaniu, jest łączność jego z innymi osobami, do zarządu gminy należącemu. Łączność ta istnieć może wtedy, gdy pisarz obrany będzie przez gminę lub jej przedstawicieli, t. j. wójta, pełnomocników i sołtysów. Pisarz narzucony z zewnątrz, przestaje być zespolonym z miejscowymi warunkami stałym pracownikiem urzędu gminnego, jakim go widzieć pragnął prawodawca.

Udział inteligentnych pełnomocników w wyborze pisarza gminnego byłby może w stanie zapobiedz powierzaniu tej funkcji w niegodne ręce: przy wytrwałem poszukiwaniu i rozejrzeniu się w kandydatach, możnaby prawdopodobnie wynaleźć w każdym wypadku jednostkę, która posiadałaby odpowiednie kwalifikacje, w następstwie pracując pod stałą kontrolą ze strony tychże pełnomocników, potrafiłaby znaleźć się na wysokości zadania.

Przewidziany przez ustawę zakres obowiązków, konieczność pozyskania wpływów moralnych, wyrobienie sobie niezależności i stanowiska, wszystko to zdaje się niezbędnie wymagać, by pełnomocnik był człowiekiem mającym szersze wykształcenie gruntowną znajomość stosunków i pozycję społeczną. Zestawiwszy dane te z warunkami, wskazanemi przez prawo, mianowicie posiadaniem ziemi i zamieszkiwaniem w gminie, przyjść trzeba do wniosku, że trudną rolę pełnomocników najkorzystniejszą dla sprawy publicznej pełnić może i powinna nasza wiejska inteligencja, składająca się przeważnie z posiadaczy większej własności ziemskiej.

Po tem teoretycznem wyjaśnieniu ustawy, zobaczymy teraz jak sprawa cała przedstawia się w praktyce.

Oświecenie faktyczne kwestji wymagałoby może danych dla całego Królestwa Polskiego. Brak jednak wszelkich oficjalnych materiałow zmusza do zadowolenia się prywatnemi wiadomościami, — które oczywiście nie mogą być wszechstronne. Zebrane przezemnie informacje odnoszą się też tylko do niektórych miejscowości, przeważnie bowiem wszystkie gminy w danym powiecie jednakowych trzymają się zwyczajów. Przedewszystkiem istnieją okolice, gdzie pełnomocnicy wcale obierani nie są. Tak się dzieje np. w powiatach węgrowskim i garwolińskim gub. siedleckiej. „Na wyborach u nas nie ma nawet mowy o kandydatach na pełnomocników“ — zapewniał mnie jeden z obywateli pow. węgrowskiego. Ktoś inny z pow. garwolińskiego utrzymuje: „że o ile tutaj pamiętają, ani razu ta instytucja w naszej i sąsiednich gminach nie była do życia powołana.

Co do sfer, z jakich pełnomocnicy są obierani, posiadamy dane co do następujących okolic. W powiatach: łowickim, grójeckim i sochaczewskim (gub. warszawskiej) łódzkim i brzezińskim (gub. piotrkowskiej), łączyckim (gub. kaliskiej) i we wszystkich powiatach gub. łomżyńskiej za wyjątkiem łomżyńskiego i mazowieckiego obierani są przeważnie włościanie; w pow. łomżyńskim i mazowieckim zaś przeważnie drobna szlachta, zbliżona wreszcie pod względem stopnia wykształcenia do włościan.

Wybór inteligencji wiejskiej większych właścicieli ziemskich współrzednie z włościanami zdarza się w powiatach: gostyńskim, błońskim, wrocławskim gub. warszawskiej, rawskim, piotrkowskim, łaskim gub. piotrkowskiej, kaliskim gub. kaliskiej, krasnostawskim gub. lubelskiej.

Wogóle, jaki żywioł przemaga, włościanie czy obywatele, powiedzieć nie można dla braku wyczerpujących danych.

O działalności włościan, jako pełnomocników, zewsząd dochodzą wieści, dowodzące, że funkcje ich ograniczają się na podpisywaniu rozkładu podatków i ciężarów i sprawozdań kasowych. Podpisywanie to jest czysto formalnej natury i nie łączy się bynajmniej z istotną kontrolą funduszków. „Dzisiaj pełnomocnik chłop — wyraził się pewien mieszkaniec powiatu grójeckiego — podpisuje krzyżykami wszystko, co mu dadzą do podpisania; znosi on swój wybór tak jak sołtys, który nieraz broni się wszystkimi sposobami (nawet

przyznaniem się do kary za złodziejstwo), aby sołtysiem nie być.“

„Chłopi pełnomocnicy -- słyszymy głos z gub. łomżyńskiej — podpisują bezkrytycznie wszystko, co im wójt każe; tyczy się to przeważnie rachunków gminnych, gdyż do innych czynności nie są dopuszczeni lub są figurantami.“

„Atrybucje pełnomocników w zakresie spraw gminnych — powiada głos z powiatu łaskiego — są rzeczywiście bardzo ważne i szerokie, lecz chłopi, niestety, rzadko kiedy z nich korzystają, bo albo o nich nie wiedzą, albo chociaż wiedzą, boją się ich używać, by nie narażać się władzy gminnej i niższym organom administracyjnym.“

O działalności obywateli ziemskich, jako pełnomocników, opinie również nie brzmią optymistycznie. I z ich strony przemaga formalne traktowanie obowiązków, brak chęci do czynu i samodzielności. „Z atrybucji pełnomocników — daje się słyszeć zdanie z powiatu łaskiego — obywatele nie korzystają, bo mieszkają w pewnej odległości od siedziska zarządu gminnego i mając wiele zajęć z własnym gospodarstwem, nie mogą skutecznie zajmować się gospodarstwem gminnym; najczęściej zadawalniają się pobieżnym przejrzeniem ksiąg, przedstawionych przez pisarza i podpisaniem podanych przez niego rachunków. Położenie jest lepsze, jeżeli na pełnomocnika wybrany jest właściciel majątku, w którym się mieści kancelarja gminna.“

„Piastowałem przez kilka lat godność pełnomocnika, — są słowa ziemianina z pow. piotrkowskiego — a to co ja i mój kolega, również obywatel, przez ten czas zrobiliśmy, da się wyrazić jednym słowem: nic. Raz jedyny byliśmy delegowani przez gminę w kwestji reperacji budynków szkolnych, po za tem sprawdzaliśmy rachunki. Sprawdzanie to ograniczało się na podpisaniu co miesiąc odpowiednich wzorów. O ile mi wiadomo, na tem ograniczają działalność swą wszyscy pełnomocnicy gminni, wybierani i z włościan i z właścicieli większych posiadłości. Zdarzają się sporadyczne wypadki, że pełnomocnik weźmie się do pracy gorąco, ale i tak nic nie robi wobec braku pieniędzy i współdziałania ze strony naczelników powiatu.“

„Działalność panów pełnomocników — powiada węzłowo informator z powiatu kolskiego — jest bardzo słabą, przeważnie sprowadza się do zera.“

„Znam wypadek — cytują mi z pow. krasnostawskiego — że obywatel wybrany był do dozorowania budującej się szkoły i chociaż obywatel mieszka w tej wsi o kilkadziesię-

siąt, może o dwieście kroków od szkoły, jednakże ani razu nie był przy budowie, czem zachęcony przedsiębiorca tak postawił murowaną szkołę, że w rok po postawieniu, trzeba było wzmacniać mury żelaznymi ankrami.

Spotkaliśmy się z głosami, tłumaczącymi przyczyny tej obojętności ziemian naszych do spraw gminnych.

„Przyczyną bodaj czy nie najważniejszą — twierdzi jeden głos — jest zły stan ekonomiczny rolnictwa od lat paru, a stąd niemożność ze strony inteligencji wiejskiej pracowania za darmo. Toż samo zjawisko można zauważyć np. we władzach Tow. Kr. Z. i to samo powtórzy się niezadługo i w tow. rolniczych. Coraz więcej daje się uczuwać brak ludzi, którzyby bądź ze szczerzej chęci, bądź powodowani ambicją, przyjmowali na siebie obowiązki publiczne bez wynagrodzenia.

Obywatel, gdyby chciał tak pojmować swe obowiązki, jak są spisane w „Zbiorze praw“, — powiada ktoś inny — naraziłby się na wielkie nieprzyjemności i swego by nie dopiął, bo pisarz stanie mu na przeszkodzie, bo narazić się może na denuncjację do powiatu, śledztwo i protokoły.“

„Dążności jednostek uczciwych, rozumnych i energicznych — powiada w tymże duchu ktoś inny — stają na przeszkodzie interes pisarza gminnego, który, wobec bardzo niskiego wynagrodzenia za pracę, dopuszczać się musi nadużyć, celem powiększenia dochodu, a zatem kontroli nie znosi; utrudnia więc kontrolę i inicjatywę pełnomocnikom, a zbyt energicznych i w stosunku zbyt do siebie ciekawych na następnych wyborach usuwa. Można by zmienić pisarza, prawda, ale czy następca będzie lepszy, wobec tych samych materialnych warunków? Jest to błędne koło, w którym się będziemy obracać, dopóki na posady pisarzy nie będą kandydować inni ludzie, zachęceni lepszym uposażeniem. Pisarz bierze około 180 rb. pensji, wydaje zaś około 1,200 do 1,500 rb., które z tejże gminy wybiera. Prócz tego składa niekiedy w kasie oszczędności gminnej sumki, wynoszące około 1,000 rb., w ciągu lat 2 lub 3. Gmina podnosząc pensję pisarzowi, w gruncie rzeczy nicby nie traciła, owszem zyskałaby na lepszej administracji, kierowanej przez uczciwych ludzi.“

„Podług ustawy, — czytamy inną uwagę — wójt ma być inicjatorem i wykonawcą, pełnomocnicy zaś jego pomocnikami w interesach gospodarczych gminy. Wójt, zwykle człowiek bez wykształcenia, najczęściej drobny właściciel, myślący o sposobach korzystania materialnego z urzędu

i przytem wraz z pisarzem (zawsze główną osobą w zarządzie z racji piśmienności) zavalony najróżnorodniejszymi obowiązkami policyjno-wojskowo-sądowymi, nie ma czasu, ani odpowiedniego przygotowania do myślenia o sprawach gminy, wychodzących po za zakres tych obowiązków. To też wszelkie sprawy, mające na celu poprawienie stosunków materialnych, czy moralnych w gminie, spoczywają sobie szczęśliwie w stanie pierwotnej ich nienaruszalności. Do tego stanu rzeczy ciemny ogół zebrań tak przywykł, że dzisiaj do przeprowadzenia z nim czegokolwiek bądź trzeba podobno nietylko dobrej woli, ale i wyjątkowej energii, wytrwałości i sporej agitatorskiej zdolności.

„W pojęciu przeciętnego wójta gminy, względnie pisarza—słyszemy skądinąd—pełnomocnik chcący rzetelnie swoje wypełnić obowiązki, już przez to samo staje się jego nieprzyjacielem. Jeżeli ten pełnomocnik będzie miał poparcie ze strony naczelnika powiatu, to nienawisć ta przycichnie, zamknie się do lepszych [czasów w sobie; w przeciwnym razie zaczną się drobne szykany o paszporty służby przetrzymane lub w terminie nie złożone w kancelarji wójta, o straż nocną, o brak lub zły stan drabiny do komina etc.; a że takich drobiazków jest w naszym wiejskiem życiu dosyć, suma ich stanie się biednemu pomocnikowi tak dokuźliwą, że kontrolę ograniczy do minimum, i w końcu albo się poda o uwolnienie, albo będzie (co gorzej) biernem narzędziem.“

Inną jeszcze przyczynę obojętności pełnomocników upatruje jeden z opiniodawców w następującej nienormalności natury prawnej. „Pełnomocnicy przy rzekomo szerokich prawach nie są wyjęci z pod nieznaney zresztą na całym świecie dyskrecjonalnej władzy wójta karania dwudniowym aresztem każdego mieszkańca gminy.“ Stąd obawa przed wójtem, respective inspirującym jego czynności pisarzem, jest zrozumiałą.

Opinie powyższe, które przytaczam zamiast własnych obserwacji, dowodzą, że jeżeli nie wszędzie, to przynajmniej w wielu okolicach pełnomocnicy nie wyzyskują należycie tych praw, jakie ustawa zakreśliła i że powierzone im czynności są przez nich zupełnie zaniedbane lub wykonywane powierzchownie. Usprawiedliwienie tego stanu rzeczy znaleźć można dla włościan pełnomocników, którzy nie są istotnie w stanie dla braku środków i wykształcenia sprostać zadaniu. Natomiast argumenty, wyjaśniające obojętność dla sprawy inteligencji wiejskiej, nie zdają się być uzasadnione.

Co się tyczy motywu, że obywatele ziemscy wobec trudnych warunków ekonomicznych, nie są w możności pracować darmo dla dobra gminy, argument ten upada, właściwie bowiem pełnomocnicy z prawa wolni są od powinności gminnych w naturze i tą drogą otrzymują pewną, niekiedy znaczną bonifikację za swe usługi. Ulga w powinnościach bywa tak doniosłą, że w niektórych okolicach włościanie nie chcą nawet wybierać posiadaczy większych majątków dlatego, by nie obciążać siebie większemi ciężarami. Bywają nawet podobno wypadki, że pełnomocnicy zrzekają się niektórych przysługujących im ulg. Wreszcie przesilenie ekonomiczne nie powinno powstrzymywać nikogo od pełnienia obowiązków, które nie pociągają żadnych prawie wydatków, nie wymagają ani wiele czasu, ani żadnych specjalnych przygotowań, a które należycie spełnione, każdemu mieszkańcowi gminy materialne korzyści przynieść mogą — korzyści szczególnie wartościowe w chwili kryzysów ekonomicznych.

Trudności, zachodzące ze strony pisarzy, same znikną od chwili, gdy pisarze będą mianowani za wzajemnem porozumieniem wójta, sołtysów i pełnomocników. Zdaje się, że wówczas i stosunek z wójtem nie będzie mógł nastęrczać żadnych obaw, bo bez złego inspiratora wójt-włościanin i do wszelkiej umowy i do zjednania go sobie łatwiejszy będzie. Dyskrecjonalna władza wójta w praktyce obecnej nie sięga ludzi inteligentniejszych; nie słycać bynajmniej, by gdziekolwiekby obywatel ziemski był przez wójta na areszt skazany; kara ta zwykle wymierzana bywa na włościan, uchylających się od pełnienia powinności gminnych, stróży nocnych i t. d. Trudności, jakie przedstawia oddziaływanie na apatyczne, niekiedy nieufne, zawsze prawie ciemne popólstwo gminne, niewątpliwie istnieją; trudności tych niepodobna zwalczyć odrazu, można i należy usuwać je po trochu, pracą systematyczną, stałem zainteresowaniem się sprawami ogółu, trzeźwością sądu, łatwością w obcowaniu. Zdarzyło mi się nieraz słyszeć, że chłopi chętnie korzystają z rad, cenią i szanują tych obywateli, którzy stale bywają na zebraniach gminnych, są czynnymi ich członkami. Mnieć też można, że odegranie czynnej roli na szeregu zebrań gminnych łatwiej od innych zabiegów otworzyć może danej osobie drogę do urzędu pełnomocnika i ułatwić w przyszłości działalność jej na tem polu.

Za rządów Aleksandra Wielopolskiego przygotowany został między innymi projektami prawodawczymi i projekt ustawy gminnej, ostatecznie wykończony w początku 1863 r. „W programie margrabiego — powiada prof. Spasowicz — zarząd gminy stał na pierwszym planie i był głównem ogniwem obszernej zasadniczo obmyślanej organizacji autonomicznej Królestwa Polskiego.“

W projekcie tym zarząd gminy inaczej był zorganizowany, aniżeli w opracowanej później przez komitet zarządzający dzisiejszej ustawie z r. 1864. Do zebrania gminnego należeć mieli nie tylko posiadacze gruntu, lecz i inni stali pełnoletni mieszkańcy gminy, jako to: lokatorowie płacący za wynajem mieszkania minimum 15 rubli rocznie, osoby otrzymujące z kapitału rocznie minimum 90 rubli, kupcy, przemysłowcy, właściciele fabryk, rządcy, nauczyciele i t. p.

Zadaniem zebrania miały być tylko wybory na urzędy gminne: mianowicie trzech kandydatów na wójta, sołtysów i członków rady gminnej. Wszystkie zaś sprawy gospodarstwa gminnego należeć miały do rady gminnej, składającej się z członków z urzędu i członków z wyboru. Na członków z urzędu proponowano wójta, sołtysów, proboszcza miejscowego i rektora szkoln. go. Członków z wyboru miało być 6 w gminach, liczących do 2,000 ludności i 12 w gminach więcej zaludnionych. Rada powinna była zgromadzać się co kwartał na posiedzenia zwyczajne, trwające nie dłużej niż dni trzy. Główne czynności rady są: ułożenie budżetu gminy czyli wykazu dochodów i wydatków, zarząd i określenie sposobu korzystania z własności gminnej, rewizja kasy, zarządzanej przez jednego z radnych, starania o utrzymanie kościołów, szpitali i szkół, wreszcie wyrażenie zdań co do reform i ulepszeń w gminie wobec władz w sprawach jej potrzeb i interesów.

Chociaż wprowadzenie rad gminnych nie byłoby dla kraju nowością, bowiem były one znane u nas jeszcze za czasów księstwa warszawskiego, jednak komitet zarządzający, odrzuciwszy radę gminną, powierzył zarząd spraw zebraniu gminnemu, zbierającemu się również 4 razy do roku, ale przedstawiającemu chaotyczne zbiegowisko, niezdolne do pozytywnego działania, coś nakształt dawnych zebrań ludowych, hałaśliwych, lecz w postanowieniach chwiejnych. „Zamiast na podobieństwo wyższych organizmów — wyraża się Łapicki — wszystkie wyższe funkcje życiowe mieć skoncentrowane w mózgu, gmina nasza zlna została w niekształtny konglomerat posiadaczy gruntowych na podobieństwo owych comitiów na forum lub owych wieców słowiańskich, które

oprócz gwaru i wywijania bułatem, nigdy żadnych organizacyjnych nie stworzyły czynów."

Zebranie gminne nie jest w stanie ani dokonać rozkładu podatków, ani kontrolować obrotu funduszków, ani prawidłowo głosować, ani naradzać się nad poszczególnymi kwestjami; dlatego w obecnym stanie rzeczy wszystkie niemal sprawy gminne de facto załatwia wójt, a właściwie pisarz.

Poruszam projekt Wielopolskiego i zestawiam go z istniejącą organizacją dlatego, że brak u nas rad gminnych może w części zastąpić instytucja pełnomocników; pod warunkiem oczywiście, że urząd ten przejdzie w ręce ludzi inteligentnych i wpływowych. Wprawdzie władza pełnomocników nie jest dość ściśle unormowana, inicjatywa ich niema jawnej sankcji, stanowisko urzędowe nie dość ugruntowane, jednak, jeżeli skąd, to w obecnej chwili tylko z ich strony oczekiwać można sprowadzenia do zarządu gminnego tyle pożądanego pierwiastku rozważli, ładu i samodzielności.

Stefan Holewiński.

Odwieczny przemysł.

Było to przed 4547 laty.... Prześliczny poranek wiosny różowił i złocił świat, na kobiercu cudownej zieleni, roztaczały urok barw młodziutkie kwiaty — a z rośłych drzew, okrytych gąszczem liści, ulatywała słodka rosa nocy.

Rozległy czarujący ogród cesarza Chin szumiał porannym hymnem przyrody ku niebu...

Rozwarły się wrota olśniewającego pałacu „syna nieba“ i ukazał się w nich władca Hoang-Ti z uroczą swą córką Lonit-Seu.

Zdążali na ranną przechadzkę!...

Tak rozpoczyna się opowieść prawdziwa o rzeczywistym zdarzeniu, które dało wielkiemu państwu słońca przemysł jedwabniczy, a skrzętnej ludności błogą, dobroczynną pracę.

Drożyna, prowadząca nad brzeg rzeczutki, wiodła wśród morw i nagle królowna przystanęła — gałązka morwy zwróciła jej uwagę. Zatrzymał się i cesarz, dostojna para wpatrywała się z niezmiernem zaciekawieniem, jak maleńkie ciemne gąsieniczki, dopiero co wyszłe z jaj — czołgały się żywo po gałęzi, szukając pożywienia. Królowna uradowała się wielce, cesarz nakazał odciąć gałęź i niebawem złocisty wazon w komnacie córki cesarskiej mieścił nową zabawkę.

Lonit-Seu miała jednak główkę nietylko piękną, ale i rozumną — troskliwie karmiła świeżym liściem swe małe pupilki i zachwycała się ich szybkim wzrostem, spostrzegając ze zdumieniem, jak barwa ich czarna stała się w niedługim czasie mleczno-białą.

I dostojna cesarzowa Te-Ling-Shi interesowała się tą sprawą, aż nagle pewnego dnia ujrzały matka i córka coś niezwykle zdumiewającego. W kąciku, wśród objedzonych gałązek, mieściły się niektóre wielkie już i grube gąsieniczki, na delikatnej siateczce lśniących żółtych niteczek — poruszały niezmiernie gorliwie pyszczkiem, a nadchodzący cesarz poznał bystrym wzrokiem, że niteczki, wysnuwane z pyszczka, owijały się przy pomocy nóżek, dokoła pracowitego zwierzątka. Delikatna siateczka stawała się coraz gęstszą i w końcu skryła zupełnie małe stworzonko.

Od tego czasu władca „niebieskiego państwa“ nie miał spokoju, kilka razy dziennie nie tylko patrzył na pilne prządki, ale rozmyślał nad tem, co dalej nastąpi.

Pewnego dnia zdawało mu się, iż w jednej z tych żółtych omotanek słyszy szelest, nachylił się i ujrzał nowe dziwo: jeden rożek kokonu, jakby naciskany z wewnątrz, pęczniał, rozsuwały się wiotkie niteczki i nagle ukazały się dwie małe, bielutkie nóżki, a za niemi główeczka motylka...

Wybiegło drżące... drobniutkie stworzonko, wyprostowało skrzydełka, zatrzepotał zalękniony biały motylek i frunął.

Niebawem komnata królowej pełną była tych motylków — ku największemu zgorszeniu ochmistrzyni, a radości młodej „przyrodniczki“.

„Władca państwa“ zamyślał się coraz częściej, do tego stopnia, iż ministrowie znacząco pochyłali swe ogolone głowy uwarkoczone, aż do chwili, gdy przedstawili cesarzowi memorjał o wytepieniu gąsienic w ogrodzie cesarskim przy pomocy 200 ludzi. Wówczas zostali uderzeni, jak gromem, słowami cesarza:

— Jesteście głupcy, łby wam poucinam! oczy wasze patrzą, ale nie widzą; na przyszłą wiosnę zebrać mi wszyst-

kie gąsienice do moich komnat i tam hodować troskliwie, a resztę zobaczycie!...

Ministrowie zamilkli—milczenie jest cnotą dyplomatów, a nieraz i największą ich mądrością—stało się tak, jak rozkazał cesarz.

Gdy następnej jesieni kokony oprzędły się całkowicie, władca państwa pojawił się z motowidłem własnego pomysłu, na które można było nawinąć włókienka jedwabne i przemienić je w użyteczną do tkania przędzę.

Cesarz Chin, Hoang-Ti, stał się wynalazcą przemysłu jedwabniczego, cesarzowa utkała pierwszą materję i ustroiła w jedwabną biel młodą mądrą córuchnę... W niedługim czasie tysiące pracowitych rąk miało zajęcie w nowym przemyśle.

„Ułatwić pracę, dać zajęcie tysiącom ludności... tworzyć nowe sposoby dla zastosowania sił roboczych — tak mawiał cesarz chiński — znaczy zwalczać ubóstwo i nędzę, znaczy uszlachetnić naród.“ I tak przed czterdziestu pięciu wiekami władca olbrzymiego kraju *zrozumiał* sztukę, której dziś niejeden Europejczyk nie potrafi się nauczyć...

Sztuką tą jest *podpatrzenie przyrody przy pracy*, śledzenie z zamilowaniem jej cudownych objawów życia, a poznane zastosować ku błogosławieństwu współbliźnich — ku pomnożeniu dobrobytu powszechnego.

A Chińczycy umieli zachować przez długie wieki tajemnicę tkanin jedwabnych — przez 25 wieków przemysł jedwabniczy był w Europie nieznaną. Tkanina jedwabna należała do najwybredniejszego zbytku; cesarz rzymski, Helio-gabal (w r. 218 po Chr.) był pierwszym w Europie, który miał na sobie strój jedwabny.

Wywóz jedwabników z Chin zakazany był pod karą śmierci—około r. 550 dwaj mnisi przemycili w wydrążonych laskach jaja jedwabników do Konstantynopola, dając tem początek do hodowli tychże w Europie i początek do przemysłu jedwabniczego Zachodu.

Tajemnica stała się jawną; jedwabnictwo rozszerzyło się w wieku VIII do Hiszpanji, następnie rozwinęło się we Włoszech, a do Francji wprowadził je król Henryk IV w ro-

ku 1601, stamtąd dostało się do Anglii, wprowadzone przez wypędzonych z Flandrii i Francji protestantów.

Przemysł ten jednak w Anglii nie dorównał wyrobom włoskim, przemycano zapasy jedwabiów, aksamitów, atłasów w takiej ilości, że 7,000 warsztatów angielskich stały beczynne. Trzeba było koniecznie poznać fabryki włoskie i zdecydował się na to niejaki *John Lombe*. Biografia jego znaczy niezwykle przygody — przebierał się za żołnierza, przemieniał się w prałata, żebraka, nawet w starą babę, aby dotrzeć do środowiska ówczesnego przemysłu jedwabniczego w Liworno. Przez protekcję spowiednika właściciela fabryki przyjęto go jako robotnika do warsztatu i tam cichaczem sporządził plany, rysunki, notował wszystko, co było mu potrzebne do użytkowania przy urządzeniu fabryki w Anglii. Po pewnym czasie uciekł z powrotem do ojczyzny, w Londynie jednak zmarł nagle. Tu łączy się z teni niepewna, wielce romantyczna historia. Oto Włosi dowiedzieli się o celu jego pracy i ucieczki i wysłali za nim czarującej piękności *donnę*, która... — jak to łatwo domyślą się czytelnicy — usidła śmiałego przemysłowca.

Amor oślepił *Johna Lombe*, czarująca *donna* otruła go w Londynie czempredzej..

Amor nie służył *Merkuremu!*

Na podstawie przywiezionych planów brat jego Tomasz stworzył w r. 1719 olbrzymią fabrykę „Organzyny“ w Derby; a za te ukradzione pomysły machin, parlament wyznaczył wrzekomemu „wynalazcy“ hojną nagrodę, albowiem „wprowadzenie ich i udoskonalenie przyniosło brytyjskiemu państwu znaczne korzyści i pożytek.“

Dziś hodowla jedwabników, przemysł jedwabniczy, rozszerzył się na Afrykę i na Australję— motowidło ręczne zastąpiły maszyny coraz więcej udoskonalone, a postęp techniki, postęp chemji, postęp technologii, umożliwiające dokładne badania włókien, poznanie ich budowy, wyprowadził na targ sztuczną przędzę jedwabną różnorodnego pochodzenia. Nie zdołała ona jednak zastąpić cennych właściwości prawdziwego jedwabiu — otrzymywanego z jedwabników morwowych.

Ale od cieniutkich niteczek kokonu do materji, do prześlicznych tkanin jedwabnych, adamaszkowych, aksamitnych, atlasowych i t. d., daleka droga; patrząc na suknię jedwabną, wstążkę lub krawat, mało kto pomyśli o tem, przez ile machin, przez ile rozczynów i t. p., przeszły te cieniuchne niteczki, nim wykończone, dla sprzedaży dostały się na stół sklepowy.

Jeden kokon owija się przeciętnie w niteczkę 3,700 metrów długą, cieńszą od niteczki pajęczej... te 3.7 klm. niteczki surowej waży zaledwie 1 gram. Mimo to posiada moc równającą się $\frac{1}{3}$ wytrzymałości drucika żelaznego. Włókno jedwabiu o przekroju jednego milimetra kwadratowego udźwignie 45 klg i jest najelastyczniejszym materiałem tkackim.

W przędzalniach jedwabiu (niewłaściwie tak zwanych, bo jedwabnik sam przędzie włókienka, a w tych fabrykach na motowidłach mechanicznych łączy się je od 3—8 w niteczki) wyrabiają tak zwane *Grège*, prawie nieskręcaną nitkę jedwabną, którą tkać można tylko niezabarwioną w stanie surowym.

Przeważna ilość tkanin jedwabnych, będących dziś w handlu, barwiona jest w kawałku dopiero po utkaniu z surowych nitk.

Z przędzalni dostaje się *Grège* do nitkarni, tam przyrządza się nitki (do odpowiedniego rodzaju tkanin jedwabnych) przez skręcanie wolniejsze lub silniejsze kilku poprzednich na watek lub osnowę. Skręcanie wolniejsze nadaje tkaninie większą pełność i połysk.

Wyrobione motki jedwabiu idą do suszarni dla oznaczenia handlowej wagi, jedwab bowiem jest „hygroskopijny“ (łatwo chłonie wilgoć), tam próbami oznacza się wagę suchego jedwabiu i dodaje potem około 11%, jako zwiększenie ciężaru z powodu wilgoci.

Zakłady takie, oznaczające wagę dla nabywców istnieją w Medjolanie, Zurychu, Turynie, Ljonie, Elbersfeld i Krefeld, wszędzie tam, gdzie ogniskuje się przemysł jedwabniczy.

Surowa nitka jedwabiu nie posiada ani tego pożądanego połysku, ani tej gibkości, która jest cenioną w tkaninie, przechodzi więc teraz dalsze koleje, gotuje się w roztworze odpowiedniego mydła i staje się cieńszą i lżejszą—aby uzyskać znowu wagę, barwi się ją odpowiednimi materiałami. Bardzo często, szczególnie przy nadaniu barwy czarnej, otrzymuje się z 1 klgr. jedwabiu niebarwionego 4 klg. barwionego.

Tkanina z takiego materiału jest ciężką, a panie, kupujące za tanie pieniądze ciężką materję, przypuszczają, że towar jest dobry i trwały — ale się mylą.

Dobra materja jedwabna nie może być tanią; jest cienką, mocną przy naprężeniu i nadzwyczaj trwałą — tanie materje mają często sztucznie barwnikami metalicznymi zwiększoną wagę.

Nim preparowane tak niteczki dostaną się na warsztat tkacki, przejść muszą przez cały szereg mechanicznych operacyj, wyciągania, nawijania i t. p., dalej napięcia na ramy.

Dla gęstych tkanin, np. na suknie, wyciąga się na ramę, dla szerokości 60 centymetrów, 18,000 niteczek, to znaczy na jeden centymetr 300.

Przez kombinacje nitek *wątku* i *osnowy*, sporządza się rozmaite znane gatunki: gładkie i wzorzyste, *atlasy*, *surah*, *tafetty* i t. p. Na zwykłych warsztatach tkać można tylko materje gładkie, dla przepysznych wzorzystych tkanin służy warsztat *Jacquarda*. Na tem polu technika osiągnęła dziś prawie już doskonałość: najrozmaitsze desenie, najcudniejsze wzory dadzą się wykonać z miękkiego, delikatnego błyszczącego jedwabiu, nęcącego oczy i gust twórczyń mody...

Rysownik, *dessinateur*, musi być dziś artystą, a za jedwabne tkaniny ljońskich fabryk, nagrodzono nie tylko fabrykanta, ale i *dessinateur'a* medalami, na ostatniej wystawie paryskiej.

Jak powstaje jednak moda — ta kapryśna pani, która wywiera bardzo znaczny wpływ na dany rodzaj przemysłu, to rzecz bardzo ciekawa — gdyż moda nietylko w tkaninach

jedwabnych może podnieść lub zabić tkacki zakład przemysłowy.

Przypomina mi się łącznie z tym tematem los nieszczęsnego wynalazcy *William Lee*. Wynalazł on był maszynę do robienia pończoch; jak powiadają, wynalazł ją z rozpacz, gdyż urocza dama jego serca nieustannie była zajęta drucikami i pończochą, ilekroć wynurzał jej swe afekta.

Nie chciano jednak nosić maszynowych pończoch, nie były w modzie, sporządził on wówczas na maszynie parę pończoch jedwabnych i ofiarował je królowej Elżbiecie z prośbą o patent na swój wynalazek i poparcie.

Monarchini była wprawdzie zachwycona, ale prócz słów uznania, nic więcej nie zyskał William Lee. Zmarł później w nędzy, a w 40 lat po jego śmierci, 1,200 takich maszyn pracowało w samym Londynie, wzbogacając fabrykantów.

W STERCIE.

J. K. Slejhar.

J. K. Slejhar należy do najwybitniejszych i najulubieńszych pisarzy czeskich, dajemy więc tu jeden z drobniejszych jego utworów aby czytelników zapoznać z znakomitym przedstawicielem literatury pobratymczej.

Zimowy zmrok zapada. Szare niebo wisi nad zasypaną śniegiem okolicą, podobną do smutnej duszy: milczącą i posępną.

Za włościańską zagrodą, która dość daleko od wsi odbiegła, a raczej za stodołą, dalej jeszcze wysuniętą w białe zasy, wygląda z pod pokrywy śniegu sterta wymłóconej słomy; w stodole nie było już miejsca, więc wyrzucono ją tu na pastwę mrozu i wyjących wiatrów.

Późnym wieczorem przywłókł się suchy, strasznie nędzny, okryty w łachmany człowiek, podobny do wahającego, ślaniającego się cienia. Nawet w cieniach szybko zapadającej nocy poznać można błądzącego bez celu, bezdomnego włóczęgę. Można rozróżnić nawet rysy jego twarzy: oblicze to, boleśnie skurczone rozpaczą, zmrożone, wykrzywione trwogą i głodem. Spojrzenie jego nie da się opisać. Dziecko, które człowiek ów ciągnie za rękę, a którego wątłe ciało

niema już siły się poruszać, nadaje swą obecnością jeszcze więcej grozy ponuremu obrazowi.

Pod stertą nocny wędrowiec przystanął. Puścił rączkę dziecka, które usunęło się w śnieg. Obszedł dokoła szeroki stos słomy, kolący żdźbłami i znalazł nareszcie na północnej stronie wązki otwór, prowadzący do wnętrza sterty. Wziął potem dziecko na ręce i wolno posuwał się, rozpychając snopy, aż znikł w swem schronieniu ze słomy.

Cisza i pustka zapanowała znowu dokoła. Ciemno na ziemi, ciemno na niebie; na widnokregu tylko majaczy białawo rozplływający się pas błysków śnieżnych i mroźny oddech otacza wszystko.

Po dziesiątej godzinie zaskrzypiały drzwi zagrody. Wysoki, suchy człowiek wysunął się z izby, wypuścił psa i z pośpiechem powracał do domu, gdyż zimno dotkliwie mu dokuczyło; zatrzasnął drzwi i zamknął zasuwę.

Pies rzucił się w noc ciemną; jak ogromna czarna plama biegał dokoła zagrody, przesadził płot, popędził do stodoły i tu się zatrzymał.

Zwierzę olbrzymie; w ciemności świecą tylko jego niepokojne, groźne ślepia, których zielonawy błysk przypomina dwa błędne ogniki. Nagle przystanął i słucha. Jakgdyby coś stanęło mu w gardle, zawarczał złowrogo, i węsząc po ziemi, zaczął szczeakać, chociaż szczekanie jego zdawało się raczej głosem dzikiej rozpaczy, wrywającym się z piersi. Powietrze nocne przeszedł dreszcz od głośnego wycia wypędzonego na mróz zwierzęcia. Wycie dochodzi do wioski, leci nad zasy i pola, wciska się nawet do sterty. Spiący włóczęga zadrżał, skulone ciało dziecka zatrzęśło się od trwogi.

Pies wietrzy coś podejrzanego. Nie wraca więc do budy, szczeaka coraz zajadlej, rzuca się w ciemność, obiega zagrodę, idzie za śladem, i wyjąc i skomlać, pędzi w stronę sterty.

Włóczęga słyszy ciężkie skoki zwierzęcia. Nagle daje mu się uczuć gwałtowne uderzenie, jak gdyby skutkiem upadku ciężkiego przedmiotu.

Znów zadrżał, dziecko krzyknęło lęklawie, usunęło mu się do nóg. Pies odskoczył od sterty, obiegnął ją raz jeszcze dookoła i zaczął się wciskać prosto do wąskiego otworu.

Pięść uzbrojona w kolącą słomę wyciągnęła się naprzeciw niego.

Skomląc, odskoczył i czekał coraz zjadlej.

Znowu spróbował dostać się do środka i znowu uderzył o zamrznięty wiecheć; skaleczony w oko, cofnął się, a krople krwi na nosie zamrzły natychmiast.

Równocześnie słychać było ze sterty płacz dziecka, ale tak przytłumiony, żałosny i pełen trwogi, że podobny był do mroźnego powiewu, przeciągającego nad polem. Inny głęboki głos starał się uspokoić dziecko i rzucił ponure przekleństwo na rozbastwione zwierzę.

Pies nie przestawał szukać innego sposobu, by dostać się do środka. Posiada widocznie znajomość terenu i wprawę. Gdy kilka razy bezskutecznie starał się wsunąć do otworu, zaczął grzebać ziemię, żeby spodem dostać się do sterty. Jeżeli to się uda, biada włóczędze. Z szalonego pośpiechu, z jakim pies rozbija zamrzniętą skorupę śniegu i grzebie w zeszywniałych snopach, z gwałtownego wycia, wściekłego szczekania psa, z oczu, które nie świecą już jak punkty, lecz jak dwa szmaragdowe płomienie się palą, wnioskować można o sile rozdrażnionego zwierzęcia i jego drażności.

Pies nie zważa, że rani sobie łapy, że krew sączy się na śnieg; czuje on żywe mięso, a zapach ten budzi w nim dziką naturę, namysłu ni litości nie znającą. Psy takie spotyka się tylko w samotnych zagrodach, gdzie są strażą i opieką odludzia.

Włóczęga zacisnął zęby. Zapuchnięte, niespokojne oczy zapowiadają zemstę wrogowi, jeżeli mu się uda dotrzeć do środka. Jedna pięść zaciśnięta, gotowa jest chwycić paszczę psa, zgnieść ją lub roztrzaskać, podczas gdy druga ręka obejmuje drżące dziecko, prawie nieżywe z zimna i trwogi...

Zbliża się północ. Mróz niezwykle surowy. Jego paląca fala, dotąd milcząca jak zdradziecka mara, zaczyna się poruszać suchym wichrem, który z wyciem i szumem gna

polach, świszczy i jęczy w powietrzu. Nawet do kryjówki włóczęgi wcisnąć się zdołał i podziałął tam jak dzuma...

Pies nie przestaje nacierać, a włóczęga bronić się uparcie... Od strony stodoły dolatują jakieś głosy. Straszliwe ujadanie psa zbudziło ze snu gospodarza i z dwoma parobkami wyszedł zobaczyć, co je spowodować mogło. Niemiłomim w nocnym zmroku. Szczekanie psa nawet ich przeraża. Zbliżając się do sterty, zwarli się z sobą, obawiając się napadu. Mętne światło latarni, poruszane wiatrem, padło na śnieg czerwono zabarwiony i wytłomaczyło, co się dzieje. Jeden z parobków, wysoki, barczysty drab z pałką w ręku, zawołał ostrym głosem:

— Włóczęga jakiś... złodziej... siedzi w łapce!

Gospodarz usiłował psa pohamować krzykiem, ten jednak, zajęty swoją robotą, nie troszczył się o to, dopiero silne kopnięcie nogą, przywiodło go do opamiętania. Żarzące spojrzenia psa skierowały się na wieśniaka, ale wnet odwróciły się, zgasty i ze skomleniem przypadł pies do nóg swego pana i zaczął się łasić. Chłop podchodząc do otworu, huknął:

— Wyłaż, kto jesteś!

Cisza, nikt się nie poruszył.

— No, kiedyż tam będzie, łotrze? — wrzeszczał chłop i psa poszczuł na stertę.

Pies rzucił się znów zajadle między snopy; znowu spotkał uzbrojoną pięść, zaskowyczał, skurczył się i coraz dalej cisnął, podszczuwany ustawicznie przez gospodarza i parobków, aż drąc pazurami i chwytając zębami dokoła, dostał się wreszcie do wnętrza.

Teraz ze sterty odezwały się głosy, ale jakie! Jęki, prośby, przekleństwa!

— Przestańcie!... Na miłość Boską przestańcie, przecie już idę...

Zatrzymali psa. Włóczęga wychodzi z otworu. Nędza i cierpienie maluje się w każdym jego rysie i każdym ruchu. Prawa ręka, przegryziona, zwiesza się bezwładna, krew strumieniem spływa z rękawa. Na twarzy odbija się chaos strasznych męczarni.

— Zbóje!... — jęknął.

Chłopi roześmiali się, gospodarz uderzył go i wrzasnął:

Jeszcze gadać będziesz, ty nieponiu? A teraz ruszaj mi na sto wiatrów, chyba, że chcesz z zębami psa dokładniejszą zabrać znajomość.

Włóczęga zadrżał, zacharczał i byłby najchętniej zadławił gospodarza. Na czas jednak spostrzegł złowrogie ślepie brytana, których źrenice pałają ogniem i paszczą, która pochylona jak wąż do stopy pana, chce tylko gryźć i szarpać. Pomyślał także o dziecku... i zawahał się. Jeden z parobków uderzył go pałką, pies zaczął szczekać znowu.

I włóczęga idzie w noc i w zimne śnieżne zasy, a idzie sam, bez dziecka. Sądził, że lepiej mu będzie tymczasem w zasłoniętej cokolwiek kryjówce; późną nocą powróci, aby je zabrać; może uda mu się nie ściągnąć uwagi prześladowcy.

Od sterty puścił się ukośnie w drogę, odprowadzony przeklinaniem ludzi i szczekaniem zwierza. Staniając się bezsilnie, zaczynał już ginać w nocy i oddaleniu, gdy usłyszał wzmagające się znowu ujadanie, równie wściekłe i żarte, jak przy pierwszych atakach. Włóczęga słyszy, jak słoma trzeszczy, jak pies kopie się w głąb sterty i słyszy także zacięty głos:

— Aha, jeszcze jeden taki ptaszek! No wyłaż tylko, hołoto!

Nie czekał więcej. Wielkimi skokami powraca i zdaje się już błaga, by zlitowano się nad dzieckiem; głos jego był tylko zachrypniętym, dźwiękiem, wydobywał się z trudnością z gardła. Odwołano psa, chociaż trzech ludzie klęli głośniejsz, niż wprzód, a pies chciwie rzucał się i warczał.

Włóczęga, na stojących, jak widziadła w czerwonym blasku latarni, chłopów rzucając straszne spojrzenie szklanych oczu, z pianą na ustach i z wykrzywioną okropnie twarzą, lewą ręką wyciągnął z otworu dziecko, a właściwie drobne nieruchome ciałko.

Postawił je na nóżki, ale te załamały się, i ciałko na śnieg upadło. Włóczęga wydał okrzyk, porwał dziecko na

lewą rękę, przycisnął swój szpetny policzek do jego twarzy i zniknął w ciemnościach po raz drugi. Ludziom zawołał.

— Dobrej nocy!

Strasliwym tonem wykrztusił to jedno, jedyne przekleństwo. Zraniona ręka wisiała jak martwa. Postać zaczęła ginać stopniowo. Cień jego spłynął nawet już z ciemnością. Wieśniacy z zagrody towarzyszą mu spojrzeniem; cieszą się, że wyplenili nędzny chwast. A pies skowytem odprowadza odchodzącego także w okropną podróż...

Takie psy oddają znakomite usługi w samotnych zagrodach i wśród pustkowi.

Mróz ściska, mróz pali, dokoła ciemna, jęcząca noc...

Ze świata kobiecego.

Pogadanka o modach.

Wiosna idzie ku nam szybko, a choć jeszcze nieraz dmuchnie w oczy ostrym wiatrem i dżdżem nas skropi, ale możemy już myśleć o toaletach lżejszych, jasnych. U progu wiosny czeka nas pożądana obietnica.

Kostjумы spacerowe mają być zupełnie krótkie, sięgające zaledwie do kostki, ale doświadczenie nauczyło nas, co warte są obietnice takie, ponawiane z roku na rok, a dotychczas nieziszczone, radość byłaby zatem przedwczesna; powiadam: *radość*, bo sądzę, że każda z pań przyjęłaby chętnie tę modę, jako fakt spełniony, choć żadna nie ubrałaby się do kostek — na własną odpowiedzialność. Zatem płaczemy się w długich sukniach, drętwieją nam ręce od podnoszenia fałdów, ale cierpimy, dopóki wszechwładna pani nie wyzwoli nas z tych ciężarów. Wreszcie, trudno żądać, aby duch inicjatywy, bardzo w nas mały, zużywał się na takie drobiazgi; zachowujemy go do szerszej działalności. Tam gdzie zapał inicjatywy jest większy, kobiety podnoszą protest przeciwko obowiązującym przepisom mody, a to w imię przepisów higieny. Bojowniczkki wywiesiły sztandar: „precz z gorsetem“! Nie wiem czy Ben-Akiba myślał o gorsecie, gdy mówił: „wszystko już było“, bądź co bądź, ta sprawa ciągnie się już lat tysiące.

Starożytny komedjopisarz, Terencjusz, drwił z rzymianek, że zbyt krępują kibicie, a jego rodak Galenos przedstawiał niebezpieczeństwa sznurówki. W każdym nie-

mal stuleciu ponawiają się walki, przeciwko niej wytaczane, niekiedy wieńczy je zwycięstwo, ale bardzo krótkie, niestety. Czemu to przypisać? Złośliwi dowodzą, że gdyby kobiety piękne stanowiły o modach, działałoby się daleko lepiej w tym zakresie, ale narzucają modę kobiety szpetne, zmuszone coś ukrywać i osłaniać: inne cierpią za brzydszą część pięknej połowy rodzaju ludzkiego. Kiedy to się zmieni? Niewiadomo. Tymczasem wiedeński myślą o reformie ubrań kobiecych, i wzywają do rady lekarzy, estetyków, artystów



Skromna suknia dla młodej pani.

i krawców. Profesor sztuki Roller sądzi, że podniesienie ogólnego umysłowego poziomu kobiety jest jedyną drogą, na której spełni się reforma, niemożliwa, dopóki kobieta uważa odzienie za „strój“ a toaletę „za cel marzeń“.

Pewien krytyk przepowiada, że nie będzie lepiej, tylko inaczej. Taki pesymistyczny pogląd nie zniechęca kobiet od przedsięwziętego zadania. Hrabina Kolmaniegg i lekarka wiedeńska panna Weinwurm utworzyły związek, celem zbadania, jaki rodzaj odzieży jest najodpowiedniejszy do zajęć, do pory roku i do rozrywek. Obecne stroje uwzględniają tylko dom, towarzystwo, zabawy, niema praktycznych ubrań na ulicę. Wytworzono już kostjumy sportowe, lecz nie pomyślano o odzieży do pracy, a chyba większa liczba kobiet pracuje w biurach, redakcjach, sklepach, niż jeździ konno i na bicyklach. Członkinie związku pragną tak rozwinąć kobietę duchowo, aby ubierała się dla siebie, nie dla męża-czynny, i nie w celach przypodobania się, twierdząc, że będzie to czyniła dopóty, dopóki małżeństwo stanowi dla

niej kwestję chleba.

Stroją się nie najpiękniejsze, nie najbogatsze i nie najbrzydsze, tylko te, dla których strój jest celem zdobycia dożywotniego utrzymania. Takie są wywody założycielek związku. Trudno je przyjąć bez zastrzeżeń, bo widzimy, że stroją się nie tylko panny, goniące za mężem (których zresztą jest coraz mniej, zwłaszcza w klasie inteligentnej i pracującej) lecz i mężatki, a może głównie one, jakkolwiek kwestja bytu jest już dla nich rozwiązana.

Jak widzimy, żywe rozprawy, popierane paradoksalnymi niekiedy argumentami, toczą się w kwestji błahej na pozór. Zresztą każdą najbłahszą sprawę można pogłębić, jeśli się na nią zapatrujemy poważnie. I tak naprzykład obojętną wydaje się rzeczą, kto nam szyje suknię, byle szyl dobrze. Posłuchajcie, kochane panie, co o tem pisze Ruskin, słynny angielski estetyk i moralista:

„Jeśli was stać na to, kupujcie suknie, zrobione ładnie, z całą akuratnością, przez dobrą krawcową, ale niechaj ta dobra krawcowa będzie osobą ubogą, nie zaś zamożną damą, mieszkającą w bogatej dzielnicy. Nie mieszajcie kokieterji z filantropią, nie łudźcie się, że wszystkie wasze stroje zamieniają się na chleb dla ust zgłodniałych. Jeśli przez pewien dany czas posługiwać się będziecie daną liczbą szwaczek, każąc im szyć skromne i praktyczne suknie, które nosić będziecie przez kilka miesięcy, aby je potem oddać biednym, to postąpicie po ludzku, wydając w ten sposób wasze pieniądze.

„Ale, jeśli przyjmiecie też samą liczbę szwaczek przez też samą liczbę dni na wyhaftowanie sukni, która nikogo potem nie może oddziać, to zmarnujecie grosz niepotrzebnie. Wprawdzie i w jednym i w drugim wypadku daliście zarobek ludziom, ale w pierwszym obróciliście ich pracę na korzyść społeczeństwa, a w drugim — li tylko na swoją własną“.

Takie względy obywatelskie pożądane są przy wyborze krawcowej, ale za skromnymi procownicami przemawiają jeszcze inne, mające dobro klientek na celu. Osoby, które sprawiają po dwie, trzy suknie na rok, nie powinny oddawać je do roboty w dużych magazynach, bo takie nie dbają o uboższą klientelę, czując, że nie osiągną korzyści na drogich „dodatkach“ ani na „reklamie“, jaką strojnisię robią swoim krawcowym, popisując się w ich toaletach, na koncertach i rautach. Osoba niezamożna, licząca się z groszem, traktowana jest z góry przez właścicielki dużych magazynów, a nawet przez panny, przyjmujące suknie; musi tracić



Nowe modne gorsety z prostą bryłą.

wiele czasu w poczekalniach, zawsze zapelnionych, musi znosić uśmieszki pogardliwe, jeśli przy wyborze garnirowań, kieruje się względami taniości, słowem musi znieść wiele rzeczy niemiłych, aby, koniec końców, dostać suknię, zrobioną niedbale. Czyż nie praktyczniej wyszukać sobie tanią sumienną pracownicę, dbającą o zadowolenie każdej klient-



Suknia polska pomysłu p. F. Jasieńskiego.

ki? Znalazłszy taką, trzeba jej się trzymać stale. Tak samo jak przenoszenie się z kuracją od jednego doktora do drugiego nie sprzyja zdrowiu — bo lekarz odrazu pomódz nie może, musić wpierw poznać organizm — tak też i zmiany magazynów nie są korzystne dla klientek, bo krawcowa musi zbadać właściwości figury i do nich się stosować.

Pierwsza suknia bywa zwykle mniej udatna, następne coraz lepiej leżą i pasują. Zwłaszcza jeśli się ma figurę niezbyt prawidłową, trzeba być stałą wobec krawcowych, bo tylko

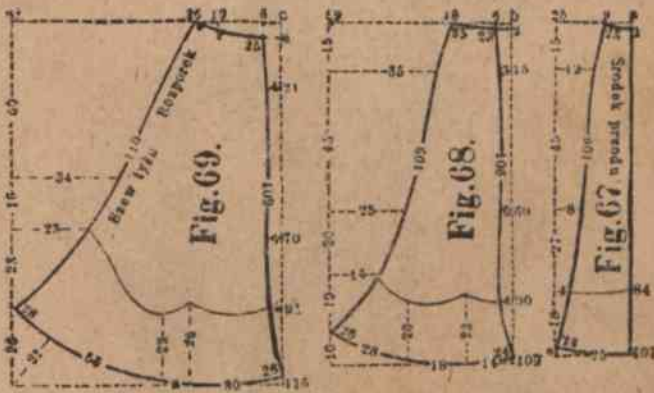


Suknia wiosenna z paltocikiem.

szwaczka dobrze obznajmiona z naszymi niedokładnościami może na nie zaradzić odpowiednim fasonem i krojem.

Krój, to rzecz najważniejsza w toalecie; każdy fason, dobrze skrajany, ładnie wygląda. To też od niniejszego zeszytu wprowadzamy inowację pod postacią wzorów, oznaczonych centymetrami, wedle których można skroić sobie suknię w domu.

Wszystko to bardzo piękne, powiedzą mi czytelniczki, wysłuchałyśmy rozmaitych sądów i rad praktycznych, ale nie wiemy jeszcze, co noszą i nosić będą. Słuszna uwaga. Otóż zacznijmy od sukien codziennych. W materjałach gładkich przeważają kolory: brązowy, orzechowy, szary, dziki, sarni, beżowy, popielaty, w różnokolorowych — tarlatany szkockie kraciaste, w odcieniach zielonych i granatowych.



Fason spódnicy wiosennej.

Potrzeba 6 metrów cover coatsu podw. szerokości, 15 ct. ukosu aksamitnego.

Jedynem przybraniem toalet codziennych będą zastębnowane skosy atłasowe lub sukienne. Spódnica jednolita, bez falbany, stanik gładki, zapięty z przodu na guziczki lub też obcisłe bolero, zapięte na jeden duży i ładny guzik. Żakietki do sukien spacerowych robią się z odcięciami, dość długimi połami, co bardzo jest korzystnem dla figur długich i szczupłych, kołnierze wykładane i duże wyłogi, pokryte bywają gipiurą.

Do sukien krojem angielskim noszone będą krawaty atłasowe czarne, owinięte dwa razy dokoła szyi i związane na kokardę o czterech puklach i czterech końcach; do tego kołnierzyk biały wykładany. W ogóle krawaty bardzo mo-

dne oddalają się coraz bardziej od wąskiego pierwowzoru; nawet szerokie, marynarskie, związywane są fantazyjnie i przybrane koroneczką lub hałkami. Ujrzymy krawaty muślinowe jedwabne, zaplisywane wzdłuż maszynowo, wsunięte w obrączkę i spadające luźno z przodu, następnie krawaty z atlasu Liberty szerokości 4—5 centymetrów, oszyte frendzlą, krawaty wąskie z pasmanterji, zakończone chwa-



Bluzka z fraczkiem i modny kapelusz.

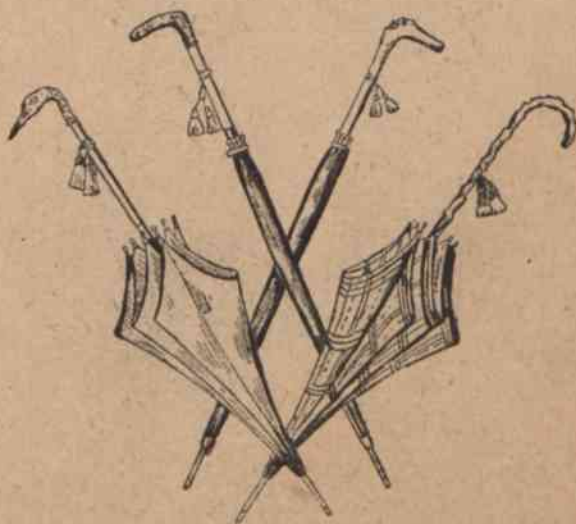
Paltocik wiosenny i modny kapelusz.

stami, żółędziami lub iglicami. Do toalet strojniejszych będą używane szarfy z *crêpe de chine* okręcające szyję i związane pod brodą w węzeł ze spuszczonei końcami.

Panowanie zakładek i plisek jeszcze nieskończone. Widzimy je na wszystkich toaletach wiosennych; tej modzie należy przypisać zupełny zanik materiałów grubych. Pracowite fasony, cieszące się obecnie względami, wymagają tka-

nin miękkich, układających się w fałdeczki tak drobne, jakie dawniej spotykano wyłącznie w zakresie białizny. A więc miejsce brokatel, aksamitów, adamaszków, zajęły mięciutkie atlasy Liberty; wełny choć na pozór grube, w istocie są bardzo podatne do wszelkich zagięć.

Toalety spacerowe plisują się podłużnie w fałdy głębokie, zaprasowane do kolan, od dołu tworzące falbanę, krótszą z przodu (20 ct.), niż po bokach (30 ct.) i z tyłu (35 ct.). Pliski są wąziutkie u góry i rozszerzają się stopniowo, tworząc jakby promienie słoneczne. Inne spódnice mają z przodu fartuszek zafałdowany wzdłuż, boki plisowane poprzecz-



Ostatnie parasole.

nie, na dole trzy płaskie falbany, bryt tylny plisowany wzdłuż aż do falban. Widzimy też przody gładkie, boki i tył zafałdowane w poprzek w plisy szerokości 3—4 centymetrów. Materjały lżejsze plisują się w drobiutki zakładeczki.

Najnowszymi są dwa następujące fasony: 1° spódnice z bardzo wąskich brytów z wachlarzami u dołu, podobnie do tych, które noszono przed paru laty, ale daleko węższe u góry; 2° spódnice wykrajane u góry w wąskie patki, naszyte na suknie, aksamicie lub materji odrębnego koloru, każda patka przytwierdzona małym guziczkiem metalowym.

Suknie strojniesze ukaza się w całej gamie odcieni ponsowych, od arystokratycznej purpury, do pospolitej cegły i ponsowego fioletu. Połączenie paru kolorów spotyka się bardzo często, a więc widzimy suknie bordo, garnirowane atłasem czarnym, zastębnowanym — żółto. Taka kombinacja jest o tyle oryginalna, o ile jaskrawa, odrzuciwszy jednak stębnówkę żółtą, zlanie czarnego tonu z ponsowym jest bardzo odpowiednie. Do sukien beżowych noszone będą kołnierze, wyłogi, i kamizelki ciemno-zielone; do szarych — wiśniowe i malinowe; do szafirowych i granatowych — pomarańczowe.

Jako motyw dekoracyjny służą gipiury, grube koronki, i gwiazdy szydełkowe, tworzące kołnierze i wyłogi. Ta ostatnia nowość jest pożądaną z dwóch względów — jako tania i jako zachęcająca do robót ręcznych. Osoby oszczędne, któ-



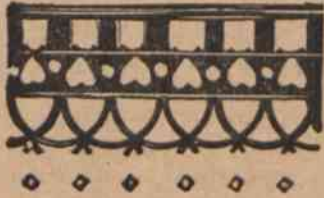
Ostatnie fasony kapeluszków.

re przechowały stare szale swoich matek i babek, mogą je użyć, wycinając ma się rozumieć tylko z podartych, lub podszarzanych rozmaite kwiaty i kaje; ułożone w pewien deseń na stanikach i obdziergane stanowią bardzo efektowną aplikację na materiałach gładkich, zwłaszcza na czarnych, ponsowych, białych i niebieskich.

Noszone są też karczki z atlasu kolorowego lub białego, pokryte siatką, gipiurą, dżetem, paciorkami, sutaszem. Karczki przypinane urozmaicają toalety, nadając strojny wygląd sukniom ciemnym, praktycznym.

Nasza pogadanka byłaby niekompletna, gdybyśmy nie przyjrzeni się kapeluskom, toż następuje w nich — przesilenie wiosenne, mniej może doniosłe od astronomicznego, ale bardzo ważne. W tak zwanym półsezonie zapanują kwiaty i liście; ujrzymy całe kapelusze usiane paprocią lub zrobione z narcyzów i fijołków, olbrzymie maki i róże, utworzą den-

ka z rondem lub odwinięciem tiulowem. Zakładeczki i tu się wkradły; tworząc bardzo ładne kapelusze z sukienka i tafty fasonem toczkowym lub beretowym, płaskim, bez przy-



Szyczek w stylu zakopiańskim.

brań, chyba pęczek fijołków albo liście kasztanu z pąkami. Kapelusiki filcowe trójgraniaste, przybierają się leciuchnemi fałdami z gazy, fasony marynarskie z dużem odwiniętem rondem ubierane są na przodzie gązowem *chous* lub bukietami fijołków, pierwiosnków i t. p. Do praktycznego użytku najlepszym jest zawsze *canotier* opasany wstążką. Ten skromny towarzysz codziennych wędrowek nie boi się deszczu, ani wiatru, trzyma się mocno na głowie, daje się włożyć bez lustra, słowem jest nieoceniony.

E. Żmijewska.

ROZMAITOŚCI.

— **Zatrucie tytoniem.** O objawach zatrucia tytoniem dr. Tavarger w Wiedniu dawał obszernie wyjaśnienia w Towarzystwie lekarzy.

Badania jego wykazały, że przez długoletnie palenie tytoniu następuje istotne zatrucie. Z objawów jego najjawniejsze są zaburzenia w obiegu krwi i w narządzie trawienia. Zwykłym objawem jest bicie serca, które przy wstrzymywaniu się od palenia czasami znowu znika, ale i dalej trwać może. Jeżeli palacz mimo to namiętności swej nie poskramia, lecz pali dalej, to naraża się na osłabienie serca, duszności, dychawicę sercową (asthma cordiale), czasami zaś zdarzają się nawet wypadki uduszenia.

Lekarz przy badaniu fizykalnem, albo nic nie znajduje, albo też oznaki przewlekłego zapalenia serca lub też jego stłuszczenia.

Chory, co się tyczy żołądka, cierpi na brak apetytu, na ból w dołku i uczucie przepelnienia; przytem dolega mu zwykle obstrukcja naprzemian z biegunką. Zaburzenia w układzie nerwowym objawiają się bezsennością i omdleniem. Stłuszczenie ogólne (otyłość) przylącza się jeszcze do tego zwykle wtedy, jeżeli chory hołdował obficie napojom wysokowym i uciechom stołu. Lekarze francuscy spostrzegli, że namiętni palacze tytoniu nader często giną z chorób serca, zwłaszcza jego stłuszczenia i porażenia (paraliż serca) i z cierpień nerwowych, a zwłaszcza mlécza.

Psychjatrzy Quislain i Agen uznali ogólny bezwład postępowy za skutek nadmiernego palenia. Bean już przed trzydziestu laty przedstawił francuskiej akademji nauk wyniki swych badań, które dowodzą, że najokropniejsza ze wszystkich chorób

serca, duszność boczna (angina pectoris), najczęściej jest bezpośrednim skutkiem palenia tytoniu.

— **Poprzednicy Krzysztofa Kolumba.** Major Cooper, słynny podróżnik amerykański, który w Stanach Zjednoczonych odkrył starożytne miasto, zrobił nowe odkrycie, które oburzy wielbicieli Krzysztofa Kolumba.

Z dwoma towarzyszami, rodowitymi wallijczykami, Cooper odwiedził szczątki pokolenia Creek'ów. Gdy towarzysze ci poczęli między sobą robić uwagi w języku wallijskim, stary wódz prze-rwał rozmowę z majorem, zbliżył się ku nim, nadstawiając uszy i wreszcie począł ich ścisnąć z zapalem, mówiąc coś w niezna-nym języku.

Na razie dwaj podróżnicy nie rozumieli nic z jego przemo-wy, gdy jednak wódz począł mówić wolniej, ze zdumieniem spo-strzegli, że indjanin mówił ich własnym, wallijskim językiem.

Wieczorem stary Indjanin opowiedział podróżnikom jedno z podań pokolenia.

..Dawno bardzo na wiele lat przed przybyciem pierwszych misjonarzy francuskich, gdy Creek'owie tworzyli jeszcze potężny naród, do Arkanzasu przybyły w wielkiej liczbie „blade twa-rze“, pierwsze, jakie kiedykolwiek krajowcy widzieli; przybysze mieli z sobą broń żelazną i mówili językiem cudzoziemskim, któ-rego nauczyli krajowców podczas długiego między nimi pobytu. Przybysze wyjaśnili także, że później przybędą inni biali, mówią-cy tym samym językiem i że krajowcy powinni zatrzymać w pa-mięci kilkanaście zdań w tym języku, aby powitać przybyszów i dać się im poznać.

To samo podanie napotkał major Cooper u sąsiedniego po-kolenia Nawajosów, wreszcie w wykopaliskach, w starej mogiłe, znalazł nóż żelazny, podobny do tych, jakich używali niegdys Wallijczycy i noszący napis z datą r. 1257. Wszystko to każe przypuszczać, że Wallijczycy odkryli Nowy-Swiat na dwieście lat przed Krzysztofem Kolumbem.

— **Deszcz sztuczny** Przed kilku laty pojawiła się sensacyj-ną wiadomość, iż zdołano w Teksas (Ameryka północna) podczas długiej suszy, która groziła zupełnem zniszczeniem zbiorów — wy-wołać sztucznie deszcz. Mianowicie, przy pomocy specjalnie skon-struowanych dział dawano sute strzały w powietrze nad ranem i wieczorem, co miało ten skutek, iż gromadziły się chmury, a po niejakiem czasie począł kropić deszcz wcale przyzwoity na całym obszarze, w którym słychać strzały.

Cała ta historia brzmiała bardzo dziwnie, ale gdy dowie-dziano się, że istnieje żywa agitacja za bombardowaniem nieba, a urząd wojenny wysłał sporą liczbę artylerji do nieszczęśliwego, posuchą nawiedzonego kraju, nie wątpiono wcale, iż strzelanina

srowadza deszcz. Obecnie donosi angielskie pismo *Humanitrian* o doświadczeniach w Foukoshima (w Japonji) nader pomyślnych. Mianowicie wysyłano silne prądy elektryczne w powietrze, o godzinie 11-iej wieczorem, nazajutrz nad ranem poczęły gromadzić się chmury, poczem przez 24 godzin padał pokrzepiający wysuszoną okolicę deszcz. W jaki sposób wysyłano prądy w powietrze suche, które jest nader złym przewodnikiem elektryczności — nie wiadomo

Pismo, z którego czerpiemy te wiadomości (*Wissen für Alle* — Wiedeń) i dawne i obecne doniesienia przyjmuje z wielkiem niedowierzaniem.

— **Zjadacze arszeniku.** Są damy, które używają arszeniku, przyzwyczajając się do coraz większych dawek. W Paryżu, w Londynie i innych wielkich miastach panie używają tego środka, aby mieć ładną cerę i błyszczące oczy. Obecnie w południowych Stanach Ameryki północnej bardzo rozwinęło się użycie arszeniku, zwłaszcza w Luizjanie, Florydzie, Georgji, Karolinie południowej i w innych stanach. W ogóle stany południowe zawsze słynęły z zepsutego smaku, zawsze można tam było spotkać amatorów, zajadających glinę, wapno i liście tytoniowe. Nawet owoce zajadano z podobnemi przyprawami. Żucie tytoniu straciło już urok, teraz Amerykanie poszukują innych środków pobudzających.

Amerykanki zaczynają spożywać arszenik w bardzo małych dozach, po jednym granie na filiżankę rannej kawy; następnie dawkę powiększają i powtarzają po kilka razy dziennie. Pewien lekarz z Nowego Orleanu, który się zajął badaniem tej sprawy, podaje następujące szczegóły.

Osoby, spożywające arszenik, o zdrowej i silnej budowie, łatwo przewyciężają początkowe trudności, jako to: zapach podobny do czosnku, mdłości i zawroty głowy; po pewnym czasie zażycie trucizny sprawia im przyjemność i zwykle żyją długo, chociaż często byle powód może łatwo sprowadzić śmierć.

Z drugiej strony nagła przerwa w użyciu arszeniku pociąga za sobą śmierć z oznakami zatrucia.

Inny lekarz, Solder z Memfis, zrobił spostrzeżenie, że wiele kobiet zdrowych i silnych, wskutek użycia arszeniku stają się małokrwiste, chudną i umierają szybko. W ogóle ludzie, używający arszeniku, pożądają potraw niezwykłych i dziwacznych, jak rozmaite owady, np. szarańcza pieczona lub nawet surowa.

— **Pielęgnowanie włosów.** Często bardzo przyczyną wczesnego siwienia i wypadania włosów bywają choroby całego organizmu i wtedy trzeba się przedewszystkiem starać o usunięcie tej przyczyny. Bardzo wiele jednak znaczy odpowiednie pielęgnowanie włosów, to jest ich czyszczenie, oświeżanie i wzmacnianie.

Gdy włosy stają się suche, łamliwe, z braku naturalnego tłuszczu, trzeba je smarować delikatnym olejkiem roślinnym, a następnie lekko, ale starannie przeczesać. Przed wysmarowaniem dobrze jest umyć głowę w ciepłej wodzie i po wysuszeniu dopiero smarować. Bardzo dobrze tego samego dnia włosy przycinać, gdyż wskutek tego lepiej rosną i wzmacniają się. Trzeba się więc pilnować następującego porządku: włosy suche wymyć dobrze: potem wysuszyć starannie, wysmarować olejkiem, wyczesać i nareszcie przyciąć.

Nie należy wystawiać włosów na długie działanie słońca podczas upałów, trzeba jednak jaknajczęściej chodzić z głową odkrytą i pamiętać, aby nakrycie głowy było przewiewne. Wiatr bardzo pomaga do szybkiego wzrostu włosów, gdyż drażni do pewnego stopnia skórę, odświeża ją i wzmacnia. Tak samo działa woda deszczowa. Po zmoczeniu przez deszcz włosy stają się elastyczne i lepiej rosną, gdyż woda deszczowa wpływa dobroczynnie na nerwy głowy i cały system nerwowy. Trzeba jednak po deszczu włosy starannie wysuszyć.

Wieczorem, przed pójściem na spoczynek należy włosy wyczesać starannie grzebieniem, najlepiej gęstym, a jeżeli są dość tłuste i nie kruche — to szotką. Czesanie szotką stanowi do pewnego stopnia środek leczniczy, gdyż działa wzmacniająco na włosy. Angielki, które mogą się poszczycić pięknymi i bogatymi włosami, zawdzięczają je głównie zwyczajowi czesania włosów szotką. Nawet najzdrowsze i najsilniejsze włosy należy czesać szotką, gdyż to dobrze czyści i wzmacnia skórę.

Kobiety, które noszą przeważnie długie włosy, powinny je od czasu do czasu przycinać, gdyż w przeciwnym razie włosy będą wypadać. Zwyczaj splatania włosów w warkocze, węzły i noszenie ich na czubku głowy bywa przyczyną migren i bólów głowy. Ponieważ jednak zwyczaj ten niełatwo wyrugować i przywrócić pierwotny sposób noszenia włosów rozpuszczonych, panie, dbające o tę ozdobę, powinny jaknajczęściej, gdy tylko mogą, chodzić z rozpuszczonymi wolno włosami.

— **Jak i kiedy spać?** Organizm człowieka i oddzielne części ciała potrzebują odpoczynku i wytchnienia. Najdłużej odpoczywają serce i płuca, gdyż skurcz serca i wdychanie powietrza jest pracą, po której zaraz następuje wydech, to jest odpoczynek. Nerwy i mięśnie odpoczywają podczas snu człowieka, pomimo, że nawet we śnie odbywa się trawienie, krążenie krwi, oddychanie i wydzielanie. Człowiek, pozbawiony snu, umiera bardzo prędko. Właściwie tylko system nerwowy śpi rzeczywiście, chociaż nawet w najgłębszym śnie człowiek posiada słabe poczucie istnienia. Najzupełniej odpoczywają wola i czucie, sen zatem jest właściwie odpoczynkiem mózgu.

Nie trzeba kłaść się do łóżka zaraz po jedzeniu; najlepiej udawać się na spoczynek w dwie godziny po przyjęciu ostatniego pożywienia, gdyż proces trawienia drażni system nerwowy i przeszkadza odpoczynkowi. Im skromniejsze pożywienie wieczorne, tem sen spokojniejszy, nie należy jednak kłaść się głodnym, gdyż głód drażni mózg i czyni sen spokojniejszym. Dlatego też źle się śpi po zbyt uciążliwej pracy; bezpośrednio przed zaśnięciem trzeba się wstrzymać od pracy, zwłaszcza umysłowej.

Długość snu zależy od wieku. Niemowlę śpi ciągle prawie, o ile nie je; w miarę, jak dojrzewa, potrzebuje coraz mniej snu. W wieku dojrzałym długość snu jest prawie stała, w starości zmniejsza się coraz bardziej. Dziecko od 2—9 lat może spać po 10 godzin na dobę, do lat 20 po 8—9 godzin. Dla człowieka dojrzałego wystarcza zupełnie 7—8 godzin snu, dla starca nie więcej jak 5—6 godzin.

Zbyt długi sen osłabia ciało, zgęszcza krew, sprowadza otyłość i usposobienie do apopleksji. Ludzie starsi nie powinni sypiać po obiedzie. Aby odciągnąć krew od głowy, co jest potrzebne do spokoju mózgowego, należy nogi okrywać ciepłej, niż górną część ciała i głowę trzymać wyżej aniżeli nogi. Ludzie nerwowi i chudzi potrzebują więcej snu, aniżeli osoby tłuste i limfatyczne. Kto pracuje ciężko fizycznie, śpi dłużej i mocniej, aniżeli człowiek zajęty pracą umysłową. Mieszkańcy północy prędzej zasypiają i śpią dłużej, aniżeli mieszkańcy krajów ciepłych, gdzie noco są ciężkie i duszne.

Sen we dnie nie może zastąpić naturalnego snu nocnego. Człowiek powinien zasypiać razem z naturą i szukać odpoczynku w ciszy powszechnej, w ciemności, w tej bezczynności ogólnej, która panuje koło niego. Dobrze jest także wstawać wczesnym rankiem, gdy powietrze jest najświeższe i najzdrowsze, zwłaszcza latem.

— **Służące angielskie.** Są angielski, które utrzymują, że lepiej być w Anglii służącą, aniżeli panią. Może to i prawda. Każda kucharka londyńska czułaby się obrażoną, gdyby pani pokazywała się w kuchni częściej aniżeli raz na dzień. To nawet nie wypada dla pani, a służącą krępuje. Służąca ma godziny wolnego czasu na obiad, i w tej porze niewolno nikomu wejść do kuchni. Służące angielskie, jak i panie zresztą, lubią nadużywać napojów gorących. Zdarza się, że wieczorem, po robocie, służąca tak się uraczy, że leży bez duszy na podłodze. Przy umowie służąca wymawia sobie zwykle dwa tygodnie urlopu w lecie; jeden tydzień wolny w wieczór, jeden dzień co miesiąc po wypłacie pensji. Do niedawna każda prawie służąca miała własny rower, teraz już wychodzi to z mody.

Podobno jeszcze lepiej dzieje się służącym w Ameryce; tam mają oznaczone godziny zajęcia, po za którymi są swobodne, nocny nieobowiązane są spędzać w domu. Wykonywają tylko wyłącznie te roboty, do których się godziły. Płacę pobierają bardzo dobrą i pomimo to mają coraz większe wymagania.

— **Liga przeciwko śmiertelności dzieci.** Przyczyną zmniejszenia się ludności we Francji jest nie tylko mała liczba urodzeń, lecz wielka śmiertelność dzieci. Sprawa zapobieżenia zmniejszeniu się ludności oddawna zajmuje umysły najpoważniejszych ludzi. Rzucano już rozmaite projekty, jak opodatkowanie starych kawalerów i pańien, udzielanie przez państwo zapomóg rodzinom, obarczonym większą liczbą dzieci. W ostatnich czasach utworzyła się liga przeciwko śmiertelności dzieci. Pierwsze posiedzenie członków ligi odbyło się niedawno w Sorbonie pod przewodnictwem samego Waldeck-Rousseau. Senator, Paweł Straus, w przemowie swej zaznaczył, że w Paryżu umiera dziennie 167 małych dzieci, przeważnie z powodu niedostatecznej opieki i odżywiania się. Rząd przyrzekł popierać wszelkimi siłami działalność ligi.

— **Klub snu czterogodzinnego.** Pod taką nazwą powstało niedawno stowarzyszenie w Chicago. Członkowie klubu obowiązują się spać tylko cztery godziny na dobę i zwyczaj ten zaszczeniać dzieciom. Założyciele klubu utrzymują, że zbyt długi sen jest równie szkodliwy jak alkoholizm. Ciekawa rzecz, ilu niezwykle stowarzyszenie zdoła zebrać członków.

— **Szybkość zwierząt.** Pewien zoolog poświęcił wiele czasu badaniom i doświadczeniom, w celu porównania z jaką szybkością rozmaite zwierzęta mogą się przemieszczać z miejsca na miejsce. Gdyby można było, zdaniem ciekawego zoologa, urządzić wyścigi zwierząt, to pierwszą nagrodę osiągnąłby bezwątpienia pies, mianowicie chart. Dobry, rasowy chart, może przebiec w minutę przeszło 1,250 metrów, w tym samym czasie koń zrobiłby 1,160 metrów, żyrafa 900 m., tygrys—860, jeleń—850, wilk—570 i biedny zajac tylko—400 metrów. Pomiędzy ptakami pierwsze miejsce pod względem szybkości lotu zajmuje gołąb, który może przelecieć w minutę 1,200 metrów; niewiele ustępuje gołębiowi albatros. W królestwie ryb największą szybkością odznaczają się delfiny, które z łatwością przebywają 17 mil morskich (31 kilometrów) w godzinę, później idzie skumbra—15 mil, losoś—113 i śledź 12 mil. Wieloryb, pomimo swej wielkości i siły może przepłynąć 12 mil i to wtedy tylko, gdy jest ścigany; przytem męczy się prędko.

— **Mydło jako środek przeciwko mikrobom.** W pogoni za najrozmaitszemi środkami dezynfekcyjnymi uczeni zapomnieli o tak pożytecznym środku, jakim jest mydło. Dopiero niedawno do-

któr Gramatczyków wykazał, jak pożyteczne jest w tym celu mydło. Pięcioprocentowy roztwór mydła w przeciągu 120 godzin zabija najwytrzymalsze bakterje, a mikroby tyfusu i gonokoki niszczy w 40 godzin. Wiele znaczy temperatura roztworu mydlanego. Przy 35° działa słabo — najsilniej zaś przy temperaturze 60°.

— **Ilość psów.** Pewien statystyk niemiecki postanowił zbadać, w jakim kraju znajduje się najwięcej psów. Rezultaty, do których doszedł, są dość ciekawe. Okazuje się z nich, że pierwsze miejsce zajmuje pod tym względem Francja. Jest w niej 2,864,000 sztuk przedstawicieli psiego rodu, czyli, że na 1,000 mieszkańców przypada 75 psów.

Drugie miejsce z kolei zajmują Niemcy, posiadające 2,455,000 psów, Anglja mimo, że Anglicy słyną z zamiłowania do zwierząt, posiada tylko 1,440,000 sztuk.

W Irlandji za to psów jest mnóstwo, prawie tyle co we Francji.

Ostatnie miejsce w tej statystyce zajmują dwa największe państwa na świecie: Rosja i Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Na każde z nich przypada zaledwie po 1½ miliona psów.

Zadania do nagrody.

Za rozwiązanie poniższych zadań Redakcja „Miesięcznika“ przeznaczu **trzy** nagrody tak dla Warszawy jak i prowincji oraz Cesarstwa z zagranicą, a mianowicie:

- 1) Za rozwiązanie wszystkich **trzech** zadań — **trzy** książki, do wyboru z dzieł niżej wskazanych.
- 2) Za rozwiązanie **dwóch**, którychkolwiek zadań — **dwie** książki jak wyżej wskazano.
- 3) Za rozwiązanie **jednego**, któregokolwiek zadania, **jedną** książkę wedle wyboru rozwiązującego.

Nagrody udzielone zostaną przez losowanie.

Rozwiązania nadsyłać należy do Redakcji „Miesięcznika“ (Jasna № 2) umieszczając na kopercie napis „**Rozwiązanie zadania**“.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa w dniu 20 maja r. b., poczem, w „Miesięczniku“ majowym, wydrukowane będzie rozwiązanie zadani, lista rozwiązujących i nagrodzonych.

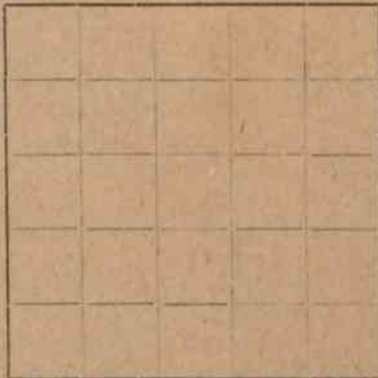
Jako nagrody **wyłącznie** dla prenumeratorów „Miesięcznika“ Redakcja przeznaczu następujące książki:

- Asnyk Adam. — Wybór poezji.
 Dawid J. Wł. — Nauka o rzeczach.
 Jokaj M. — Poruszymy z posad ziemię (4 tomy).
 Konopnicka M. — Nowele (z ilustr.).
 Lenartowicz. — Wybór poezji.
 Łoziński. — Zaklęty dwór (2 tomy).
 Prus Bolesław. — Placówka.
 Sienkiewicz Henryk. — Nowele (z ilustr.).
 Szymański Adam. — Dwie modlitwy (z ilustr.).
 Bogucki J. S. — Klementyna czyli Życie sieroty.
 Bret-Harte. — Wspólnicy.
 Lesuer D. — Krwawe złoto i Kwiat radości
 30 książeczek 3-kopiejkowych do wyboru według naszych ogłoszeń.

Uwaga. Do listów z rozwiązaniami dołączyć należy opaskę, pod którą prenumeratorem niniejszy „Miesięcznik“ otrzymał: zaś prenumeratorem Warszawscy, raczą wskazać numer kwitu z opłaconej ostatnio prenumeraty „Miesięcznika“.

Kwadrat magiczny.

Liczby: 116, 123, 130, 137, 144, 151, 158, 165, 172, 179, 186, 193, 200, 207, 214, 221, 228, 235, 242, 249, 256, 263, 270, 277 i 284, porozstawiać w kratkach poniższego kwadratu, aby w rzędach, pionowych, poziomych i przekątnych sumy wynosiły tysiąc.



ŁAMIGŁÓWKA.

Z rozstawionych w poniższej figurze głosek, ułożyć cztero-wierszowy fragment, ze znanego poematu. Pierwsze głoski wyrazów oznaczone są dużymi literami, a ostatnie tłustym drukiem-

Zadanie Szachowe.

Białe zaczynają i matują w drugim posunięciu.

Czarne.



Białe.

Kapitan Łamigłowa.

Po białych i delikatnych rękach, po inteligentnej twarzy można było poznać człowieka z lepszej sfery. Mundur i buty, jakkolwiek nie różniące się ani barwą ani krojem od ubioru jego towarzyszków, były uszyte starannie i z lepszego materiału. Był to prawdopodobnie ochotnik.

Grandière nachylił się nad leżącym i raz jeszcze zmierzył jego wysokość. Wreszcie, zadowolony, przyklęknął na jedno kolano i przewyciężył się; począł powoli zdejmować odzież z trupa. Pierwszy to raz w życiu czynił coś podobnego, co nie było godnem żołnierza, ale pamięć na cel przewyciężyła skrupuły.

Za jakąkolwiek cenę postanowił zdobyć sobie powierzchność ułana angielskiego, bez której nie mógł myśleć nawet o dostaniu się do obozu nieprzyjacielskiego. Po chwili Anglik leżał tylko w samej bieliznie, a Grandière zamienił się zupełnie na jednego z tych „kaki“, których nienawidził całą duszą.

Zapiął brązowy mundur pod szyję, zarzucił na ramię miękki płaszcz, uzbroił się w parę znalezionych rewolwerów i, niezapominając o napełnieniu ładownicy, szybko ruszył w dalszą drogę. Konia rozsiódł już poprzednio i teraz żegnał go prawdziwie przyjacielskiem spojrzeniem.

— Poczciwe zwierzę! — szeptał — oby tylko nie wpadło w ręce naszych najserdeczniejszych, którzy gotowi go użyć do pościgu za jego własnym panem.

Z miejsca ostatniej potyczki do zburzonych rezerwoarów było już niedaleko. Słońce zachodzące rzucało na ziemię czerwone promienie, gdy Łamigłowa ujrzał przed sobą białe płótna namiotów angielskiego obozu. Anglicy rozłożyli się teraz na pagórkach, otaczających dolinę przed rezerwoarami, i daleko dokoła widać było przechadzające się strażę z karabinami na ramieniu i krótkimi fajeczkami w ustach.

Łamigłowa zatrzymał się na chwilę w miejscu i wybrawszy pas najwyższej i najgęściejszej trawy, ukrył się w niej, aby dalej niepostrzeżenie popełznąć na czworakach.

Sposób ten nie mógł mieć lepszego od Łamigłowy wykonawcy. Prześlizgując się w trawie, jak wąż, cicho, bez najmniejszego szelestu, naśladował doskonale czerwonoskórych z Kanady, od których przejął w swoim czasie wszystkie umiejętności.

Posuwając się dość szybko, prędzej, aniżeli się spodziewał, stanął u celu podróży. Tuż przed nim wznosił się nad porośłą gęstą trawą równina, niewielki, nagi pagórek, na którym stało dwóch szyldwachów angielskich, rozmawiających tak głośno, że każde słowo ich rozmowy dochodziło wyraźnie do uszu ukrytego w trawie młodego Francuza.

— Ej, Tomie! — mówił jeden z szyldwachów, wysoki, kościsty drab, — zdaje mi się, że na jutro przygotowują nam rozkaz do wymarszu.

Tom skrzywił się z niezadowoleniem.

— Do diabła, Harry, nie żartuj sobie z naszych rozklekotanych kości. Parę dni z rzędu biegliśmy tu jak gończe psy, i nawet wypocząć nie dadzą.

— Mam takie przecucie! — odparł Harry. — John, usługujący generałowi, zapewniał mnie, że jutro mamy wyruszyć. Podobno wczoraj otrzymano wiarogodną wiadomość, iż ten przeklęty Botha znajduje się niedaleko. Jeden z naszych szpiegów widział dziś jego ludzi, obozujących nad rzeką Wet.

— Masz tobie!... Nie daj Boże spotkać się z tymi djabłami! Podobno umieją oni zamawiać swoje kule, to też żadna nie chybia. Opowiadał mi to jeden z ułanów majora Colville'a. I sami są zaczarowani od stóp do głowy. Nawet ogień się ich nie ima. Dziś rano ułani polowali na tego, tego największego z pośród nich Belzebuba... jakże on się nazywa?...

— A... Łamigłowa!

Leżący w trawie Grandière, słysząc swoje przezwisko, uśmiechnął się ironicznie i ostrożnie począł okrążać pagórek, posuwając się ciągle w ten sam sposób.

— Co za głupia taktyka — mówił do siebie — stawiać strażę na odkrytem, wyniosłem miejscu. Najlichszy dowódca boerski ustawiłby szyldwachów w miejscu jaknajmniej widocznem i ukryłby ich w trawie, aby mogli widzieć wszystko do koła, nie będąc widzianymi. Szyldwach boerski nie gawędziłby na posterunku, lecz patrzył uważnie dokoła. Paweł, na przykład, zrozumiałby odrazu, czemu tu trawa, którą rozgarniam w tej chwili, porusza się nie w stronę wiatru.

Łamigłowa minął wreszcie linję strazy i po kilku minutach mniej ostrożnego już i szybszego pełzania, ujrzał przed sobą nagi, piaszczysty pas ziemi, oddzielający równinę od rzędu pagórków, na których rozłożył się gwarny obóz nieprzyjacielski.

Teraz stanął na nogi, oczyścił naprędce ubranie z kurzu i piasku i rażnym krokiem śmiało ruszył w sam środek bielejących namiotów.

Niektórzy ze spotkanych żołnierzy spoglądali na nieznaną twarz ciekawie, większość jednak nie zwracała uwagi na nowego przybysza. Tymczasem słońce zaszło i mrok począł zapadać szybko, jak zwykle w tym kraju. Jan bez żadnej przeszkody mógł przyjrzeć się stojącym na usypanych pośpiesznie szanicach baterjom, policzyć ilość dział, sprawdzić ich kaliber, przejść wzdłuż i wszerz cały obóz, obliczyć liczbę ludzi, która wynosiła podług jego rachunku 10,000, zajrzeć do stajni, obliczyć wozy z prowizją, stada wołów i owiec.

Wiadomości te tymczasem były dostateczne, i Łamiągłowa, obiecując sobie powrócić tu przy pierwszej sposobności, począł myśleć o wydostaniu się z obozu.

Powracać w ten sam sposób, w jaki się tu dostał, Jan nie chciał. Zresztą pragnął tego samego wieczoru dostać się po za rzekę Wet, czego pierw nie mógłby za żadną cenę dokonać. Wiedział przytem, że z nadejściem nocy, gromady, chciwych łupu, żołnierzy wymkną się z obozu i przebiegać zaczną okolice, rabując, co się da i obdzierając trupy własnych towarzyszków.

Wpaść im w ręce, znaczyłoby to zawisnąć tej samej jeszcze nocy na najbliższym drzewie, a do sznura Łamiągłowa czuł wstręt niezwykły od ostatniej przygody z Russelem.

Pozostawało jedno. Dostać jakimkolwiekby sposobem konia i umknąć na złamanie karku w ciemną przestrzeń.

Grandière śmiało wszedł do najbliższej stajni i powiódłszy okiem po stojących tam koniach, wybrał jednego, silnie zbudowanego karego ogiera, który, grzebiąc niecierpliwie kopytem, rzucał dokoła pełne ognia spojrzenia. Zapewne byłoby przezorniej osiodłać go, założyć silny munsztuk, ale na to nie było czasu, gdyż uprząż wisiała na drugim końcu stajni, gdzie kręciło się kilku ludzi.

Grandière krótko się wahał. Podszedł śmiało do konia, zdjął z kółka łańcuch i klepiąc zgrabną szyję zwierzęcia, obrócił je głową ku drzwiom. Jeden z stajennych, usłyszawszy brzęk łańcucha i stuk kopyt, zwrocił się w tę stronę i widząc, co się dzieje, zawołał tonem przestrogi:

— Hej, towarzyszu! Co robisz... Omyliłeś się zapewne, to ogier kapitana Hamingtona, dzika, głupia i uparta bestja.

Grandière ani myślał odpowiadać. Jednym skokiem był już na grzbiecie konia, ścisnął go mocno kolanami i uderzył pięścią po zadzie.

Koń przysiadł na tylnych nogach, potem zerwał się i począł się rzucać wściekle po klatce, trwożąc wszystkie konie i ludzi.

Hałas zwrócił uwagę ogólną na niefortunnego jeźdźcę, który, chcąc utrzymać równowagę, to chwycił się grzywy, to sięgał do brzękającego u szyi rumaka łańcucha. Nagle, gdy pochylił się nieco, aby uchwycić łańcuch, ogier stanął dęba i rzucił się w bok, a Łamigłowa runął, jak długi, na ziemię. Chwilę leżał, ogłuszony gwałtownym upadkiem, lecz wnet się zerwał. Podczas walki z koniem, zgubił kask, tak że stajenni, którzy nadbiegli tymczasem, mogli dobrze widzieć jego twarz młodą.

— A to kto? — zawołał jeden — to jakiś obcy. Co on tu robi, ten smarkacz, ten żółtodzióbek?...

Ostatnie słowo podziałało na Łamigłową, jak iskra elektryczna.

— Jestem poznany! — pomyślał.

— Drugi stajenny pochwycił wiszącą na słupie szablę i rzucił się na intruza. Łamigłowa, ze zwykłą zimną krwią, nachylił się, uderzeniem głowy w brzuch zwałił na ziemię napastnika i wypadł ze stajni.

— Do broni! — rozległ się głos ze stajni.

— Do broni! — powtórzyły głosy ze wszystkich stron.

Zbudzeni ze snu żołnierze, klnąc i krzycząc biegli ku stajni. Łamigłowa wyslizgnął się im zręcznie i pędził dalej.

Gdy biegł obok kuźni, kowal, który pracował jeszcze, upuścił sztabę rozpalonego żelaza i z podniesionym młotem zabiegł drogę uciekającemu. Łamigłowa zręcznym ruchem umknął przed ciosem, który byłby mu strzaskał czaszkę i w ten sam sposób, jak stajennego, zwałił z nóg kowala.

Hałas i wrzawa stawały się coraz głośniejsze. Zewsząd rozlegały się okrzyki:

— Bacność! Do broni!

Żołnierze wysypywali się z namiotów, jak pszczoły z ulów. Każdy zapytywał, każdy odpowiadał, niewiedząc, co się dzieje. Jeden, widocznie pod wrażeniem snu, lub może wisky, ryknął:

— Boerzy!

— Łamigłowa podchwycił okrzyk i pędził naprzód, wołając, co sił:

— Boerzy!.. Boerzy!...

Zupełnie jak złodziej, który chcąc zmylić pogoń, woła uciekając: Złodziej, trzymajcie złodzieja!

Fortel okazał się dobry, choć na krótko; o tyle przynajmniej, że żołnierze w popłochu wielkim, nie poznając się w słabem świetle ogni biwakowych, poczęli strzelać do siebie wzajemnie. Wściekłe okrzyki, nawoływania, głosy komendy, wystrzały — wszystko się mieszało w jeden straszny chaos. Poczęto zabijać się i mordować w popłochu. Ale nieprzyjaciela nie było nigdzie, popłoch i zamieszanie nie mogły trwać długo. Uciekający był osaczany coraz więcej. Jeszcze czas jakiś umykał zręcznie, prześlizgując się między namiotami, wreszcie przeciął mu odwrót duży, szczelnie opięty namiot. Łamigłowa okrążył go, znalazł wejście i wślizgnął się niepostrzeżony pod płótno.

Mała lampka nocna słabo oświetlała wnętrze namiotu. Na stole składanym, obok lampki, stała baterja próżnych butelek, z których unosił się ostry zapach rumu i koniaku. Na słupie bambusowym, podtrzymującym wierzchołek namiotu, wisiał rewolwer i szabla oficerska.

Obok stołu, na niskim łóżku obozowym spał oficer, wyciągnięty na wznak, z zaciśniętymi pięściami, najwidoczniej zwalony z nóg trunkiem.

Profil śpiącego wyraźnie się odcinał na białem tle płótna i Łamigłowa poznał odrazu to niskie, szerokie czoło, krogulczy nos, wystający podbródek i zaciśnięte wargi.

Lekki okrzyk wyrwał się z jego piersi.

— Major Colville!

Śpiącego, którego nie mógł poruszyć zgiełk popłochu w obozie, zbudził dźwięk własnego nazwiska.

Ziewnął głośno, przeciągnął się na łóżku, otworzył oczy i... zdumiony, przerażony oprzytomniał nagle. Zerwał się i sięgając ręką po rewolwer, zawołał:

— Łamigłowa! Zginiesz, lotrze!

Lecz Grandière, szybki jak myśl, prawą ręką chwycił za lufę rewolweru, lewą zaś ścisnął mocno gardło Colville'a.

Major zduszony zaczął się rzucać, chciał krzyknąć na pomoc, lecz z gardła ściśniętego wydobył się tylko charkot stłumiony.

— Milcz! — syknął Łamigłowa — inaczej łeb ci rozbiję!

Ale Anglik, żywiony rozbefem, podlewanym whisky, wyćwiczony we wszelkich sportach, był prawdziwym atletą.

Rzucał się, jak wieloryb, mógł się lada chwila wyrwać z uścisku młodzieniaszka, zawołać o pomoc. Łamigłowa mógł wprawdzie strzaskać mu czaszkę wystrzałem z rewolweru, który zdołał już wyrwać, ale odgłos strzału ściągnąłby setki żołnierzy. Trzeba było szukać innego środka, aby uspokoić przeciwnika. Po chwili wahania Łamigłowa wznosił rękę w górę i rękojeścią rewolweru uderzył z całej siły w głowę Anglika. Ten jęknął tylko cicho i zalał się krwią.

Łamigłowa, nie tracąc chwili czasu, szybko, jak najzręczniejszy oprawca, zakneblował usta majora serwetką, leżącą na stole, związał mu ręce własną jego chustką, nogi skrepował paskiem i mruknął:

— Najtrudniejsze zrobione!

Lecz ktoś nadchodził. Słysząc było ciężkie stąpanie i brzęk ostróg. Łamigłowa zgasił lampkę, ściągnął bez ceremonji Anglika na ziemię, wsunął pod łóżko, a sam położył się na jego miejscu, przykrył kołdrą po same oczy i głośno zachrapał.

Wszedł nieśmiało żołnierz.

— To ja, panie majorze, Billy...

— Idź do djabła — mruknął pod kołdrą Łamigłowa, udając ochryply głos pijanego.

— Panie majorze! alarm w obozie..

Leżący wyciągnął rękę z pod kołdry, namacał but, leżący przy łóżku i puścił go z całej siły w twarz żołnierza.

Obejście się oficerów angielskich ze służbą nie zawsze odznacza się delikatnością. Gentlemanowie mają rękę ciężką, nogę pochopną do kopnięcia.

Uderzony w samą twarz butem uzbrojonym w ostrogę, wierny Billy jęknął cicho i cofnął się, przyciskając ręką szramę, zrobioną ostrzem ostrogi. Po chwili Łamigłowa usłyszał mruczenie za namiotem:

— Oho, rozumiem! Pan major wypił dziś za wiele koniaku francuskiego. Wściekły jest, a rękę ma dziś cięższą, aniżeli zwykle... Chciałbym się stąd raz wydobyć...

— I ja także — rzekł do siebie Łamigłowa, który rozumiał, że niezwykle położenie jego trwało już zbyt długo. A jednak trzeba było uzbroić się w cierpliwość i przywołać cały zapas zimnej krwi.

Zgiełk w obozie powoli się uciszał. Alarm fałszywy wytłumaczono sobie okrzykiem pijanego żołnierza. Obóz ułożył się powtórnie do spoczynku.

Już godzinę Łamigłowa leżał na łóżku majora. Musiała być godzina druga po północy, a przecież przed świtem powinien umknąć z obozu, jeżeli nie chce w nim złożyć na zawsze swych kości. Trzeba umykać.

Tak, umykać, ale jak? Na koniu — nie udało się. Pie szo — straci wiele czasu, ale to jedyny środek prześlizgnięcia się w ciemności.

Łamigłowa słyszał ciągle słaby oddech majora Colville'a.

— Żeby się raz zatknął! — posłał mu niezbyt chrześcijańskie życzenie, chociaż na jego miejscu Paweł Potter nie czekałby na przypadek i z pewnością by dobił leżącego.

Podniósł ostrożnie koldrę, opuścił łóżko i unikając potrącenia o cośkolwiek, dostał się do wyjścia. Na dworze odetchnął, lecz zaledwie zrobił dwa kroki, uderzył nogą o przeszkodę i potknął się. W tej samej chwili zerwał się człowiek leżący przed namiotem i krzyknął co sił:

— *God by!* złodziej wychodzi z namiotu pana majora...

— Był to wierny Billy, który jak pies zbity, siedział przed namiotem pana.

Uchwycił Łamigłową za poję mundura, który szarpał się wściekle, i począł głośno krzyczeć:

— Złodziej, złodziej! Baczność!

Znów alarm. Biedny Łamigłowa.

VI.

Billy wziął rzeczywiście Łamigłową, wychodzącego z namiotu majora, za złodzieja i rzucił się nań z zaciętością doga.

Łamigłowa, który, potknąwszy się o leżącego człowieka, upadł na niego, napróżno starał się wyrwać. Billy trzymał go, rycząc jak tur i wzywając pomocy. Łamigłowa uderzył go z całej siły w głowę, lecz Billy przyzwyczajony przez przez majora do rozmaitych ciosów, utrzymał się na nogach i nie puszczał zdobyczy.

Łamigłowa szarpał się wściekle — lada chwila mogli nadbiedz ludzie. Nagle nieszczęśliwa myśl przyszła do głowy Billy'emu. Trzymając mocno Łamigłową, przysunął swą twarz blisko do twarzy schwytanego, chcąc poznać złodzieja. Z tej sposobności skorzystał Łamigłowa i rozstawiwszy dwa palce w kształcie litery V, uderzył nimi w wytrzeszczone oczy żołnierza.

Był to cios straszny, jakby uderzenie widelcem.

Wierny Billy uczuł ból wściekły, puścił jeńca, padł na ziemię i oślepiiony zwinął się w kłębek, wydając przeraźliwe okrzyki.

Łamigłowa był nareszcie wolny, ale zewsząd już nadbiegali ludzie. Na szczęście uwagę nadbiegających zwrócił przedewszystkiem jęczący, Billy, który jednak, zapominając o sobie, wołał głośno:

— Spieszcie do namiotu... W namiocie pana majora... złodziej... morderca...

Część żołnierzy rozpoczęła pościg za uciekającym Łamigłową, reszta rzuciła się do namiotu. Po chwili, znaleziono pod łóżkiem majora, na pół-żywego, z twarzą zbroczoną krwią, ale zupełnie przytomnego.

Uwolniony od knebla i z więzów, począł natychmiast ryczeć:

— Łamigłowa!.. Gdzie Łamigłowa?

Nikt nie odpowiadał, nikt nie rozumiał zapytania. Żołnierze patrzyli na majora, jak na pijanego, lub na warjata:

— Łotry, łajdaki, bydlę! Mówię wam, że Łamigłowa jest w obozie.

Schwycił szablę, wypadł przed namiot i począł krzyczeć:

— Łamigłowa... trzymajcie Łamigłową... Tysiąc funtów dostanie, kto go pochwyti...

Imię Łamigłowa było bardzo popularne u Anglików. Imię to, podchwycone przez dziesiątek żołnierzy, powtórzone przez setki, wnet rozległo się po całym obozie:

— Łamigłowa jest w obozie!... Tysiąc funtów za Łamigłowę!...

Tymczasem Łamigłowa biegł na oślep, wołając razem z innymi, a nawet głośniejsze od innych. To mu pomogło, przynajmniej na chwilę, gdyż, będąc z gołą głową, w odzieży nieco zmiętej i poszarpanej łatwo mógł być poznany, jako nienależący do szeregów angielskich.

Aby odwrócić od siebie uwagę, Łamigłowa powziął szaloną, godną siebie, myśl.

W samym środku obozu strzeżonego przez podwójny łańcuch pikiet, czujność była osłabiona, zwłaszcza po całym dniu pospiesznego pochodu i po alarmach, jakie już przerwały sen, upadającym ze znużenia, ludziom. A tam właśnie stały konie artyleryjskie, uwiązane w ten sposób, że same uwolnić się nie mogły, ale człowiek mógł to zrobić w jednej chwili. Zbliżyć się do nich było łatwo, bez wzbudzenia podejrzeń dozoruujących, niezbyt licznych i zaspanych.

Z tego właśnie skorzystał Łamigłowa. W przeciągu minuty, narażając się na stratowanie, odwiązał ze trzydzieści koni, które, szczęśliwe z odzyskanej swobody, parszając, rozbiegły się we wszystkich kierunkach, roztrącając żołnierzy, wołających: „Łamigłowa!“

Popłoch stał się straszny. Konie wpadały na namioty, tratowały ludzi, przewracały się. Artylerzyści rozbiegli się za końmi, zostawiając armaty bez dozoru. Wprawdzie na krótko, ale z tego czasu potrafił skorzystać Łamigłowa. Przypomniał sobie o zwitku bawełny strzelniczej, ukrytej pod mundurem, zdartym z ułana i o strasznej sile tej materji wybuchowej. Wydobył zwitek, podzielił go na trzy części i każdą wtłoczył w mechanizm jednego działa. Potem zapalił je i umknął co sił.

— Szkoda, że nie mam więcej — myślał, uciekając.

Potrójny huk nagle wstrząsnął powietrzem. Rozległ się trzask pękającego metalu, krzyki i przekleństwa ludzkie. Trzy działa stoczyły się z lawet i legły na piasku.

Teraz już cały obóz zerwał się na nogi. Żołnierze przeżeni, wściekli, chwyтали za broń, biegli przed siebie, krzyżując i powiększając popłoch.

Jedni gromadzili się dokoła zniszczonych dział, drudzy popędzili za oszalałemi końmi, inni znów otoczyli majora Colville'a, który, pieniać się, ryczał.

— Łamigłowa!... Mówię wam, że w obozie jest Łamigłowa... Tysiąc funtów dostanie, kto go schwyta.

Nikt mu nie wierzył. W popłochu zapomniano o Łamigłowie, który nie tracił czasu na próżno. Na szczęście znalazł zgubiony przez żołnierza kapelus, włożył go i szedł śmiało naprzód. Ta śmiałość właśnie, chód pewny, wygląd i mundur żołnierski ułatwiały mu przejście obozu.

Przechodząc obok szynkowni żołnierskiej, kantyny obozowej, powziął myśl nową. Wszedł do szynkowni z miną człowieka, który czuje pełne kieszenie, to też szynkarz spojrział nań mile.

Łamigłowa zażądał sześć butelek najlepszej whisky. Szynkarz, rodowity Wallijczyk, mówiący angielszczyzną nie lepszą od tej, jakiej używał Łamigłowa, nie miał żadnych podejrzeń, kazał sobie jednak dobrze zapłacić, może ze względu na późną porę. Łamigłowa zapłacił chętnie, nie targując się, kazał tylko dać sobie torebkę, w której mógłby, jak mówił, zanieść butelki towarzyszom, będącym na służbie. Zapłacił suto za whisky i za torbę, i wyszedł mrużąc:

— Naszym kanadyjczykom chce się pić, trzeba im zanieść...

— O tak. Kanadyjczycy zawsze mają pragnienie — potwierdził szynkarz.

Niedaleko od szynkowni patrol zatrzymał Łamigłowę. Francuz podał kapralowi butelkę, mówiąc:

— Pewnie i koledzy napiją się z chęcią... Nie wypijcie, kapralu, wszystkiego...

Kapral się uśmiechnął, przyłożył butelkę do ust, wypił połowę i resztę oddał podkomendnym.

Anglicy są bardzo wyrozumiali dla pijaków, o ile nie wchodzi w grę pewna doza zazdrości człowieka jeszcze trzeźwego względem tego, który już się napił.

To też żołnierze poczęli szemrać, uważając się za pokrzywdzonych. Łamigłowa, widząc ich miny groźne, i obawiając się następstw, musiał poświęcić drugą butelkę. Pozostało mu tylko cztery. Zadrżał na myśl, że może jeszcze spotkać drugi patrol, również spragniony.

Na szczęście, nie spotkał dalej nikogo. Tymczasem na horyzoncie ukazał się słaby brzask dnia.

— Do licha, czas wielki stąd się wydostać — mruczał Łamigłowa.

Zrobił naprzód jeszcze z pięćdziesiąt kroków, gdy nagle przed nim odezwał się głos z rowu:

— Kto idzie?

Łamigłowa bez namysłu odpowiedział:

— Wisky!

Odpowiedź ta była bardzo wymowna dla wartownika angielskiego, zwłaszcza o godzinie czwartej rano, i to podczas chłodnej nocy.

— Hasło! — odparł jednak głos, zdradzający akcent irlandzki.

Łamigłowie stale sprzyjało szczęście. Irlandczycy, najwaleczniejsi żołnierze połączonych królestw, są zarazem najzawziętymi pijakami.

Francuz dojrzał dwie głowy w rowie, zbliżył się więc, trzymając w każdej ręce odkorkowaną butelkę, i podając je Irlandczykom.

— Hasło?... Mówię przecież, że whisky! — odparł głosem pijackim, przerywanym czkawką.

— Arrah, beyorah! — zaklął jeden z Irlandczyków, — mówisz, jak z książki, i jesteś najlepszym żołnierzem armii jej królewskiej mości! Zdrowie twoje, braciszku!

Łamigłowa wyciągnął trzecią butelkę i trąciwszy się o dwie poprzednie, odparł:

— Zdrowie wasze, koledzy.

Irlandczycy przypięli się do butelek, przechylili w tył głowy i pili... pili... Butelki zostały do połowy wypróżnione. Płomień wystąpił na policzki Irlandczyków. Młasnęli obaj językami.

Jeszcze jeden haust i butelki zostały opróżnione.

Tymczasem Łamigłowa, udając pijanego, przewrócił się na ziemię, mrużąc niezrozumiale. Irlandczycy zaśmieli się głośno.

— Ten już ma dość! Ale jego butelka zapewne jest próżna... Trzeba zobaczyć!

Jeden z żołnierzy wyszedł z rowu i wyjął butelkę z ręki Łamigłowy. Wypił połowę zawartości, resztę podał koledze.

— Teraz — rzekł, oddychając głęboko — będziemy mogli spać tak smacznie, jak nasz zacny fundator...

— Djabła tam! — odparł drugi — za dziesięć minut zmiana warty. Sprobuj zasnąć, a obudzisz się z kawałkiem ołowiu we łbie...

Łamigłowa drgnął, słysząc te słowa.

— Do licha, dziesięć minut! Trzeba zmykać!...

Podniósł się ciężko i począł szukać butelki. Mruczał, potykał się i klął przerywanym przez czkawkę głosem:

— Goddam!... gdzież moja butelka?... uciekła... aha, widzę ją... zmyka... tam... Czeka! przekłeta! chodź tu.. albo ja pójdę po ciebie... Nie chcesz... dobrze... przecież chyba... człowiek dogoni butelkę...

Przewracając się i podnosząc, przelazł przez rów, na dnie którego zanosili się od śmiechu obaj Irlandczycy. Pomysł pijacki pogoni za butelką tak ich rozbawił, że nie zauważyli wcale, że nieznajomy potoczył się w kierunku, przeciwnym do obozu, że następnie przestał się potykać i zataczać i oddalał się pewnym, śpiesznym krokiem.

Niebo na wschodzie bladeo coraz bardziej. Można już było rozróżnić niektóre przedmioty. Łamigłowa przyspieszył kroku. Nagle szybki tentent konia rozległ się za nim i gruby głos zawołał po angielsku:

— Stój! Kto idzie?!

Biedny Łamigłowa musiał dalej udawać pijanego. Wyjął z torby ostatnią butelkę i trzymał ją na pogotowiu.

Kawalerzysta dopędził go. Był to ułan.

— Kto idzie? — powtórzył ostro. — Co tu robisz?

— Wypiłem trochę... i spaceruję.. Jeżeli chce ci się pić... to masz tu butelkę... nie jestem egoista...

Ułan, widząc człowieka bezbronnego, uśmiechnął się, opuścił lancę, przyłożył do ust butelkę i począł pić. Łamigłowa tymczasem ujął nieznacznie lewą ręką za uzdę konia, drugą zaś sięgnął do kieszeni.

Ułan napił się, odsapnął i mówił już łagodniej:

— Zdaleko spacerujesz... co tu robisz?

— Tak... — mamrotał Łamigłowa — prawda, że... daleko... Dziwna rzecz... że obóz może być... tak... daleko... Zresztą... pal djabli... wszystko mi jedno...

— Dość tego — zawołał znów groźniej ułan. — Pójdzies z mną...

— Ani... myślę... wypilem... spaceruję, zresztą, nie jestem na służbie...

— Wszystko mi jedno. Mam rozkaz odprowadzić do obozu każdego, kto wychodzi lub wchodzi, albo... go zabić... No, marsz ze mną!

Rzucił na ziemię butelkę, którą dotychczas trzymał w rękę i chwycił lancę. Lecz prędeż jeszcze, szybki jak myśl, Łamigłowa wyciągnął z kieszeni rewolwer lewą ręką i strzelił do ułana. Trafiony prosto w oko, ułan zwałił się z konia, bez jęku, bez najmniejszego ruchu. Koń szarpnął się, lecz Łamigłowa utrzymał go silną ręką. Z dali słychać było tentent koni nadbiegających sąsiednich placówek, zaalarmowanych odgłosem wystrzału.

W jednej chwili Łamigłowa siedział już na siodle konia ułańskiego i pędził, co sił starczy.

Ułani puścili się w pogoń, lecz, przebiegwszy pięćset metrów, spostrzegli, że zbiega nie dogonią i zawrócili do obozu. Łamigłowa był ocalony!

VII.

Łamigłowa dotarł wreszcie do generała Bothy. Był wielki czas. Generał potrzebował koniecznie wiadomości, a młody Francuz przyniósł je pewne, świeże i dokładne.

Objaśniony przez dzielnego kapitana Żółtodzióbków, Botha zdołał uniknąć manewrów lorda Robertsa. Napróżno piechota, wsadzona na konie, kawalerja i artylerja angielska zatoczyły ogromne koło, aby w niem zamknąć Boerów. Botha zwinął tabor i bez wahania opuścił wysmienitą pozycję pomiędzy Winburgiem a koleją żelazną, i olbrzymie szczęki, złożone z ludzi, koni i dział zamykając się, znalazły próżnię.

Boerzy poczuli się cofać na całej linii. Mogli umknąć przed nieprzyjacielem, ale nie mogli go wstrzymać. Anglicy, dziesięćkroć liczniejsi, parli i odrzucali nieprzyjaciela na północ.

Boerzy, wypierani z Oranji, cofali się, nie pozostawiając w ręku nieprzyjaciela ani jednego człowieka, ani jednego konia, ani jednego furgonu. Anglicy opłacali drogo swe powodzenia, które zawdzięczali jedynie swej liczebnej przewadze. Nie było dnia, aby nieuchwytni Boerzy nie zadali wojskom angielskim klęski dotkliwej nie tylko dla ich miłości własnej, ale przynoszącej wielkie straty. Porwanie straży, patrolu, zniknięcie placówki, rozbiecie mniejszych oddziałów angielskich — było rzeczą najzwyczajszą.

Każdy kęs ziemi, każda skała, każde drzewo, każdy dom był broniony przez niewidzialnego przeciwnika, który o każdym poruszeniu najeźdźców był jaknajlepiej poinformowany przez kobiety i dzieci, które pozostały same w fermach.

Ta walka z nieprzyjacielem, który był wszędzie — a nigdzie go znaleźć nie było można, doprowadzała do wściekłości całą armję angielską, począwszy od generalissimusa aż do ostatniego piechura.

Postanowiono działać grozą i postrachem. Za dostarczenie Boerowi pod bronią schronienia, żywności, wiadomości nałożono ogromne kary pieniężne. Ponieważ kar nikt nie płacił, zamieniano je na wygnanie.

Wszystko było napróżno.

Wtedy głównodowodzący armję nie zawahał się przedsięwziąć środków, których okrucieństwo okryło hańbą wielki naród i wywołało oburzenie całego świata cywilizowanego.

Wódz angielski uznał miłość kraju i wolności za wielką zbrodnię... Z Londynu, ze wszystkich kolonji rozległ się jeden okrzyk: „trzeba skończyć raz, trzeba skończyć za jaką-bądź cenę“!

Tylko Boerzy się na to nie zgadzali.

I party głosem opinji, ambicją własną, żołnierz niezawahał się zostać mordercą.

Lord Roberts swą świetną przeszłość splamił szeregiem okrutnych rozkazów dziennych. Nie mogąc przełamać uporu Boerów, stary Bob kazał armji pozostawić za sobą pustynię — wyludniać domy, fermy, wioski i miasta, po złupieniu spalić i zrównać z ziemią.

Mieszkańcy — kobiety, dzieci i starcy wypędzani bez litości, błakali się po polach bez odzieży, bez żywności, padając ze znużenia i głodu. Byli jednak tacy, którzy nie chcieli opuszczać miejsc, gdzie przyszli na świat, gdzie kochali, cierpieli i pracowali, a to liczono im za straszną zbrodnię i karano śmiercią.

Znaleźli się oficerowie angielscy, którzy skwapliwie poczęli wykonywać rozkazy. Ci Anglicy, szczycący się swym liberalizmem, ludzkością, cywilizacją — nie czując żadnego hamulca, pokazali, do czego są zdolni.

Jednym z najokrutniejszych i najzawziętszych, prawdziwym człowiekiem-zwierzęciem — był major Colville. Piłak nałogowy, człowiek gwałtowny i nieokrzesany, zdobył sobie wkrótce ohydną sławę, jaka później stała się udziałem smutnej pamięci ochotników generała Brabanta.

Ułani Colville'a szli w przedniej straży głównych sił armji angielskiej, prowadząc z zamiłowaniem dzieło zniszczenia. Gdzie oni przeszli, tam nie pozostały nawet drzewa.

Wtargnęli właśnie do kraju pomiędzy Reitzburgiem, Vredefortem a linią kolei żelaznej, prowadzącej z Bloemfontein do Pretorji. Boerzy, ściśnięci na granicy Oranji, nie mogli przyjść z pomocą ofiarom przemocy.

Colville na czele dwustu ułanów przybył wreszcie do Blesbuck-Fontein. Była to ferma olbrzymia, zbiorowisko ogromnych budynków, należących do jednego właściciela, a zamieszкана przez dwanaście rodzin.



Łamigłowa rękojeścią rewolweru uderzył z całej siły w głowę Anglika.

W fermie pozostały tylko kobiety i dzieci. Prawda, był jeden mężczyzna — ślepy, prawie stuletni starzec. Prócz niego — byli tylko chłopcy do lat dziesięciu, oraz babki matki, córki i siostry Boerów, stojących pod bronią zdala od zagrody rodzinnej.

...Rozległ się ostry, donośny głos trąbki i zaraz za nim tentent koni kawaleryjskich. Mali chłopcy, zadyszani, wystraszeni, wpadli do wsi, wołając:

— Anglicy, Anglicy! Kaki!

Tuż za nimi, ze szczękiem broni, z głośniami okrzykami, na olbrzymi dziedzińce wtargnęli ułani. Na czele major, mający przy boku sierżanta i dwóch trębaczy.

— Gospodarz! Gdzie gospodarz? — wołał sierżant.

Od drzwi domu, prowadzony przez małą, sześcioletnią, jasnowłosą dziewczynkę, zbliżył się stary Boer.

— Jam tu gospodarz. Czego panowie żądacie?

— Czytaj, sierżancie! — rozkazał sucho major, nie odpowiadając starcowi.

Sierżant wyciągnął z olstra arkusz papieru, rozłożył go i głośno sylabizował:

„W imieniu jej królewskiej mości i na rozkaz jego ekscelencji mylorda Roberta, nakazuje się wszystkim obecnym tu mieszkańcom opuścić tę miejscowość bezzwłocznie. Najmniejszy opór będzie ukarany śmiercią!”

— Macie pięć minut czasu — dodał od siebie podoficer.

Starzec zwrócił twarz w stronę, skąd dochodził głos, czytający okrutny rozkaz. Sądził, że źle słyszał, że nie dobrze rozumiał. Wyciągnął ramiona ruchem pełnym rozpaczy, poruszał bezzębnymi ustami, nie mogąc wymówić słowa.

— Dziadku — odezwało się dziecię — ten człowiek mówi, że musimy stąd odejść...

— Odejść — wyjąkał głosem grobowym starzec.

— Tak, wynosić się natychmiast — potwierdził major z szyderczym śmiechem. — Precz stąd, plemię jaszczurcze, jeśli nie chcecie, abym was upiekł żywcem w tej dziurze!

Gani Włóka

Kobiety rozumiały. Wszystkie prawie opuściły mieszkania, w których się dotąd kryły, i z płaczem głośnym otoczyły żołnierzy, błagając o litość, pokazując małe dzieci, które zginą bez dachu i żywności.

Żołnierze, którym lepiej przystała nazwa bandytów, z szyderczym śmiechem i brutalnymi okrzykami wspinali konie, przewracając i tratując najbliżej stojące kobiety. Jedna z kobiet upadła wraz z dzieckiem. Zerwała się natychmiast lecz dziecka uratować nie zdołała. Koń zmiażdżył prawie kopytem twarzyczkę dziecka. Z piersi kobiet wyrwały się okrzyki bólu i przerażenia, lecz wnet ją zagłuszyły szydercze głosy żołdaków, Matka, oszalała z rozpaczy, z rozpuszczonymi włosami, padła zemdlona obok niewinnej ofiary, wstrząsaną ostatnimi dreszczami konania.

Major spojrzął na zegarek i odezwał się zimnym głosem:
— Macie jeszcze cztery minuty czasu!

Ślepy starzec, kierując się głosem tego, którego z tonu uważał za dowódcę, schylił swą wyniosłą postać i drżącym głosem wyjąkał:

— Gdybym tu był sam... nie prosiłbym o nic... Powiedziałbym... weźcie to stare cielsko i wyrzście na niem swą złość.. Ale... te kobiety... te dzieci niewinne... W imię ludzkości... w imię Boga Przedwiecznego... oszczędźcie niewinnych...

— Trzy minuty! — przerwał major. — Nie trać, stary, czasu... Rozkaz królowej musi być spełniony...

— Wasza królowa nie może pragnąć zniszczenia i zguby ludzi niewinnych... starców, kobiet i dzieci... Jest kobietą, matką... Litości dla naszych niewiast, dla naszych dzieci!... Nigdy jeszcze przed żadnym człowiekiem nie chyliłem czoła... klękałem tylko przed Bogiem Wszechmocnym... A teraz... panie... błagam cię na klęczkach... odwołuję się do uczucia ludzkości... do honoru żołnierskiego... Ja, ślepy, niepełnoletni starzec błagam o litość...

I szlachetny starzec, przewyciężając swą dumę i miłość własną, padł ciężko na kolana i wyciągnął błagalnie dłonie. Z ciemnych, biednych oczu wytrysnęły wielkie, ciężkie łzy i spłynęły po białej brodzie. Kilku żołnierzy, w któ-

rych sercu uczucie ludzkości nie wygasło jeszcze zupełnie, odwróciło głowy. Większość jednak wybuchnęła brutalnym, szyderczym śmiechem i ordynarnymi kłátwami.

Major nie odpowiadał.

Z całym spokojem wysunął ze strzemięcia lewą nogę, od strony której klęczał starzec i z całej siły kopnął nieczęśliwego w twarz. Rozległo się głuche uderzenie, chrzęst łamanej kości, z nosa i oczu starca rzuciła się krew i padł na ziemię bez ruchu obok martwego dziecięcia.

Okrzyk oburzenia i bólu wydarł się z piersi stojących dokoła kobiet.

— Przekleństwo! zabójcy, mordercy! — odezwały się drżące głosy.

Major Colville rozśmiał się głośno, jak gdyby spotkała go największa przyjemność, spojrział raz jeszcze na zegarek i zawołał głośno:

— Cztery minuty minęły!

Cóż dla tych nieszczęśliwych kobiet, które nie widziały dla siebie żadnego ratunku, znaczyła jedna minuta mniej, lub więcej?!

Blade, drżące, otoczyły jeźdźców, grożąc im pięściami, obrzucając kłátwami.

Żołdacy odpowiadali brutalnym, szyderczym śmiechem i karczemnymi wymysłami.

— Ruszyć-no końmi, rozpędzić te wiedźmy! — ryknął major Colville.

— Hip! hip! hurra! — odpowiedzieli żołnierze i wspięli konie, które runęły w środek wrzaskliwego tłumu kobiet.

Nieszczęśliwe oszalały z trwogi. Jedne padały pod kopyta końskie, tratowane niemiłosiernie, inne rzuciły się do ucieczki, unosząc dzieci, krzyczące przeraźliwie.

— Lance do ataku! — zakomenderował znów major, dobywając szabli. — Naspikujcie no te stare maciory i to stado prosiąt! *God by!* Przypomnicie sobie *klutą świnkę!*

Ułani posłuchali z radością haniebnego rozkazu i rzucili się na kobiety z lancami, krzycząc:

— Hurra! Hurra!... *Kłuta świnka!* Kłuta świnka!...

Kłęczący dotąd na ziemi starzec, z zakrwawioną twarzą, plując krwią, podniósł się z wysiłkiem, stanął na drżących nogach i głosem strasznym zawołał:

— Podli, podli zbrojcy!... Bądźcie przeklęci!...

W tej chwili właśnie mijał go jadący do ataku wolno major Colville. Wzniósł szablę w górę i wymierzył starcowi straszny cios. Ciężkie żelazo, prowadzone ręką atlety, spadło na głowę jak topór rzeźniczy i przecięło ją na pół, do samych ust.

Ślepiec padł, jak rażony gromem.

— Goddam! co za cięcie wspaniałe! — zawołał z zachwytem pierwszy porucznik, galopujący obok nikczemnego dowódcy.

— I szabla ciężka — odparł skromnie major, zadowolony z pochwały.

Ułani uganiiali się za kobietami, kłując je ostrzami lanc. Zapach krwi i żądza mordy upoiła ich bardziej, aniżeli kiedykolwiek whisky. Nie zadowalniali się samem zabijaniem, mordowali okrutnie.

Jedna z pierwszych padła żona starego Boera z piersią rozdartą pchnięciem lancy. Sierżant spostrzegł małą jasnowłosą dziewczynkę, która służyła za przewodniczkę ślepcowi, skierował ku niej konia i pchnął ją lekko lancą. Dziecko z rozdierającym krzykiem chwyciło rączkami za grot, rozdzierający mu wnętrzności. Sierżant, rozkoszując się podłym mordem, pchnął silniej, przeszył dziewczynkę na wylot i wyciągnął nazad dymiące ciepłą krwią ostrze. Dziewczynka padła na ziemię, drgając konwulsyjnie...

Co chwila padała jedna z kobiet, rozdzielana i dziurawiona pchnięciami tak umiejętnymi, że nie zabijały od razu a dowodziły wielkiej zręczności katów.

Wszystkie kobiety leżały już martwe lub konające. Ciała ich pławiły się w czerwonych strumieniach krwi, na której ślizgały się konie.

Pozostała już tylko garstka dzieci, oszalałych z przerażenia, zbitych w jedną ciasną gromadkę.

— Hej, wykluć prosięta! — rozległ się głos dowódcy.

Jeszcze jeden straszny, nieludzki atak. Już ostatni. Wszystkie dzieci podzieliły los matek. Pogrom wroga skończony.

Jeden z ułanów, na znak zwycięstwa wznosił w górę na ostrzu lancy drgające ciało nowonarodzonego dziecka...

Boże! Czyż takie okrucieństwo ma pozostać bezkarne? Czy nie wstanie mściciel straszny, a sprawiedliwy?

Major Colville z rozpromienioną twarzą odetchnął głęboko, schował szablę do pochwy i rzucił trębaczom rozkaz:
— Zatrąbić zbór!

Na dźwięk trąbki dzielni wojacy zebrali się ze wszystkich stron i stanęli w szyku, czekając nowych rozkazów.

— Teraz, chłopcy — mówił donośnym głosem major — możecie zrobić sobie ładny tajerwerk... Puście z dymem tę kupę kurników... Spalić mi wszystko... Marsz!

Po mordzie — pożar. Dla tej bandy rozbójniczej było to logiczne powiązanie wypadków. Anglicy byli tak pewni bezpieczeństwa, że nie zostawili nawet po za fermą szyldwachów. Cały szwadron zebrął się na podwórzu, aby wziąć udział w zabawie.

— Hurra, niech żyje nasz major! — ryknął sierżant. — Naprzód chłopcy, do roboty...

Huk wystrzału zagłuszył ostatnie słowa sierżanta. Pośskoczył na koniu, zachwiał się i spadł ciężko głową w dół.

Czyby to przybyli mściciele! Zjawili się zapóźno na obronę, ale dość jeszcze wcześniej dla pomsty...

Po pierwszym, pojedynczym strzale natychmiast zagrzmiały salwy zbiorowe raz, drugi i trzeci.

Wprawnem uchem starzy żołdacy poznali odrazu, że mają do czynienia z wyborowym żołnierzem. Śmiertelny dreszcz przebiegł Anglików; w szeregach rozległy się jęki, okrzyki bólu i przerażenia.

Okropny popłoch opanował szwadron, zasypywany deszczem kul. Konie stawały dęba, szalały z przerażenia, były zadami. Ludzie, zaskoczeni w ściśniętych szeregach, nie mieli czasu do ucieczki.

Długi rząd luf karabinowych ukazał się nad murem ogrodzenia, na wprost dziesiątkowanego szwadronu.

— Żeby ani jeden z tych bandytów nie wyszedł żywym — zawołał młody, donośny głos, drgający gniewem i oburzeniem.

— Ognia!

Rozpoczęła się znowu straszna, nielitościwa, mordercza strzelanina. Boerów było około stu, dzielnych strzelców, z których żaden nie zmarnował ani jednej kuli i dla których każdy spostrzeżony nieprzyjaciel był już trupem.

Kilku ułanów, którzy cudem pozostali jeszcze przy życiu, puściło się cwałem do koła dziedzińca, szukając wyjścia. We wrotach ujrzeni potrójny szereg karabinów.

— Ognia! — zawołał ten sam głos młody.

Karabiny mauserowskie zagrzmiały po raz ostatni. Pozostali przy życiu ułani padli pod gradem kul, w pełnym biegu.

Oddział bandytów Colville'a przestał istnieć.

Około dwudziestu młodzieńców, prawie dzieci jeszcze, w rodzaju straży przedniej, wtargnęło na dziedzińiec. Reszta Boerów, stanowiąca główne siły oddziału, pozostała roztropnie po za ogrodzeniem. Przednia straż zatrzymała się w miejscu, gdzie się znajdował szwadron, przed pierwszą salwą nieprzyjacielską.

Obok sierżanta i dwóch trębaczy leżał w kałuży krwi major Colville, z piersią przestreloną. Od czasu do czasu otwierał usta, wypluwając krew, jęcząc i klnąc.

Poznał dowódcę i głosem przerywanym przez czkawkę, zawołał:

— Łamigłowa!... Bądź przeklęty... zabójco...

— Tak, majorze Colville — odparł Francuz — to ja, Łamigłowa! Jako człowiek honoru, dotrzymałem słowa. Przyśiągłem pomścić śmierć Dawida Pottera...

— To ty, psie angielski, zamordowałeś mego ojca — przerwał Paweł Potter, zbliżając się z twarzą pobladałą do rabusia, który patrzył nań wyzywająco.

Łamigłowa mówił dalej.

— Nikezemni sędziowie, którzy skazali niewinnie Dawida Pottera, legli z naszej ręki. Pułkownik książę Richmond,

kapitanowie Russel, Harden i Adams nie żyją... ty, majorze, masz najwyżej minutę życia...

— To wam... nie przejdzie... na sucho... Zaraz nadejdą... główne siły... zapłacicie za wszystko... — jękał major.

Nędznik liczył na wspaniałomyślność szlachetnych nieprzyjaciół, litościwych dla rannych.

— Zaraz zobaczymy! — odparł głuchym głosem Paweł Potter.

Z zimną krwią, z całym spokojem, lecz bez cienia wahania przyłożył lufę karabinu do czoła majora i dał ognia.

Z roztrzaskanej czaszki roztrysnął się mózg na wszystkie strony.

— Psie życie—psia śmierć! — rzekł sentencjonalnie Fanford. Była to mowa pogrzebowa nad zwłokami oficera angielskiego.

Nagle z poza ogrodzenia dał się słyszeć głos:

— Baczność!... Nieprzyjacieli!

Młodzięncy opuścili pospiesznie fermę, żałując, że czas nie pozwala im zająć się pochowaniem zwłok niewinnych ofiar zwierzęcego okrucieństwa Anglików.

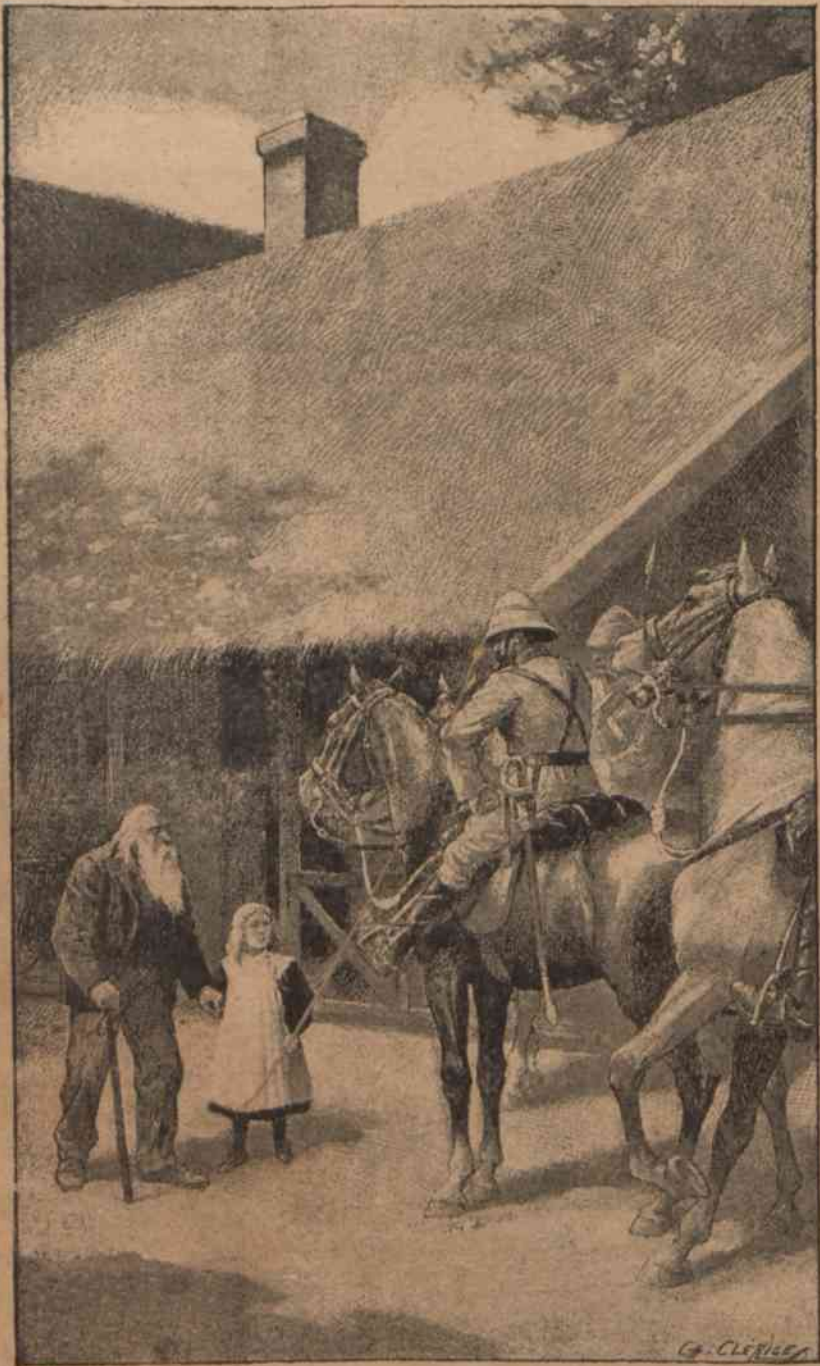
Połączyli się z towarzyszymi, którzy już tymczasem dosiedli koni i pomknęli razem, ustępując przed zbliżającą się armją.

VIII.

Niespodziane, choć na nieszczęście, zbyt późne przybycie oddziału Łamigłowy do Blesbuck-Fontein, nie było rzeczą nadzwyczajną.

Dzielni chłopcy stanowili przednią straż małej armji generała Bothy, jak ułani poprzedzali główne siły starego marszałka. Spotkanie dwóch oddziałów było rzeczą naturalną.

Dla Boerów rekonesans powiódł się, jak nie można było lepiej, z punktu widzenia żołnierskiego. Szwadron ułanów



— Jam tu gospodarzem — odparł ślepy starzec.

został zniesiony; ruchy armji angielskiej zdradzone. Botha, zawiadomiony natychmiast przedsięwzięcie środki niezbędne w celu obrony.

Z drugiej strony — znenawidzony dowódca ułanów, major Colville zabity, Dawid Potter pomszczony. Ostatni z morderców poniósł karę. A jednak syn pomszczonej ofiary nie radował się uczuciem zemsty spełnionej, pozostał smutny i milczący.

Oddział Łamigłowy, rozpuściwszy lejce, pędził ku rzece Waal. Paweł jechał pomiędzy Łamigłową i Fanfanem, z schyloną nisko głową, milczący i ponury.

Fanfan, uważając, że wszystko idzie dobrze, jechał wesoło, pogwizdując marsza.

Łamigłowa odwracał się co chwila i patrzył po za siebie. Ciemna linja wojsk angielskich zbliżała się coraz bardziej, zajmując dolinę.

— Do kroćset! — mruczał Francuz. — Będzie gorąco!..

Paweł jechał obojętny i obcy wszystkiemu, co się dookoła niego działo. Zadziwiło to Łamigłowę, zagadnął więc młodego Boera.

— Paweł, co ci jest, stary? Otrząśnij się, wkrótce będzie bitwa, słyszysz?

Chłopiec drgnął, spojrział na przyjaciela z wyrazem bólu i tkliwości i odparł:

— Tak... bitwa... będzie to ostatnia...

— Jakto? Co pod tem rozumiesz?

— Tak, ostatnia... przynajmniej dla mnie... gdyż w niej zginę!

— Co za myśl!

— Mam takie przecucie... i ono mnie nie omyli... Czuję w głębi serca, że wszystko się skończyło, że nie zobaczę już pól Transwaalu, tego drogiego kraju, którego bronimy stopa za stopą.. Nie wyjadę już na wyprawę z tobą, drogi, kochany bracie przybrany... nie zobaczę już nikogo ze swoich... nie doczekam tryumfu naszej sprawy.

— Pawle, proszę cię, przestań, nie mów tak... rozdierasz mi serce... A przytem, co za niedorzeczność wierzyć w przecucia...

— Mówię ci, że polegnę—powtórzył chłopiec smutno.— Nigdy jeszcze nie myślałem o czymś podobnym, dopiero teraz, gdy padł ostatni z zabójców mego biednego ojca... Ale teraz — wszystko skończone.

— Nie, nie — przeczył Francuz — porzuć te myśli!

— Śmierci się nie boję — mówił dalej Paweł — oswoiłem się z nią oddawna. . I jeżeli żal mi życia, to tylko dlatego, że wraz zemną ubędzie jedna fuzja w obronie niepodległości... I dobra fuzja, prawda? — dodał chłopiec z naiwną przechwałką.

— Ba! ilu jeszcze „kaki“ wyprawi na tamten świat — wtrącił wesoło Fanfan, chcąc zwrócić rozmowę na weselsze tory.

Paweł nie odpowiedział, lecz spojrzął na paryżanina z takim uczuciem tliwości i smutku w pięknych, błękitnych oczach, że Fanfan uczuł się przejętym do głębi serca.

Szwadron Łamigłowy pędził ciągle co koń wyskoczy na północ. Łamigłowa spostrzegł daleko przed sobą kilku jeźdźców, którzy, na widok zbliżającego się oddziału, zawrócili czemprowadzając ku rzece. Były to placówki Bothy. Pospieшыły do generała, który drżał z niecierpliwości, z wiadomością, że wraca oddział wywiadowczy.

Położenie stawało się coraz groźniejsze. Ścisłe biorąc, Boerzy nie byli zwyciężani w polu, ale zmuszeni byli ustępować krok za krokiem przed przeważającymi siłami, a w rezultacie nieprzyjaciel zajmował coraz większą przestrzeń kraju.

I nareszcie, z bólem serca Botha przyszedł do przekonania, że trzeba będzie opuścić Oranję i pozostawić siostrzaną republikę na pastwę nieprzyjaciela. Chciał jakim bądź kosztem uniknąć tego środka bolesnego, do którego zmuszały go okoliczności. Przeczynał, jakie wrażenie zrobi jego odwrót na patriotach republikańskich i na wojskach królowej.

Ale ostatnie wiadomości, dostarczone przez Łamigłową, odebrały mu resztę złudzeń, jakie mógł zachować dotąd. Wojska angielskie zbliżały się jak przypływ morza. Trzeba było przejść rzekę i bronić przejścia. I to bezwzględnie.

— Odwrót! — zaledwie zdobył się na wymówienie tej komendy.

Z wściekłością w sercu poprowadził armję do brodu.

Na nieszczęście, trafił na jeden z tych nagłych przyborów, który jest w stanie w ciągu paru godzin zmienić kierunek koryta. Bród prawie zniknął. Czy nie za długo zwłoczono?

Tabor posuwał się powoli przez rzekę. Wielkie woły zanurzały się coraz głębiej, po brzuch, po boki, po grzbiety. Wreszcie z spienionych żółtych fal wyglądały tylko nozdrza i wielkie rogi. Zwierzęta straciły grunt pod nogami. Linja furgonów zaczęła się krzywić i łamać.

Krzyk niepokoju i trwogi wyrwał się z piersi strapiionych Boerów. Botha uważał już cały tabor za stracony.

Lecz nie; pierwsze woły dosięgły gruntu, wsparły się na nogach i pociągnęły wozy żwawiej, aniżeli przedtem.

Kłeska, grożąca sprawie republik, została zagrożona. Przejście przez Waal było możliwe, ale gdy w czasie zwykłym nie było rzeczą łatwą, podczas fatalnego wylewu stało się przedsięwzięciem zmułdmem i bardzo trudnem.

Tymczasem nieprzyjaciel zbliżał się z przerażającą szybkością... Stanowczo za długo zwlekano!

Aby zapewnić sobie przejście, trzeba było poświęcić wielu ludzi, wielu dzielnych żołnierzy, którzyby bronili dostępu do brodu i własną pierśią wstrzymali armję angielską.

Przed generałem przechodził właśnie Łamigłowa ze swym oddziałem na koniach jeszcze spienionych po szalonej jeździe.

— Kapitanie Łamigłowo! — zawołał Botha.

— Jestem na rozkazy! — odpowiedział Francuz, wstrzymując konia.

— Kapitanie! — mówił generał głosem przerywanym i nieco drżącym ze wzruszenia, -- potrzebuję ludzi gotowych do najwyższej ofiary.., Ludzi, którzy walczyć będą do ostatniej kropli krwi w żyłach, do ostatniego tchu...

— I liczysz pan na mnie, generale? — zapytał otwarcie Łamigłowa.

— Tak mój drogi! Ciebie, co tyle już uczyniłeś dla naszej sprawy, co oddałeś nam swój majątek, swą dzielność, swą krew — chcę prosić...

— Życie moje do was należy... bierzcie go! Rozkazuj, generale!

— Dzielny młodzieńcze!... Nie znam człowieka równie nieustraszonego i równie bezinteresownego, jak pan... Widzisz pan tę pozycję nad brodem?

— Widzę, generale...

— Wspaniała pozycja i łatwo bardzo ją obronić. Dam panu pięciuset ludzi... czy utrzymasz się tam przez dwie godziny?

— Wystarczy mi dwustu ludzi, abym tylko miał po pięćset ładunków na każdą strzelbę. Będę się bronił przez dwie godziny.

— Dobrze! Dziękuję ci, kapitanie, w imieniu naszej nieszczęśliwej ojczyzny. A teraz, uściśnij mnie!

Łamigłowa rzucił się w objęcia młodego generała i uściskali się, jak dwaj bracia.

— Teraz — rzekł Botha — wybierz sobie dwustu ludzi i ocal armję, ocal Transwaal..

Łamigłowa miał przy sobie około pięćdziesięciu towarzyszy. Trzeba było wybrać jeszcze stu pięćdziesięciu z pomiędzy starszych Boerów.

Na wezwanie stawiło się przeszło tysiąc. Wszyscy lubili dzielnego Francuza i wszyscy poszliby za nim w piekło, Łamigłowa zrobił szybki wybór, zgromadził i ustawił oddział, odebrał żadaną ilość nabożów i skomenderował:

— Naprzód! Marsz!

Pozycja, panująca nad brodem i równiną była oddalona o dziesięć minut drogi. Był to rodzaj skalistego wąwozu, szerokości sześćdziesiąt metrów, z kilkoma zakrętami. Aby utrudnić doń przystęp, należałoby wykonać kilka robót, na co jednak nie pozwalał brak czasu i narzędzi. Łamigłowa postanowił przynajmniej dać osłonę tym strzelcom, którym wypadło miejsce na odkrytej przestrzeni.

Trzeba było znów użyć dynamitu. Pięćdziesiąt nabożów umieszczono przed wejściem do wąwozu, i po pięćdzie-

siąt u obydwóch ścian. Wszystko to zrobiono z nadzwyczajnym pośpiechem.

Przednie straże angielskie zbliżyły się pełnym galopem. Kilka plutonów ułanów i dragonów poprzedzało piechotę konną.

Boerowie, ukryci dobrze w skałach, przyjęli ich należycie i odrazu wstrzymali pierwszy zapęd. Trzydziestu ludzi i kilkanaście koni padło na ziemię. Początek był dobry, a przytem zyskano kilka minut.

Jako ludzie rostopni i posiadający zimną krew, Boerowie oszczędzali naboju. Ale ogień słabo podtrzymywany bywa często zabójczym.

Nagle ziemia zadrżała. Gęsty obłok dymu białego zmieszanego z czerwonym piaskiem wznosił się w górę i spadł w stronę Anglików ulewą żwiru i kamieni. Nastąpiła cała serja wybuchów. W kilka sekund wąż został przecięty głębokim nieregularnym rowem, ciągnącym się od jednej ściany wężu do drugiej, a oszańcowanym szczątkami skal, które stanowić mogły ochronę dostateczną dla dzielnych straceńców.

Łamigłowa skoczył naprzód z oddziałem, złożonym z sześćdziesięciu ludzi, między którymi byli: Fanfan, Paweł Potter, doktor Tromp, ojciec Eljasz, Jochem i reszta towarzyszy i podkomendnych Jana, od pierwszej chwili biorących udział w wojnie za niepodległość Transwaalu. W jednej chwili pochowali się po dziurach, skurczeni i splaszczeni tak, że od strony Anglików można było dostrzedz tylko błyszczące lufy mauserów.

Dowódca przedniej straży angielskiej, widząc drobną liczbę Boerów, spodziewał się zdobyć pozycję nieprzyjacielską za jednym atakiem. Na dźwięk trąbki żołnierze wypuścili konie z głośnym okrzykiem: hurra!

Gdy się zbliżyli na odległość czterystu metrów, rozległ się donośny głos Łamigłowy.

— Ognia!

Boerowie spełnili rozkaz z zadziwiającą jednością. Hułnęły strzały jednocześnie z rowu, z po za skał i z pod ścian wężu.

Chwila ciszy i znów ten sam głos:

— Ognia!

— Słowo daję, zupełnie jakby kto rozdzierał płótno — odezwał się Fanfan, wysuwając ciekawie głowę z poza kamieni, bez względu na grożące niebezpieczeństwo.

Skutek wystrzałów był straszny. Przed wążowem, oddział angielski, pędzący pełnym galopem, zbił się w jeden kłęb ciał ludzkich i końskich. Ludzie spadali, konie wspinały się i przewracały w tył, tratując leżących i gniotąc swych jeźdźców.

— Naprzód, naprzód! — krzyczeli oficerowie angielscy.

Żołnierze rzucili się naprzód z wściekłemi okrzykami. Trąbki grały żałośnie.

— Ognia!... Ognia!... Ognia!... — po trzykroć rozległa się komenda Łamigłowy, głusząc zgietk i okrzyki.

W jednej chwili pułk się zmniejszył o połowę. Wejście do wążowu zostało literalnie zatkałe ciałami ludzkimi i końskimi; z pośród których gdzieniegdzie podnosili się lżej ranni. Trudno uwierzyć, ile zniszczenia szerzyć może garstka ludzi odważnych, zdeterminowanych i karnych!

Resztki zdziesiątkowanego, przetrzebionego pułku dotarły jednak do rowu, w którym, jak krety, siedzieli Boerowie. Lecz nie zmieszało to dzielnych chłopców.

Tratowani kopytami koni, prażeni kulami, cięci pałaszami jeźdźców, nieustępowali ani na krok. Strzelali prosto w twarz Anglikom, tłukli kolbami, masakrowali pierwsze szeregi, podczas gdy ich towarzysze z pod skał krzyżowym ogniem zmiatali dalsze szeregi.

Pomimo to szwadron angielski, złożony z dwudziestu ludzi, zdołał przebyć rów. Prowadzeni przez młodego oficera, dzielnie trzymającego się w siodle, cudem prawie uniknęli kul i teraz przeskakiwali przez leżących w rowie Boerów. Za nimi nikt więcej nie poszedł.

Pomimo, że porucznik angielski nie miał na sobie malowniczego stroju Szkotów Gordona, Łamigłowa i Paweł Potter poznali łatwo rysy, które na zawsze utkwily im w pamięci.

— Patryk Lennox! — zawołał Łamigłowa.

— Syn mordercy! — warknął Paweł z nienawiścią.

Zagrzmiała znów salwa i szwadron angielski został zmieciony. Pod Patrykiem padł koń, jeździec w jednej chwili stanął na nogach i zwrócił się twarzą ku nieprzyjacielowi. Znajdował się zaledwie w odległości dziesięciu kroków od Pawła Pottera, który już go wziął na cel. Szybkim ruchem Patryk wy dobył rewolwer i dał ognia, a jednocześnie Paweł wystrzelił ze swego mausera.

Dwa wystrzały zwały się w jeden huk.

Paweł upuścił karabin, zachwiał się na nogach i schwytał się ręką za piersi.

— Powiedziałem... że zginę... i umieram... — wyjąkał przerywanym głosem.

Młody Szkot stał także chwiejąc się i brocząc krwią. Rewolwer wypadł mu z sztywniejącej ręki. Obaj śmiertelnie ranni, nieszczęśliwi młodzieńcy przesywali się wzrokiem wyzywającym.

Oczy ich, zachodzące już bielmem śmierci, jeszcze świeciły płomieniem nienawiści. Umierając, dobywali reszty sił, aby się do siebie zbliżyć i szli ku sobie wolno, chwiejąc się, jak dwa widma.

Otoczony kłębamii dymu. Łamigłowa spostrzegł jednak pełną grozy tragicznej scenę, oddany jednak walce, niechciał i nie mógł wtrącić się między tych dwóch wrogów, których tylko śmierć pogodzić mogła.

A wyglądali strasznie. Obydwom na usta wystąpiła krwawa piana, obydwom z piersi, za każdym stąpieniem, wytryskał krwawy strumień.

Nareszcie schwycili się w ramiona. Rozpoczęła się okropna walka. Potykali się, ślizgali, zataczali, padali i znów podnosili, starając wyrzucić sobie wzajemnie resztki życia, jakie w nich pozostały. Rzekłbyś — dwa krwawe widma walczą na śmierć i życie.

Wyczerpani z sił, stanęli na chwilę nieruchomo, dłońmi na całym ciele, każdy oparty rękami o ramiona wroga, dyssząc ciężko. Czuli obaj, że zbliża się ostatnia ich chwila.

110.1

TOWARZ

„L'Urb

Każdy człowiek, nawet najuboższy, powinien oszczędzać ze swego zarobku, aby złożyć sobie kapitał na starość, zaś na wypadek swojej śmierci uchronić rodzinę od nędzy. Jestto największy jego obowiązek wobec rodziny, ludzi i Boga. Lecz człowiek nmrzeć może każdej chwili, nie zobrawszy dla rodziny dość pieniędzy, a wtedy najbliższe dlań osoby zostają w ubóstwie.

Nikt śmierci nie ujdzie, lecz każdy może uchronić rodzinę przed nędzą, jeżeli zabezpieczy swe życie w Towarzystwie „L'URBAINE”.

Niech płaci do tego Towarzystwa małą składkę, a choćby umrze zaraz jutrz po ubezpieczeniu, to rodzina jego otrzyma natychmiast umówiony kapitał. Jeżeli zaś dożyje do oznaczonego wieku, to może otrzymać sam cały kapitał na starość. W razie dłuższej choroby lub nieszczęśliwego wypadku w razie nie płacenia składek, ma prawo nie płacić ich, iż będzie mógł znów pracować. Jeżeli stanie się na zawsze niezdolny do pracy, to natychmiast otrzyma $\frac{1}{2}$ kapitału, a $\frac{1}{4}$ w terminie.

Składki płać się kwartalnie, półrocznie albo rocznie. Dla większego kapitału płać się większa składka. Starsi płać trochę drożej, niż młodzi.

Oto przykłady.

Człowiek 50-letni może składać co rok po 23 rub. 30 kop. za 500 rubli, które będą natychmiast wypłacone po jego śmierci. Od 1000 rubli składać co rok po 48 rub. 60 kop.

Człowiek 30-letni może składać co rok po 19 rub. 50 kop. jeżeli chce aby 500 rubli wypłacono natychmiast rodzinie po jego śmierci, albo jeżeli samemu, gdy żyć będzie po upływie 25 lat. Od 1000 rubli składać co rok po 39 rub. 50 kop.

Wogóle każdy może umówić się z Towarzystwem, jak chce, i dawać składki stosownie do swego wieku, zarobków i położenia rodzinnego. Sporo umów jest bardzo wiele, na różne sumy i różne terminy.

Ubezpieczenie na życie jest korzystniejsze od składania pieniędzy, procent, bo zapewnia spokój dla rodziny. Każdy zechce tylko, umiarkuj swój botrak winien się ubezpieczyć.

W celu zapowiadania kapitału dla ubezpieczonych, Towarzystwo „L'URBAINE” złożyło do Banku Państwa pół miliona rubli kaucji i składa tam swe majątki do obrotu pod kontrolą Urzędu. Ubezpieczeni otrzymują kwoty z procentu Ministerjum Spraw Wewnętrznych.

Dla zawarcia umowy przychodzić lub pisać do Tow. „L'URBAINE” w Warszawie, ul. Nowo-Ziemia 55.